

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20.
ROK
ZE SŁĄSKIEM

SŁASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

www.slaskgtl.pl

Nr 8 (237) • ROK XX • SIERPIEŃ 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Górki Wielkie

Skradziona kolekcja

W numerze:

ALICJA KNAST
EWA NIEWIADOMSKA
ANDRZEJ PILOT
ks. JERZY SZYMIK
HENRYK WANIEK



ISSN 1425-3917



9 771425 391509

Poezja i proza:

MARIA KORUSIEWICZ, HENRYK CIERNIAK,
JOHN GUZŁOWSKI



Tydzień Kultury Beskidzkiej to największa w kraju i jedna z największych imprez folklorystycznych na świecie. Podczas tegorocznej, 52. edycji (25 lipca – 2 sierpnia), na estradach Wisły, Żywca, Jabłonkowa, Makowa Podhalańskiego, Istebnej i Ujsoł wystąpiło ponad 100 zespołów pieśni i tańca z około 30 państw z różnych kontynentów, 4 tysiące tancerzy, śpiewaków i muzyków. Odbyło się ponad 50 kilkugodzinnych wieczornych koncertów na dużych plenerowych estradach.



W ramach TKB odbywały się: 46. Festiwal Folkloru Górali Polskich i 26. Międzynarodowe Spotkanie Folklorystyczne w Żywcu, 68. Gorolskie Święto w Jabłonkowie, 21. Festyn Istebniański w Istebnej oraz 37. Wawrzyńcowe Hudy w Ujsołach. Na uczestników TKB czekało wiele imprez towarzyszących: koncerty kapel, uliczne korowody, wystawy, kiermasze i Targi Sztuki Ludowej w Żywcu.

KATOWICE 150 lat
1856-2006



Muzeum Historii Katowic



Institucja Kultury
KATOWICE
Miasto Ogrodów

zapraszają w dniach

18.09.2015 - 17.01.2016

na wystawę

BELLMER / VISAT

KATOWICE ul. ks. J. SZAFRANKA 9



Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY

prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

KATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcjasklask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. „ROZMOWA NA 20. LECIE”:
Rozmowa z Henrykiem Wańkiem LICZY SIĘ TO, CO WYJĄTKOWE, OSOBNIE
7. *Stefan Zabierowski* SWIADEK EPOKI TOTALITARYZMU
10. *Rozmowa z Alicją Knast, dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach* PRZESTRZEN
DIALOGU I ARTYSTYCZNEGO FERMENTU
13. *Jakub Loginow* KRESY INACZEJ NIŻ ZWYKLE
16. *Marian Kisiel* ZYCIORYS POWIEŚCIOWY
22. *Witold Turant* SKRADZIONA KOLEKCJA
30. *Marek Piechota* POETYCKA KLAPSNITA, CZYLI PARALIMERYCZNY SANDWICH
DLA NIE-ŚLĄZAKA
34. *Rozmowa z ks. prof. Jerzym Szymikiem, teologiem i poetą.* BY ŹRÓDŁO BYŁO CZYSTE
38. *Ryszard Bednarczyk* SIELANKA Z PRZEMYSŁEM W TLE
42. *Rozmowa z Ewą Niewiadomską* NIEZWYKŁY DZIENNIK BUDOWY
44. XIII PORT POETYCKI W CHORZOWIE. ENERGETYCZNE SPOTKANIA
45. *Henryk Szczępański* KATOWICE ZA POHLMANNA (II)
52. *Marian Bednarek* CZEKOLADOWY SILNIK
54. PAMIĘCI JANA F. LEWANDOWSKIEGO (1952-2015)
Zbigniew Kadłubek (ŁA)GODNIEJSZY ŚWIAT. O JANIE F. LEWANDOWSKIM
*Krzysztof Karwat *** (Jasiowi Lewandowskiemu)*
Edward Kabiesz SPOŹNIONY SEANS
64. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO
Krzysztof Kosiński SEZON OGORKOWY – CIĄG DALSZY

FELIETONY

18. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA
Jan Miodek FLORIAN ŚMIEJA
33. NOTATNIK SPOŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczępański METROPOLIE RZĄDZĄ ŚWIATEM, A STRACH RZĄDZI
METROPOLIAMI (II)
75. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek APOLLON MUSAGÈTE
82. PORADNIA JEZYKOWA
Katarzyna Wyrwas PONIKAĆ, ZANIKAĆ, WYNIKAĆ
82. ANEGDOTY HENRYKA BZDOKA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk ROZWÓD PO JAPOŃSKU

PLASTYKA

48. *Bogdan Widera* NIEPOKOJĄCY PROBLEM KOBIET
49. WITKACY I KOBIETY. NIENASYCENIE
50. PRACA ROKU 2014
51. *Wiesława Konopelska* TAJEMNICE PRZESTRZENI
68. III MIĘDZYNARODOWY PLENER MALARSKI OPOLE 2015
69. *Henryk Bzdok* OPOLSKIE INSPIRACJE
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: LECH KOŁODZIEJCZYK

KSIĄŻKI

70. *Krzysztof Tarka* KRETY
71. *Ryszard Bednarczyk* FRASZKI Z BOŻEJ ŁASKI
72. *Witold Turant* Z MIŁOŚCI DO SZTUKI
73. *Ryszard Bednarczyk* BIOGRAFIA Z CUDNYCH MANOWCÓW
73. *Katarzyna Krzan* GLOBALNY NASTOLATEK
74. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Maria Korusiewicz KATEDRA I: UCIEKINIERY
20. *Maria Korusiewicz* WIERSZE
25. *John Guzlowski* SUITCASE CHARLIE (II). CHARLIE WALIZKA. Przekład Henryk Cierniak
40. *Henryk Cierniak* WIERSZE

EKOLOGIA

58. *Rozmowa z Andrzejem Pilotem, prezesem zarządu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach* SPŁACAMY DŁUG ŚRODOWISKU...
60. *Maria Szuka* U ŹRÓDEŁ CENTURII
62. *Witold Kociński* ORLE GNIAZDO OBOK TAJEMNEGO ZEGARA

STAŁE RUBRYKI

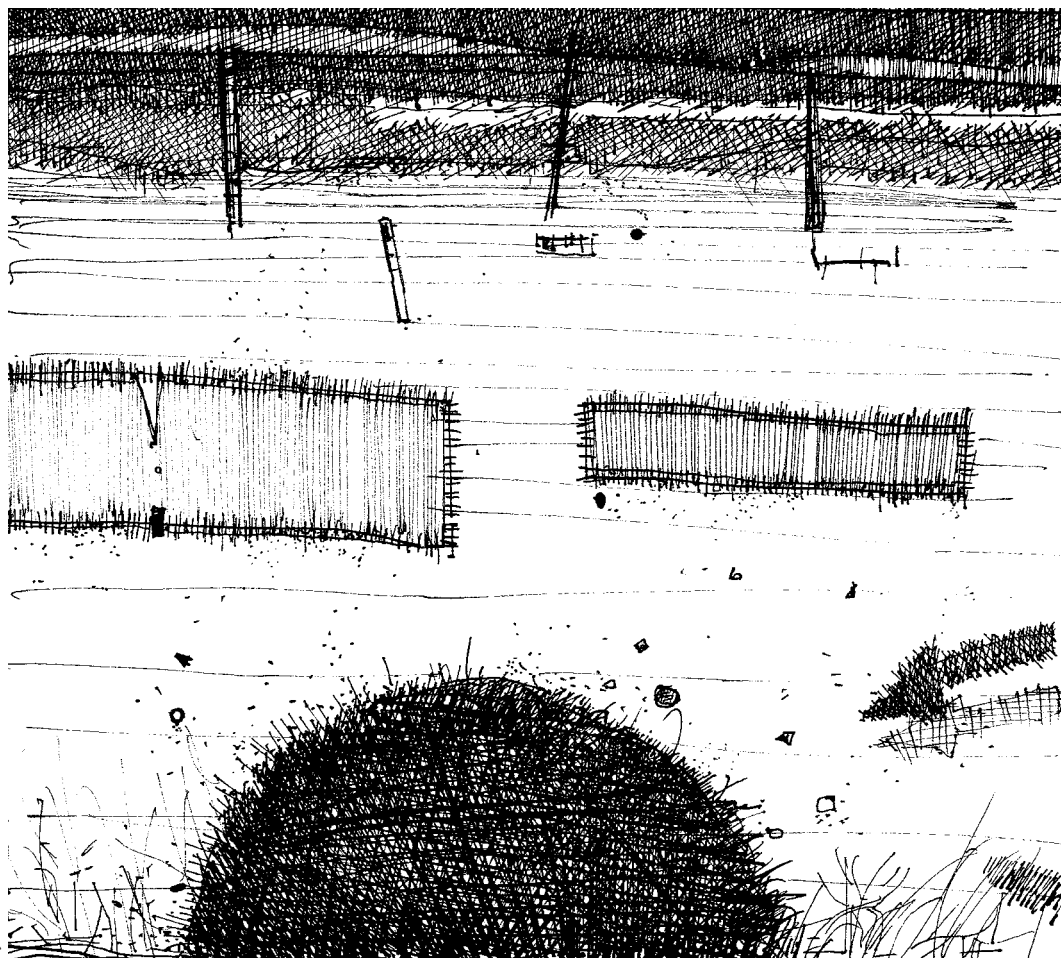
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Kamila Buszka, Małgorzata Michalczyk, Małgorzata Szczygielska BIBLIOTEKA
WOBEC WYZWAŃ TERAZNIEJSZOŚCI
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
ART NAIF FESTIVAL
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NOTATNIKI KULTURALNE

76. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
78. *Jan Picheta* BIĘLSKO-BIAŁA
79. *Joanna Kotkowska* CZESTOCHOWA
80. *Maria Szuka* ZAGŁĘBIE
81. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE:

Wachlarz „Koncert Jankiela” z kolekcji Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich
Foto. Muzeum Zofii Kossak



Rys. Adam Dutkiewicz

Adam Dutkiewicz ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach. Malarstwo studiował w pracowni prof. Jerzego Dudy-Gracza, a projektowanie graficzne w pracowni prof. Tomasza Jury. Dyplom uzyskał w 1982 r. z projektowania graficznego i malarstwa. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, projektowaniem graficznym, grafiką cyfrową i fotografią. Od połowy lat 80. zajmuje się również renowacją i konserwacją detalu architektonicznego.

Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków, od 1993 r. zasiada we władzach katowickiego okręgu ZPAP (2 kadencje jako przewodniczący okręgowej komisji rewizyjnej, 3 kadencje jako wiceprezes, obecnie drugą kadencję jest prezesem).

MARIA KORUSIEWICZ

Katedra I: uciekinier

Gniew

Cieniutkie łądyżki mchu drżą w chłodnym powietrzu
W ciemnych przestrzeniach między igliwem a igliwem
a bladymi palcami mojej dłoni
wilgoć

Lepkie korytarze ziemi

Moja kurtka, moja koszula moje ubłocone stopy
wsiąkają w darń
Śmierć przychodzi wiosną

Trzystu

bronilo Sparty trzystu padło pod Catraeth
orszak Gododdinów sytych miodem i winem
znad ostrogrzywych koni prowadzi zastęp
Trzystu trzynastego sierpnia na ulicy Kilińskiego
Trzystu żołnierzy Gedeona

Umieraliśmy w piasku

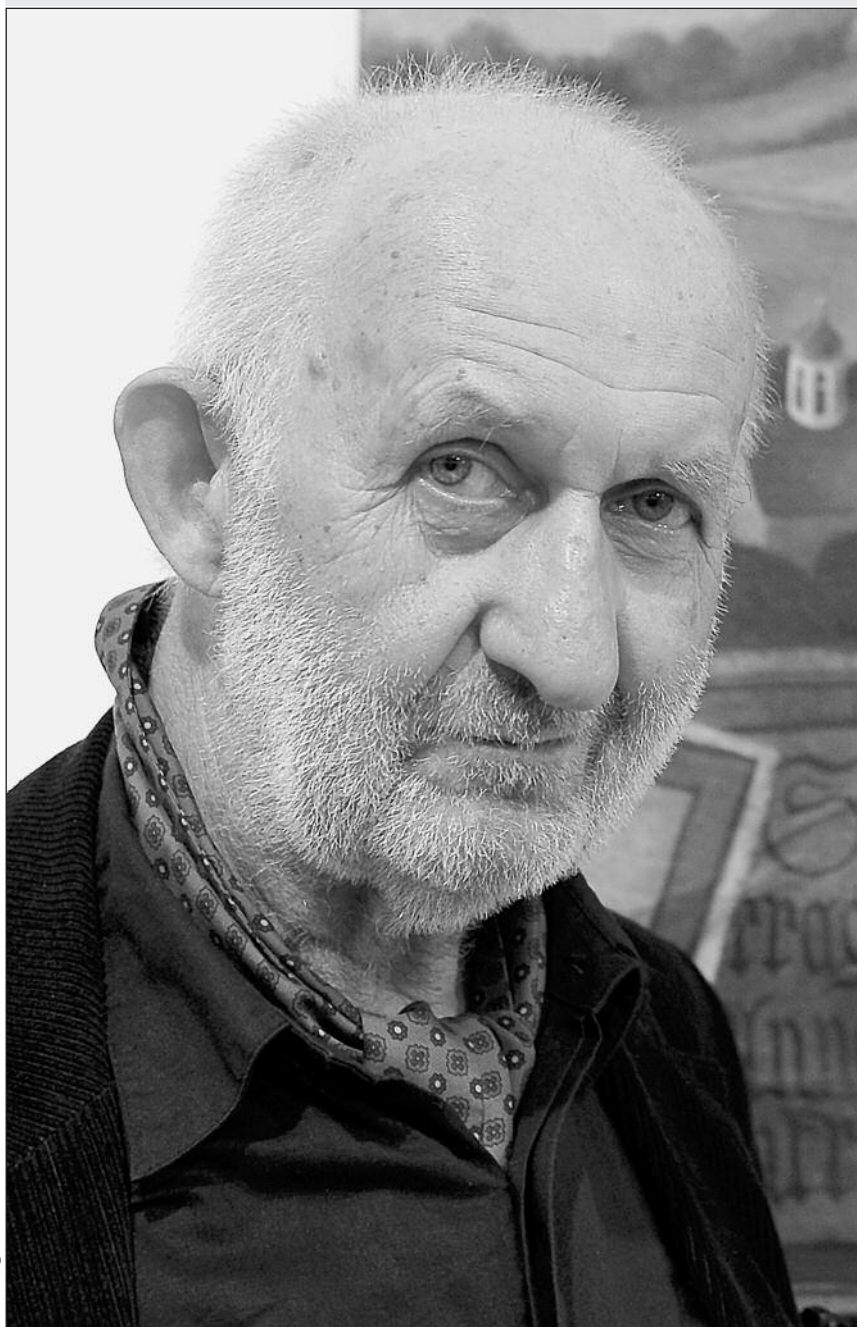
Umieraliśmy w kurzu Uruk
W czerwonych wodach Svold
Brnęliśmy przez szczęk mieczy w Teutoburskim Lesie
Krew na kraciastych kiltach pod Culloden
Muchy na pasiakach
Moi synowie moje córki drą palcami policzki
Ludzie którzy nie zbiegli nie ponoszą winy
Śni mi się że jestem sową o zakrwawionych szponach
ośleplą w świetle dnia w uderzeniach słońca
Śni mi się, że moje ciało boli Pod paznokciami zygzaki brudnoczerwonej wody
Ustami dotykam czegoś
co może Jest

Mech

W czerni połyskują miękkie fioletowe kwiaty kokoryczy
Trująca *corydalis cava* dom motyli strząsa czas
Nade mną
pomiędzy korzeniami dębów
jak kości
bieleją
kamienne stopnie Katedry
Jestem sobą lub kimś do mnie podobnym
Jestem bezbronny i zuchwały

Ziemia jest pełna

Z HENRYKIEM WAŃKIEM
rozmawia KATARZYNA BERETA



Fot. Zbigniew Sawicz

Liczy się to, co wyjątkowe, osobne

– Czy znalazł Pan już swój krajobraz-universum, malowidło wszechświata?

– O niewielu rzeczach mogę powiedzieć, że je znam dobrze, ale jedną z nich jest Śląsk, również jako krajobraz. W każdym razie to, co o nim już wiem, potwierdza tylko, że każda Yoknapatawha może być wszechświatem. Tak, moim krajobrazem jest Śląsk, w całej jego rozciągłości geograficznej i historycznej – od niegdyś utraconych księstw w Zatorze i Oświęcimiu, po stosunkowo młody Śląsk w Górnych Łużycach. Mogę go więc nazwać moim krajobrazem-universum, co nie powinno zaskakiwać osób znających przynajmniej z grubsza moją twórczość. Przez cały czas próbuję go poznać jeszcze dokładniej, ale końca nie widać. Jest to bowiem zadanie na dłuższą metę; na całe życie.

– W *Finis Silesiae* zapisał Pan: „Pamięć kochająca ma w sobie fotograficzną trwałość. I jest tak samo czarno-biała”. Doskonale koresponduje to ze zdaniem Kazimierza Wyki o „krajobrazie centralnym”, który każdy z nas nosi w sobie, a który jest utrwalonym w dzieciństwie obrazem ziemi-kołyski. Jakże są zatem Pana czarno-białe odbitki Śląska z lat dziecięcych i młodzieńczych?

– Nie wiem czy tylko czarno-białe, ale z pewnością rozległe i wielorakie, właściwie panoramiczne, bo taka jest przestrzeń Śląska. Panoramiczna jest także ich dramaturgia, bo otwierają ten obraz doświadczenia dzieciństwa, na które nakładają się późniejsze. Pamiętam na przykład końcówkę II wojny światowej. Byłem wówczas trzylatkiem w Oświęcimiu. Zapamiętałem amerykański nalot na miasto, które – zamiast docelowego IG-Farben w Monowicach – bardzo ucierpiało. W tym kościeł salezjanów, gdzie spłonęła moja metryka urodzenia. Gdy szedłem do szkoły podstawowej, to świadkowie przed sądem zeznali pod przysięgą, że się faktycznie urodziłem i na tej podstawie sąd wystawił mi metrykę. To byłby pierwszy, najstarszy obraz. Niejako wstęp do późniejszej reszty.

Dalsze części tego obrazu są już wyraźniejsze, o tyle czarno-białe, że istotnie bardzo kontrastowe. Na przykład widok Katowic, które w okolicach rynku były jak wypalona wioska. Od 4 roku życia mieszkałem w katowickim śródmieściu i to był mój początkowy punkt widzenia. Czasami byłem deponowany u krewnych, na przykład u brata matki w Bytomiu. Pamiętam jaki był Bytom w latach 1945-1947. Mam stamtąd straszne wspomnienie, które często powraca. Do piwnic tamtejszego starostwa zrzucono niemiecką bibliotekę muzealną na spalenie. Kiedyś mnie wuj tam zabrał i uratowałem z tej piwnicy dwie książki, które wpłynęły na resztę mojego życia. To dla nich nauczyłem się czytać szwabachę i one w pewnym sensie

uksztaltowały mój smak. To były albumy Wilhelma Buscha, przyjaciela Schopenhauera, twórcy komiksu o Maksie i Morycu. I mimo że dopiero poznawałem pismo, doświadczenie to było dla mnie wstrząsające. Ten widok stosów książek, oczekujących w kolejce do pieca! Był to również obraz symboliczny dla całego Śląska, którego niemiecckość, należąca do obrazu jego kultury, skazano na unicestwienie.

Niektóre infantylne przygody i obserwacje spożytkowałem po sześćdziesięciu latach, pisząc książkę o Katowicach. Bo były one moim placem zabaw i miejscem pierwszych wtajemniczeń. Podobnie rozpoznawał Katowice Felek Netz, tyle że był nieco starszy i zobaczył je nieco później. On też się urodził gdzie indziej, chociaż ja przez rodzinę ojca byłem rdzennym Ślązakiem. O ówczesnych Katowicach myślę, że dla dziecka stanowiły dobry poligon poznania. Rzeczywistość złożona, wielopiętrowa. Napiętna i podziemna. Fikcja zmieszana z faktami. Można za Goethem powiedzieć – *Dichtung und Wahrheit*.

– **W *Finis Silesiae* wskazuje Pan wojnę jako cezurę śmierci krajobrazu? Czy mógłby Pan rozszerzyć tę myśl?**

– Pierwsza wojna światowa dokonała spustoszenia tylko w ludzkim krajobrazie Śląska, bo same działania wojenne tutaj nie dotarły. Ale ta druga przejechała się bardzo solidnie również po fizycznym krajobrazie regionu i objęła Śląsk w całej jego rozciągłości. Wystarczy wspomnieć Racibórz, Nyse, Głogów, Wrocław i niezliczone miasta, które zdewastowała, już to za sprawą wojsk niemieckich, już to sowieckich, a w końcu też powojennego szabru. Nie mówię już o latach późniejszych, gdy wbrew pokojowej gospodarce, krajobraz Śląska był nadal traktowany jak coś wrogiego.

To przecież oczywiste, że wojna zawsze pozostawia w krajobrazie swoje fatalne znamię. A pamiętajmy, że krajobraz to zapis wiekowych tradycji oraz zamieszkujący go ludzie – pojedynczy i w masie.

– **W jednym z numerów „Fabryki Silesii” pisał Pan, że krajobraz Śląska po 1989 roku należy określić jako rozszarpany. Co to oznacza dla „krajobrazu centralnego”, jaki Pan nosi w sobie? Czy powstały w nim jakieś wylomy? W *Katowice-blues, czyli Katowitzer-Polka* wspomina Pan np. o zburzeniu domu przy ul. Młyńskiej. Czy takich „wybuchów”, które unicestwiły przeszłość, było więcej?**

– Żarzykuję metaforę, że Katowice od mniej więcej stu lat, choć jako miasto istnieją niewiele dłużej, są miejscem zakonserwowanej, ale nieustającej wojny. Można w tym widzieć jakieś fatum, mające swój początek chyba w fakcie, że pierwszy burmistrz Katowic, niejaki Herr Diebel, okazał się defraudantem.

Jego następcy nie byli lepsi, choć na ogół bezkarni. W swej niedługiej historii Katowice sześciokrotnie zmieniały swą nazwę. Inne były na początku. Inne w czasach przedwojennych, gdy Katowice stały się polskie. Podczas drugiej wojny były miastem hitlerowskim. Później lata tak zwanego komunizmu. A po 1989 roku, chyba za sprawą tzw. niewidzialnej ręki rynku, są dalej deformowane. Zamiast harmonijnej ciągłości, ciągła rewolucja. Dziś przyjeżdżam tu rzadko i z coraz większym trudem rozpoznaję to miasto. Widzę tylko, że dominuje duch radykalnych zmian, lekceważący tych niewiele obiektów, które mogłyby być pomnikami jego dziejów. Katowice są jedynym znanym mi miastem, w którym nie przybywa zabytków, a przeciwnie – ubywa. Z tym kultem nowości i modernizacji, które bywają pułapką, byłbym ostrożniejszy. Bo nic się tak szybko nie starzeje, jak moda. Miasto winno dojrzewać mądrze, a nie stroić się w pstre piórka i pyszczyć się entuzjazmem klakierów. Obecnie wynika to z faktu, że Katowicom, a raczej ich śródmieściu, doskwiera brak obywatelskiej społeczności. Bo ta malejąca garstka jego mieszkańców, cóż ma do gadania? Wolę nie myśleć, że to jedynie patologiczny brak miłości i zrozumienia miejsca, w którym się żyje. No tak, Katowice zmieniły się w coś dla mnie zupełnie obcego. Obrazy dzieciństwa są bardziej trwałe niż fizyczny krajobraz, ale z czasem stają się tylko nostalgiczną przeszłością.

To mam mniej więcej na myśli, mówiąc „rozszarpany”. A w gruncie rzeczy chodzi o to, że po 1922 roku usiłowano Katowice zamienić w rdzennie polskie miasto, wbrew temu, że były tworem niemieckim i żydowskim. To głównie niemieccy Żydzi tworzyli je od początku, czule obchodząc się z ich niedawną wiejskością. Nawet, gdy tuższe dziewiętnastowieczne kamienice stroiły się w monumentalizm, zważano na równowagę między naturą a kulturą. Dzisiaj trochę to powraca, chociaż w karykaturalnym koncepcie „Miasta Ogrodów”. Kiedyś rzeczywiście tak było. Czy może być jeszcze? Miejmy nadzieję.

Już przedwojenna polityka urbanistyczna wniosła do Katowic kontrast różnych i nie dających się pogodzić światów. W latach okupacji Katowicom prawie nic nie przybyło. Zniknęła tylko okazała synagoga i niedokończony gmach Muzeum Śląskiego. Po 1945 roku zaczęły się nowe operacje architektoniczno-urbanistyczne, od Sasa do lasa. Nie wiadomo, czy miały przywrócić, odzyskać czy też kreować nową tożsamość miasta. Co sezon zmieniały się trendy, koncepcje i mody. Kto umie czytać przestrzeń miasta, ten zauważy, że Katowicom brak integralności. Widać wyłącznie szarpanie się i szarpanie krajobrazu.

– **Która ziemia stała się Pana *Templum Salomoni*, o którym pisze Pan w *Opisie podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257-1957. Śląsk czy Brwinów? A może inna ziemia wyobrażona, świat (nie) możliwy?***

– Brwinów to dla mnie szczególny przypadek. Opuściwszy Katowice, zamiast zameldować się w Warszawie, wybrałem podwarszawski Brwinów. Nie tylko dlatego, że sama nazwa była mi bliska. Kiedyś mieszkałem w katowickim Brynowie, który jeszcze na osiemnastowiecznych mapach był zapisywany jako Brwinów. Ale ten mazowiecki, zbiegiem okoliczności, też ma w sobie wiele śląskiego. Na przykład, wiele budynków przed I wojną światową wzniosły tam ekipy budowlane Ślązaków. W wiosce Moszna pod Brwinowem (co kojarzy się z Moszną Tiele-Wincklerów) jest zaniedbany cmentarz z nagrobkami, na których są takie miejsca narodzin, jak Gliwice, Toszek czy Sośnica. Ci rzemieślnicy mieli w okolicach Brwinowa własne cegielnie, stolarnie, zakłady ciesielskie. Prawie cały Milanówek został wybudowany przez tych Ślązaków, którzy podczas okupacji hitlerowskiej wpadli w pułapkę narodowościową. Dlatego niemal wszyscy po 1945 roku opuścili to miejsce. A w latach współczesnych na brwinowskim cmentarzu został pochowany w górnictwym mundurze honorowy górnik PRL – Jarosław Iwaszkiewicz. W Brwinowie mieszkał już zmarły dyrektor Teatru Śląskiego – Henryk Baranowski. Kupił tam również dom Kazimierz Kutz. W Brwinowie mieszka Leszek Engelking, literaturoznawca z Bytomia. I wiele innych osób, tak czy inaczej związanych ze Śląskiem. Powiadam czasem, że żyję na Śląsku, choć mieszkam w Brwinowie, pełnym symbolicznych powiązań ze Śląskiem.

Co zaś do świątyni Salomona, muszę się posłużyć szczyptą poezji. Używam tego symbolu w sensie, jaki mu nadał Guillaume Apollinaire. W jednym ze swych poematów określa *Templum Salomoni* nie jako budowlę, a pewnego rodzaju twór niematerialny, niemający określonej formy, mogący istnieć wszędzie. Ostatecznie może to być nawet kącik w czymś pokojowym. Cały Śląsk jest dla mnie symbolem świątyni Salomona, bo ten kraj postrzegam jako mityczną, trudną do zdefiniowania przestrzeń świętą.

– **W *Dziadach berlińskich* pisze Pan, że świat przypomina deliryczny fresk. Czy coś w tym fresku uległo zaostrzeniu lub zblednięciu? Świat w 2015 roku jest bardziej czy mniej deliryczny niż ten sprzed 1989 roku?**

– Muszę wyjaśnić, że napisałem tę książkę w szczególnych okolicznościach i w odpowiedzi na to, co zobaczyłem w niemieckich miastach, które odwiedzałem w latach siedemdziesiątych. W porównaniu z innymi krajami,

Niemcy wydawały się deliryczne, możliwe że wskutek niestrudzonego oddziaływania NRD. *Dziady* powstały więc w odpowiedzi na świat zachodni, który przybyszowi z kraju komunistycznego, gdzie paszport się dostawał jak nagrodę i tylko na chwilę, wydawał się czymś egzotycznym i trudnym do zrozumienia. Nadal go tak postrzegam. Nie wszystko w świecie tzw. demokracji jest mądrze urządzone. *Dziady* napisałem więc trochę z nudów, a trochę by odciąć się od tamtej zachodniomiejskiej rzeczywistości, z jej lewactwem, Rote Armee Fraktion, hippisami, dobrobytem, alianckimi bazami wojskowymi, poczuciem winy, zranioną dumą. W sumie było to tyleż groźne, co groteskowe. Trochę podobnie, jak teraz u nas. Ale tylko trochę, bo choć mamy pewne zalety, to jednak nie jesteśmy Niemcami.

– **W *Finis Silesiae* stwierdził Pan, że fotografia to zaklęcie czasu, rodzaj pamięci. Można by poszerzyć to zdanie i objąć nim całą sztukę, zwłaszcza malarstwo i literaturę. Ile z tego zaklęcia czasu jest jeszcze w dzisiejszej sztuce? A może bardziej próbuje ona zanegować czas, stworzyć jego alternatywę?**

– Obawiam się, że bardziej to drugie. Niegdyś pojęcie sztuki było jasne. Dzisiaj wydaje się czystą uzurpacją. Nie umiem powiedzieć – co to takiego sztuka? Czy przypadkiem artystą nie ten, który kupuje gitarę elektryczną i przy odrobinie tupetu, tak się określi? Niewiele wie o tajnikach sztuki, nie odróżnia wartości od blichtru, nie znajduje sensu w pracy. Zresztą, któż go dzisiaj znajduje? Bez przerwy słyszę, że ktoś tam – polityk, prezes rady nadzorczej, menadżer, czy pierwszy lepszy darmozjad – ciężko pracuje. Idealnym obecnym „kultury” jest od razu zostać mistrzem świata lub gwiazdorem. Bez wysiłku, bez pracy, bez wizji, w jakimś pędzie ku iluzorycznej karierze, tonącej w morzu masowych, a często urojonych, sukcesów. Nie wiem, czym jest dzisiaj sztuka.

Za mojego życia dokonał się gruntowny upadek wszystkich aksjologii. Świat kultury pozornie trzyma się kupy. Sam sobie wystawia dyplomy uznania i sobą jest zachwycony, ale widać przecież, że jest w zupełnej rozpaczce. Jest to pewnie zjawisko globalne, głównie za sprawą amerykańskiej, ale najbardziej bolesnym dla mnie jest jego rozdział polski. Ileż prowincjonalnych kompleksów pomieszanych z megalomanią; wtórności; tandety przypisującej sobie genialność. Siedzimy w skądinąd okrzyczanym już gmachu NOSP, więc mógłbym powiedzieć, że takie uczucie towarzyszy mi przede wszystkim w kontakcie z muzyką współczesną, ale wcale nie jest lepiej z literaturą, teatrem, filmem, plastyką. Odnoszę wrażenie, że pod powierzchnią tego wszystkiego, co chce dziś uchodzić za sztukę, istnieje przepastna pustka. Taka epoka.

I to jest natura czasu, o którą pani pyta, czyli te próżne mniemania na temat rozwoju, postępu i sublimowania form kulturowych. Czas to proces, w którym nie tylko starzejemy się, tracimy siły i złudzenia, ale również wielka entropiczna moc niszczenia świata. W każdym razie dzisiaj sztuka jest już wyłącznie schronieniem przed niewygodną prawdą, a niegdyśjsza konstatacja katowiczana Hansa Bellmera, że rzeczywistość jest skandalem, okazuje się nad wyraz aktualna.

– ***Finis Silesiae* to dla mnie wielki traktat o fotografii, także o jej metafizycznym sensie, to książka, która wyrosła z fotografii, swego rodzaju ekfrazja. Potwierdza ona też, że odbite kilka lub kilkanaście dekad wcześniej światło ma nadal moc wywoływania w nas emocji. Jakby zaklęta przez obiektyw energia chwili i osób udzielała się oglądającym i pobudzała do własnej aktywności twórczej. Pisze o tym również Roland Barthes w doskonałym traktacie *Światło obrazu*. Czy tak to Pan odczuwa?**

– Tak, tylko na niższym poziomie filozoficznym. Bo w gruncie rzeczy fotografia (pomijając jej walory estetyczne) jest protezą, wspomagającą pamięć. To przecież mechaniczny zapis faktu, którego byliśmy świadkami albo właśnie jesteśmy, oglądając fotografię. Stąd pamięć, która bywa zawodna, znajduje oparcie w fotografii, choć też nierzadko wprowadza ją w błąd. W ogóle, w kulturze pamięci ważnym czynnikiem jest ostrożność, to znaczy krytyczna gotowość do oddzielania ziaren od plew, to znaczy – faktów rzeczywistych od złudzeń, które często przybierają postać niewzruszonych przekonania i chcą uchodzić za prawdę.

– **We wspomnianej powieści dokonał Pan również analizy tego, jak fotografia staje się służebna wobec propagandy, politycznej manipulacji, kultu narodu, jednostki itd. Wiemy, że podobną „służbę” narzucono całej powojennej sztuce w Polsce Ludowej. Jaka jest dzisiejsza kondycja artysty? Czy jest naprawdę wolny? A jeśli nie, to jakie są jego granice, cenzury?**

– To odwieczny problem relacji między władzą a dworem jej pochlebców. Estetyczna fasada, w którą stroi się każda polityka, jest jej równie potrzebna, jak policja, wojsko i inne narzędzia nacisku. Już freski w starożytnym Egipcie służyły zapewne urabianiu karność i od tamtego czasu niewiele się w istocie zmieniło. Chyba nie ma takiej aktywności ludzkiej – kulturowej, czy pozakulturowej – której by nie wykorzystano dla celów politycznych, komercyjnych czy w jakikolwiek sposób nikczemnych. Nic nie jest niewinne w naszym świecie. Oczywiście bywają enklawy, jakiegoś obrzeża rzeczywistości społecznej, gdzie obszar wolności wydaje się większy, czasem warto zaryzykować ich wybór. Mogło tak być nawet w czasach Polski

Ludowej, sam tego wraz z przyjaciółmi próbowałem. Bo artystą jest się na wiele sposobów i pani pytanie raczej zachęca, by dociekać, czy wolność to nie przypadkiem slogan bez solidnego pokrycia? Jej granice są tylko prowizoryczną i zmienną ramą, w której rozpychają się nasze czyny. Ale ogólnie żyjemy w świecie grzechu i w biologii, przed którymi nie ma ucieczki.

– **W *Finis Silesiae* napisał Pan dość zmienną diagnozę: „A przed nami jest najgorsze. Wariaci odrzucają pędzle i sięgną po bomby. Artystami zostaną rzeźnicy, a filozofami szewcy”. Walter Benjamin wyraził podobną myśl następująco: „Ludzkość, która ongiś u Homera była obiektem oglądania dla bogów olimpijskich, stała się nim teraz dla samej siebie. Jej autoalienacja osiągnęła ów etap, na którym musi przeżywać własną destrukcję jako rozkosz estetyczną pierwszej rangi”. Czy pozostała nam wobec tego jedynie sztuka autodestrukcji i rzeźniczych perwersji?**

– To jest jedna z ewentualności. Diagnozę, o której pani wspomina, wypowiada w powieści domniemany Stanisław Ignacy Witkiewicz. W tej scenie umieściłem luźne cytaty z jego wypowiedzi. Z artykułowaniem myśli miał on większe problemy niż Walter Benjamin, bo też Witkacy był raczej jednoosobowym kabaretem z akcentami tragicznymi. Ale to skojarzenie Witkacego z Benjaminem wydaje się całkiem inspirujące. Nikt dotąd ich nie zestawiał. Bo jakkolwiek Witkacy był żartownisiem i mistyfikatorem, to wiele rzeczy zbliża go do Benjamin, którego praca doktorska była wyraznym żartem z promotorów. Ciekawe, że profesor Hans Cornelius, który odrzucił dysertację Benjamin, był bardzo cenionym przez Witkacego filozofem. Obaj, Witkacy i Benjamin eksperymentowali z narkotykami, obaj zmarli śmiercią samobójczą w reakcji na zagrożenie wojenne. Benjamin dołądnie rok po starszym od niego Witkacym. Te dwie różne osobowości żyły w obliczu podobnej rzeczywistości, pełnym głosem mówiącej, że dotychczasowy świat się kończy i nie będzie już taki sam. Z jednej strony jest to pogląd pocieszający, choć z drugiej przynębiający. Chcemy przecież żyć w dobrze nam znanej wygodzie, w przewidywalnej organizacji życia, gdy tymczasem rzeczywistość wcale ku temu nie zmierza. Można dodać optymistycznie, że na zgłiszczach starego zawsze powstaje coś nowego. Być może lepszego. Nie mnie być jednak sędzią w tej sprawie.

– **W przywołanej przed chwilą powieści zauważył Pan, że powstaną „fabryki twarzą szlachetnych”. Dziś możemy skonstatować ich istnienie w formie programów upiększających czy działań mediów, które kreują nieistniejące kanony piękna. Czy**

zniknie zatem naturalne piękno człowieka?

– Choć ryzykownie to zabrzmiało, to jednak Witkacy – chyba od niechcenia – był proroczy. Tylko ukrywał swe jasnowidztwo (czy raczej czarnowidztwo) pod maskami żartu i kpiny. Przewidział, że sztuczność stanie się ideałem. Dzisiaj (ale czy tylko dzisiaj?) jest to schorzenie powszechne i w ramach tej sztuczności kreujemy się na lepszych niż *de facto* jesteśmy. W naszym świecie prawda i autentyczność nie są artykułami pierwszej potrzeby, bo to tylko psułoby nam humor.

– *Simulacrum?*

– Tak. Tyle, że symulakry – jak to rozumiał Baudrillard – są naśladownictwem czegoś istniejącego, choćby wyidealizowanego, a tu mamy do czynienia z tworamami ekscentrycznymi, wymyślanymi dla ślepej próżności, bez oglądania się na ideały urody, dobra, piękna. Bez cienia pamięci o platońskim trójpodziale wartości.

– **W jakimś sensie śmiercią sztuki portretu jest niepohamowana potrzeba robienia sobie selfie i przedstawiania ich w sieci. To jest smutny obraz dzisiejszych czasów, gdyż autokreacja przestała człowieka rozwijać, a zaczęła doprowadzać do jego duchowej implozji. Czy ten proces nie zagraża także współczesnym artystom, którzy muszą sami siebie wydawać, sami siebie promować itd.?**

– Nigdy nie przyglądałem się bliżej fenomenowi selfie. Myślę, że to raczej sezonowa moda, która ustąpi przed inną. Gdyby się przyjrzeć temu dokładniej, to narzuca się, że życie ludzi współczesnych, pozbawionych poczucia tożsamości, a nawet pewności istnienia, jest w dużej mierze małpowaniem mediów. Każdy chciałby być postacią z bilbordu, z serialu czy reklamy kosmetyków, czyli niekoniecznie sobą. Jeśli tak jest rzeczywiście, to należy się temu najwyższe ubolewanie. Ale przecież właściwie nie wiem, co jest pisane naszemu gatunkowi i na co on zasługuje naprawdę!

Już wielokrotnie o tym pisałem, że w historii człowieczeństwa liczy się nie to, co typowe, bo typowość jest nudna, ale to, co wyjątkowe, osobne; to, co odbiega od potocznej codzienności, może, choć niekoniecznie musi, być czymś ratunkowym dla kultury, społeczeństwa, ludzkości. Ale czasy są takie, że wszyscy robią to, co inni, z czego wynika homogeniczna jednostajność. Lecz to chyba jedno z typowych kalektw duchowych naszego gatunku. Pięknie to wyraża chińska przypowieść zapisana w *Prawdziwej księdze południowego kwiatu* z VI wieku przed Chrystusem: „Strażnik bramy Jen po śmierci rodziców zaczął umartwiać się i zawodzić, za co spotkała go liczne nagrody i zaszczyty. Widząc to, jego sąsiedzi również zaczęli umartwiać się i zawodzić tak, że większość z nich umarła”.

Świadek epoki totalitaryzmów



Fot. Mariusz Kubik, wikimedia.org.pl

Wspomnienie
o WŁADYSŁAWIE
BARTOSZEWSKIM

STEFAN ZABIEROWSKI

Władysława Bartoszewskiego spotkałem osobiście dwa razy. Wydawać by się mogło, że były to spotkania incydentalne. Teraz jednak, z perspektywy czasu widzę to trochę inaczej. Ale do rzeczy. Pierwszy raz ujrzałem i usłyszałem redaktora Bartoszewskiego na początku lat sześćdziesiątych, kiedy w krakowskim Klubie Inteligencji Katolickiej, przy ul. Siennej 5, w słynnej sali portretowej, wygłosił odczyt na temat wydawnictw konspiracyjnych z lat drugiej wojny światowej. Odczyt był wzbogacony o wystawę 120 książek, z kolekcji prelegenta, które były świetną ilustracją tego, o czym kompetentnie i interesująco opowiadał. Pamiętam, jak pod okładką podręcznika dla straży pożarnych, wydanego rzekomo przed rokiem 1939, kryły się dywersyjne instrukcje podpalania cystern z benzyną, zaś pod okładką „Śpiewnika domowego” Stanisława Moniuszki odnaleźć można było takie pieśni, jak mazurek Dąbrowskiego czy Rota. Drugi raz miałem okazję spotkać i poznać Władysława Bartoszewskiego,

wówczas sekretarza generalnego PEN-Clubu, w siedzibie tej organizacji w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki, w roku 1975. Okazją do spotkania była, zorganizowana z inicjatywy ówczesnego sekretarza Zarządu warszawskiego Związku Literatów Polskich Leszka Proroka, dyskusja nad właśnie ukończoną, najpełniejszą wówczas na świecie, zbiorową polską edycją „Dzieł” Josepha Conrada-Korzeniowskiego, wielkim dziełem Zdzisława Najdera. Głos w niej zabierali: Andrzej Braun, Leszek Prorok, Maria Janion, Zygmunt Kubiak i wielu innych. Dziś widzę, że spotkania te łączą się i nabierają charakteru symbolicznego. Conrad bowiem patronował temu pokoleniu, do którego należeli, obecni na tej dyskusji żołnierze Armii Krajowej: Bartoszewski, Braun czy Prorok. Pisał o tym ich rówieśnik Jan Józef Szczepański w znanym esejie:

Data urodzin, 19 lutego 1922, lokuje Bartoszewskiego w kręgu socjalnym, który w języku krytyki literackiej,

Moje incydentalne spotkania z Bartoszewskim z perspektywy czasu nabierają znaczenia symbolicznego. Bowiem Władysław Bartoszewski, prezentując wydawnictwa konspiracyjne, jednocześnie mówił o tym okresie historii, który uformował jego osobowość.

„Stąd zapewne Conrad. Ledwie zauważany dotychczas – jeden z klasyków w bibliotece (trochę egzotyczniejszy od pozostałych, więc zawsze jakby osobny, ale, zdawałoby się, taki daleki w swojej angielskiej skórce, na swoich oceanach. I nagle odkrycie: aktualniejszy niż wszyscy. Jak gdyby czekał na ten czas, żeby wyznaczyć nam kurs na mapie.”

a z czasem historii literatury, nazywany bywa: pokoleniem wojennym, pokoleniem Kolumbów, pokoleniem dramatycznym, pokoleniem straconym, pokoleniem spełnionej Apokalipsy i paru innymi określeniami. W biografii Bartoszewskiego mamy jakby kumulację, czy syntezę, tyle że szczęśliwie zakończoną, losów owej generacji. Ale przystąpmy do konkretów. Bartoszewski urodził się w Warszawie w solidnej rodzinie mieszczańskiej, ojciec był urzędnikiem bankowym. Miał szczęśliwe dzieciństwo i młodość, korzystał jak wielu jego rówieśników z faktu życia w niepodległym państwie. Maturę zdał, podobnie jak Krzysztof Baczyński, w maju 1939 roku. Pisał wypracowanie maturalne na temat: „Idea miłości ojczyzny w poezji Adama Mickiewicza”. Wojna i okupacja stała się, podobnie jak dla wielu z tej generacji, klasycznym przeżyciem pokoleniowym – wydarzeniem historycznym, jakie miało miejsce, kiedy przedstawiciele tej generacji przekraczali próg dojrzałości i które kształtowało potem całe ich życie. Młody Bartoszewski bierze udział w obronie Warszawy, jest noszowym w służbie zdrowia, zaś największą jego tragedią staje się wówczas zwycięska defilada wojsk niemieckich przed Hitlerem, w Warszawie, w dniu 5 października 1939 roku. Niedługo potem spotyka Bartoszewskiego jeszcze gorsze przeżycie: w ramach akcji AB zostaje aresztowany w obławie na Żoliborzu i skierowany do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie otrzymuje numer 4427 Na ogół tego typu doznanie było dla wielu jego rówieśników, na przykład dla Tadeusza Borowskiego, kulminacją doświadczeń okupacyjnych. Dla Władysława Bartoszewskiego był to początek edukacji okupacyjnej. Kilkumiesięczny pobyt w tym piekle na ziemi ukształtował postawę Bartoszewskiego do końca życia – postanowił walczyć ze złem. Nic tedy dziwnego, że kiedy wrócił do Warszawy i odzyskał siły po cierpieniach obozowych, za radą swego spowiednika, ks. Jana Zieji, postanowił dać świadectwo tym straszliwym doświadczeniom. Bartoszewski też rychło związał się z różnymi kręgami antyhitlerowskiej konspiracji. Motywem tego postępowania wówczas i w wielu późniejszych latach aż po rok 1989 była niemożność pogodzenia się z faktem, że jego ojczyzna ma

utracony (lub ograniczony) byt suwerenny. Do wejścia do podziemia namówili Bartoszewskiego Jan Kozielski (znany pod pseudonimem Jana Karskiego) oraz znakomita pisarka Zofia Kosak. Bartoszewski został członkiem organizacji katolickiej o nazwie Front Odrodzenia Polski, funkcjonariuszem Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej, o którym pisał, że:

Bartoszewski w tym czasie także współpracował z „Żegotą”, bo taki kryptonim nosiła Rada Pomocy Żydom, jedyna w Europie organizacja podziemna ratująca Żydów. Jak wspominał po latach:

A zarazem był studentem polonistyki tajnego Uniwersytetu Warszawskiego. Czyli wszedł w różne kręgi, w których uczestniczyli jego rówieśnicy: konspirację cywilną i wojskową, udzielanie ratunku Żydom, czy też praca wywiadowcza w Komórce Więziennej w podziemnym Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu RP. Równocześnie w tym czasie Bartoszewski aktywnie działał (oczywiście również w podziemiu) jako publicysta. Zamieszcza swoje artykuły w takich pismach, jak „Prawda Młodych”, w którym jest redaktorem naczelnym oraz „Prawdzie”, organie Frontu Odrodzenia Polski, gdzie pełni funkcję sekretarza redakcji. Przede wszystkim jednak podejmuje się benedyktyńskiego dzie-

ła zbierania materiałów i dokumentowania zbrodni hitlerowskich na narodzie polskim. Kolekcjonuje na przykład hitlerowskie plakaty zawierające listy rozstrzelanych w zbiorowych egzekucjach i konfrontuje je z informacjami z innych podziemnych źródeł. Kulminacją biografii okresu okupacji jest udział redaktora Bartoszewskiego w Powstaniu Warszawskim, jako adiutanta dowódcy radiostacji „Anna”. Jest też redaktorem pisma „Wiadomości z Miasta i Wiadomości Radiowe”. I znów Bartoszewski uczestniczy w wydarzeniu, które stanowi kluczowy punkt przeżycia pokoleniowego jego generacji. Szczęśliwie, inaczej niż wielu rówieśników, – Baczyński, Gajcy, Stroński i inni – uchodzi z życiem. Okres powojenny to kolejny ważny etap w bogatej biografii Bartoszewskiego. Nie akceptuje ograniczenia niepodległości Polski, rezultatu postanowień wielkich mocarstw w Teheranie, Jaltie i Poczdamie. Nadzieje wiąże z osobą i programem Stanisława Mikołajczyka, przywódcy opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wchodzi w skład redakcji organu PSL, dziennika „Gazeta Ludowa”. Na tych łamach informuje o przebiegu Powstania Warszawskiego i martyrologii polskiego społeczeństwa. Zebrane przez Bartoszewskiego materiały na temat zbrodni hitlerowskich przedstawione są w procesie przywódców III Rzeszy w Norymberdze. Niestety, i tutaj Bartoszewski wpisuje się w tragiczne, już powojenne, losy wielu przedstawicieli swojego pokolenia. Zostaje dwukrotnie (bo w roku 1946 i 1949) aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i skazany ostatecznie na 8 lat stalinowskiego więzienia, pod zarzutem szpiegostwa. Los swój dzieli z wieloma ludźmi różnych pokoleń i orientacji ideowych, zasłużonymi dla sprawy niepodległości Polski – od socjalistów do narodowych demokratów. Ostatecznie redaktor Bartoszewski zostaje, na fali przemian październikowych, uwolniony i w pełni zrehabilitowany. Pod koniec lat pięćdziesiątych rozpoczyna współpracę z tygodnikami „Stolica” i „Świat”, zamieszczając w nich cykle artykułów będących kroniką okupacji. Zostaje też członkiem redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Bartoszewski bowiem zdawał sobie sprawę, że w warunkach cenzury komunistycznej było rzeczą prawie niemożliwą wydanie prac interpretacyjnych z zakresu historii współczesnej. Za radą profesora Stanisława Płoskiego, dyrektora krótko istniejącego po wojnie Instytutu Pamięci Narodowej, skoncentrował się na solidnej pracy dokumentacyjnej, do której był przygotowany jak mało kto i która stanowiła podstawę dla późniejszych interpretacji i syntez. Z czasem Bartoszewski materiały, publikowane pierwotnie w prasie, wydawał w postaci książkowej. Pozycje owe stanowią im-

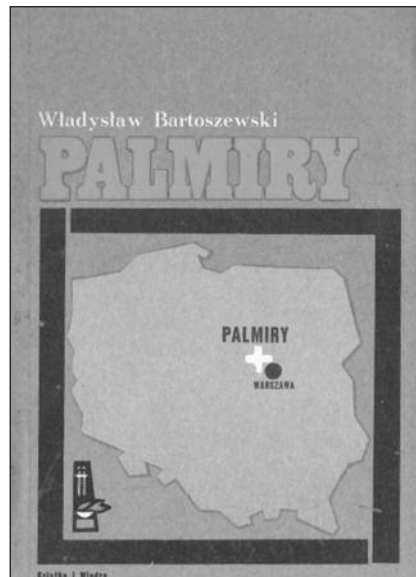


ponujący wkład w poznanie losów Polaków i Żydów w latach II wojny światowej. I tak kolejno ukazywały się opasłe tomy: „Ten jest z ojczyzny mojej” „Polacy z pomocą Żydom 1939-1945” (Kraków 1966), „Warszawski pierścień śmierci. 1939-1944” (Warszawa 1967), „Palmiry” (Warszawa 1969), czy bodaj najważniejsza z nich – „1859 dni Warszawy” (Kraków 1974). Pisał w przedmowie do tej książki profesor Aleksander Gieysztor:

Tu należą także, wydane pierwotnie w Londynie, „Dni walczącej stolicy” (1984). Żaden poważny badacz okupacji nie może pominąć tych fundamentalnych książek. W sumie Bartoszewski jest autorem ponad 40 pozycji książkowych, z których wiele tłumaczonych było na języki obce, przede wszystkim – na niemiecki.

Po roku 1956 Bartoszewski podejmuje szeroką działalność społeczną i pełni szereg odpowiedzialnych funkcji. Będą to: prezesura Towarzystwa Przyjaciół Książki, członkostwo zarządu, a potem stanowisko sekretarza generalnego, polskiego PEN-Clubu. W początku lat siedemdziesiątych obejmuje wykłady z historii współczesnej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, które cieszą się wielkim zainteresowaniem. Dla ambitniejszych studentów lubelskich prowadzi prywatne seminaria w Warszawie. Zaś w latach osiemdziesiątych prowadzić będzie, w charakterze profesora gościnnego, wykłady na uniwersytetach niemieckich: na uniwersytecie w Monachium, na katolickim uniwersytecie w Eichstatt, czy też na uniwersytecie w Augsburgu. Bartoszewski, stary konspirator i niepodległościowiec, rozpoczyna też swoją walkę z „błędami i wypaczeniami” PRL-u, szczególnie podpisuje protest przeciw proponowanemu przez ekipę Gierka zmianom w Konstytucji PRL. Występuje w obronie represjonowanych robotników z Radomia i Ursusa. Wspólnie z innymi przedstawicielami opozycyjnej inteligencji twórczej zakłada Towarzystwo Kursów Naukowych i staje się jednym z najbardziej znanych wykładowców tej organizacji, koncentrując się na współczesnej historii Polski i relacjach polsko-żydowskich. Inauguracyjny wykład Towarzystwa Kursów Naukowych, otwierający rok akademicki 1979/80 ma za temat „Polskie Państwo Podziemne”. Za namową Zdzisława Najdera zostaje współpracownikiem konspiracyjnego Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. obok takich postaci, jak Andrzej Kijowski, Wojciech Roszkowski, Jan Olszewski, czy Jan Józef Szczepański. W sierpniu 1980 roku solidaryzuje się z robotnikami Wybrzeża i zostaje członkiem NSZZ „Solidarność”. Wprowadzenie stanu wojennego zastaje Bartoszewskiego w obozie internowanych w Jaworzu. Pod naciskiem intelektualistów i polityków zagranicznych, z któ-

Jego legitymacją był przede wszystkim pobyt w Auschwitz i działalność w „Żegocie”. I znowuż dane mu było to, czego nie dożyli jego rówieśnicy, padli w walce partyzanckiej, polegli w Powstaniu Warszawskim, zgnębieni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, czy ofiary represji okresu stalinizmu.



rzymi władze stanu wojennego, chcąc nie chcąc, musiały się liczyć, zostaje zwolniony z miejsca internowania.

Niepodległa Polska powołuje Władysława Bartoszewskiego na szereg odpowiedzialnych funkcji. Na prośbę premiera Tadeusza Mazowieckiego obejmuje, w wieku 68 lat, stanowisko ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Republice Austrii. Później, dwukrotnie pełni funkcję ministra spraw zagranicznych – w rządzie Józefa Oleksego (z rekomendacji prezydenta Lecha Wałęsy) oraz w rządzie Jerzego Buzka. Nomina-cje te były pozornie zaskakujące. Bo jak-

że to – historyk, publicysta historyczny, dziennikarz dyplomata i ministrem? Można powiedzieć, że w ówczesnych warunkach trudno było o bardziej fortunne nominacje. Bartoszewski bowiem był postacią znaną i posiadał cenne kontakty w różnych środowiskach politycznych Niemiec, Austrii, Izraela, polskiej emigracji niepodległościowej, a także w kręgach kościelnych. Znał osobiście cały szereg postaci z pierwszych stron gazet i cieszył się niezwykłym autorytetem. Pełniąc tak odpowiedzialne funkcje, Bartoszewski w sposób istotny przyczynił się do poprawy i normalizacji stosunków polsko-niemieckich (chodziło o zjednoczone państwo niemieckie) i polsko-izraelskich. Jego legitymacją był przede wszystkim pobyt w Auschwitz i działalność w „Żegocie”. I znowuż dane mu było to, czego nie dożyli jego rówieśnicy, padli w walce partyzanckiej, polegli w Powstaniu Warszawskim, zgnębieni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, czy ofiary represji okresu stalinizmu. Pod koniec życia spotkały Bartoszewskiego różne zaszczyty i honory: możliwość przemawiania w Bundestagu, przed obu izbami parlamentu niemieckiego, honorowe obywatelstwo państwa Izrael, czy najwyższe polskie odznaczenie – order Orła Białego.

Napisałem powyżej, że moje incydentalne spotkania z Bartoszewskim z perspektywy czasu nabierają znaczenia symbolicznego. Bowiem Władysław Bartoszewski, prezentując wy-dawnictwa konspiracyjne, jednocześnie mówił o tym okresie historii, który uformował jego osobowość. Patronując dyskusji o Conradzie-Korzeniowskim, odwoływał się do twórcy, który w istotny sposób kształtował ethos jego pokolenia, nie darmo autor „Lorda Jima” nazywany był „pisarzem akowskim”. Dziś, z perspektywy czasu, widzimy, że bogaty i trudny życiorys Bartoszewskiego jest swoistą summa i syntezą wielu biografii przedstawicieli jego pokolenia, generacji chyba najbardziej zasłużonej w dwudziestowiecznej historii Polski. Bartoszewski był jednym z ostatnich wielkich reprezentantów tego pokolenia. Pozostanie w naszej pamięci przede wszystkim jako bojownik o wolność Polski i wiarygodny świadek epoki totalitaryzmów, i tego brunatnego i tego czerwonego.





Z ALICJĄ KNAST,
dyrektorką
Muzeum Śląskiego
w Katowicach
i Muzeum Górnos Śląskiego
w Bytomiu

rozmawia
ŁUKASZ KARKOSZKA

Przestrzeń dialogu i artystycznego fermentu

– Muzeum Śląskie 26 czerwca otwarło kolejny ważny rozdział nie tylko w swojej historii, ale i całego regionu. Jakie znaczenie dla mieszkańców województwa ma nowa siedziba muzeum?

– Jest emanacją zjawiska, jakim jest Górny Śląsk. Muzeum Śląskie pozwala na nowo spojrzeć na nasz region. Nie tylko opowiada o tym, czym był Górny Śląsk w przeszłości, lecz również pokazuje, czym jest obecnie i wskazuje kierunek rozwoju. Rzadko zdarza się, żeby instytucja muzealna była dla odbiorców tak czytelnym komunikatem nie tylko o przeszłości, ale co jeszcze raz podkreślam – o terażniejszości i przyszłości. Z pewnością potrzeba czasu, by mieszkańcy regionu zdali sobie sprawę z ogromnego znaczenia tego muzeum, choć na poziomie emocji tych, którzy już mieli okazję je zwiedzić, widać wyraźnie, że to miejsce rezonuje. Odbiorcy podświadomie czują, że wraz z jego otwarciem



wydarzyło się coś ważnego dla Śląska. Proszę mi wierzyć, że z tak pozytywnie mocnym odbiorem jeszcze się nie spotkałam. I nie wynika to tylko z faktu, że ktoś zachwycił się budynkiem czy którąś z ekspozycji. To coś więcej. Wydaje mi się, że wielu mieszkańców zaczyna zdawać sobie sprawę, że to muzeum jest częścią nowego wizerunku Górnego Śląska, wyrażającego się w potrzebie odczytania się na nowo. Jest po prostu symbolem zmiany. Kiedy 17 stycznia 2015 roku wraz z zespołem ogłaszaliśmy misję naszego muzeum, premier Ewa Kopacz podpisywała w Katowicach porozumienie z górnictwymi związkami zawodowymi. Zbieg tych dwóch wydarzeń był dla nas symboliczny – zdaliśmy sobie wówczas sprawę, że stajemy się jako instytucja aktywnym uczestnikiem kulturowo-społecznej zmiany. I to zmiany fundamentalnej: oto bowiem przy zachowaniu szacunku dla dziedzictwa industrialnego regionu, wchodzimy w nowy dynamiczny okres, który pozwoli przełamać stereotyp „czarnego Śląska”. Oczywiście będzie to proces długotrwały. Dlatego nasza misja „kreowania przestrzeni dla dialogu z przeszłością i dokonaniem współczesności w celu głębszego poznawania Śląska, Polski i Europy”, będzie przez długi czas aktualna.

– **Czy Muzeum Śląskie może mieć wpływ na kształtowanie, a może wręcz odkrywanie śląskiej tożsamości?**

– Zdecydowanie tak, lecz bardziej określiłabym to, jako budowanie świadomości potrzeby posiadania tożsamości. Z zastrzeżeniem, że nie dajemy gotowej odpowiedzi, czym jest, nie tyle śląska tożsamość, a raczej konstelacja różnych, równoległych tożsamości, które wykształciły się w tym regionie. Ów proces budowania świadomości tożsamości przebiega na kilku poziomach. Pierwszy to przestrzeń publiczna, w której tworzy się rodzaj zbiorowego doświadczenia, budującego poczucie wspólnoty. Drugi to

nabywanie wiedzy o historii Górnego Śląska, umożliwiającej wyrobienie sobie własnego zdania o Śląsku i umiejscowienia osobistej narracji w panoramie wydarzeń, które tutaj się rozegrały. Na ekspozycji „Światło historii. Górny Śląsk na przestrzeni dziejów” w równym stopniu mówimy o faktach powszechnie znanych, takich jak powstania śląskie czy plebiscyt, jak i tych, które przez lata były przemilczane, jak chociażby kwestia Tragedii Górnos Śląskiej. Dzięki temu wystawa pozwala widzowi poznać związki przyczynowo-skutkowe wydarzeń, które doprowadziły Śląsk do dnia dzisiejszego. Wreszcie przedstawiona historia pozwala widzowi zobaczyć kierunek, w którym region się rozwija. To wszystko sprawia, że możemy myśleć o Śląsku nie w kategorii porażki, lecz duchowego bogactwa, z którego powinniśmy być dumni i z którego możemy czerpać. Reasumując, Muzeum Śląskie jest miejscem spotkań, kompendium wiedzy i komunikatem dla przyszłości.

– **Placówkę odwiedzać będą jednak nie tylko rodowici Ślązacy, ale też goście z innych regionów Polski. Czy i w jaki sposób Muzeum Śląskie pomoże im poznać i zrozumieć specyfikę regionu i jego mieszkańców?**

– To, że pomoże im „rozpoznać” region jest pewne. Dla wielu gości spoza Śląska sporym zaskoczeniem jest, że nasza historia w wielu miejscach była tak tragiczna i bolesna. Zresztą o naszym regionie mówi nie tylko wystawa dedykowana historii Górnego Śląska, ale też chociażby ekspozycja malarstwa polskiego, które przez lata kolekcjonował profesor Tadeusz Dobrowolski. Dopiero, gdy spojrzysz się na całość zaprezentowanych zbiorów, dostrzeże się wysiłek, jaki przez dekady włożono w rozwój tego regionu. Dziś tyle uwagi poświęca się nowemu budynkowi muzeum, a jednak dla wielu symbolem wielkości Śląska nadal pozostaje gmach zaprojektowany przez Karola

Schayera. Był to, jak na tamte czasy jeden z najnowocześniejszych budynków muzealnych na świecie. Był wręcz rodzajem patriotycznego manifestu. Nie może więc dziwić, że spośród wielu budynków, które hitlerowcy mogli zniszczyć, wybrali właśnie gmach Muzeum Śląskiego. Chodziło bowiem o zburzenie pewnej idei. Dziś po latach zrozumiąły jest więc emocjonalny stosunek Ślązaków do nowego gmachu, który jest swoistym symbolem nowego oblicza Śląska, czytelnego również dla ludzi z zewnątrz.

– **Jakie są największe atuty nowego gmachu? Czy jest on równie nowoczesny, jak wspomniany już obiekt zaprojektowany przez Karola Schayera?**

– Paradoksalnie nie jest tak nowoczesny. Budynek Schayera miał 90 tysięcy metrów sześciennych kubatury, nasz ma 228 tys. ale nie o rozmiarzy chodzi a o koncepcję przestrzeni architektonicznej polegającej m. in. na systemie ścianek przesuwanych, które pozwalały na dowolne wykorzystanie przestrzeni. Ówczesny rozmach Muzeum Śląskiego był bezprecedensowy nie tylko w skali regionu, ale całej II RP. Nawet dziś trudno przebić taką wizję. Nasz budynek jest nowoczesny nie tyle poprzez naspikowanie go najnowocześniejszymi rozwiązaniami – to jest już światowy standard – ile poprzez innowacyjną koncepcję, którą zaproponowali architekci z biura projektowego Riegler Riewe Architekci. Budynek nie komunikuje gościom, że sam w sobie jest monumentalnym architektonicznym dziełem sztuki, ponieważ... jest ukryty pod ziemią. Tym samym tworzy całkowicie odmienną przestrzeń wystawienniczą niż tradycyjne muzea. Zaprasza do odbycia pasjonującej intelektualno-estetycznej podróży i odkrywania bogactwa tego regionu.

– **Wspomnieliśmy już o wystawie „Światło historii. Górny Śląsk na przestrzeni dziejów”, która ma być kompendium wiedzy o regionie. W ostatnim**



Fot. J. Mężyk

Galeria Plastyki Nieprofesjonalnej

czasie pojawiły się jednak głosy krytyczne o wystawie. Leszek Jodliński był dyrektorem Muzeum Śląskiego napisał wręcz, że „wystawa rozczarowuje estetycznie i przeczy podstawowym zasadom organizacji przestrzeni muzealnej” („GW”, 17.07.2015). Czy ta ekspozycja spełnia swoje zadania? Czy jest w stanie opowiedzieć o regionie? Czy też, jak mówią oponenty jest niepełna i po prostu niedokończona?

– Zaplanowane na etapie projektowania koszty wystawy, jak również założenia przestrzenne tj. konieczność zbudowania jej na ponad 1300 metrów kwadratowych powierzchni z wyłączonym fragmentem, który zajmuje świetlik oraz konieczność wybudowania dodatkowej podłogi technicznej w przestrzeni o wysokości 4,5 metrów, na starcie stawia projektantów w sytuacji nietypowej. Koszt wykonania jednego metra kwadratowego wynosi 9 tys. zł. W Muzeum Historii Żydów Polskich było to 17 tys. zł a w Muzeum Chopina ponad 20 tys. zł. Na wystawie kilka elementów nie spełniło swojej roli, ponieważ są niefunkcjonalne i to sukcesywnie poprawiamy. Są głosy krytyczne, ale one są w mniejszości. Wystawa podoba się zwiedzającym zarówno tym, którzy mają własne wspomnienia oraz tym, dla których fenomen Górnego Śląska jest dopiero do odkrycia.

– **W nowej siedzibie muzeum zaprezentowana została część eksponatów jednej z największych kolekcji scenograficznych w Europie. Co jest największym walorem wystawy „Laboratorium Przestrzeni Teatralnych”?**

– Ekspozycja przybliży estetykę poszczególnych nurtów w historii scenografii. Stworzona została w konwencji magazynu, w którym widzowie mogą się „zgubić” i odkrywać dla siebie poszczególne eksponaty. „Laboratorium Przestrzeni Teatralnych” pozwala blisko podejść do eksponatu, kostiumu, kukły. Wystawa wzbudziła szczególny zachwyt wśród ludzi parających się grafiką komputerową, którzy przyznają, że wiele z prezentowanych projektów jest nie do powtórzenia w wersji wirtualnej, gdyż są tak precyzyjnie opracowane. Oglądając tę wystawę trzeba chcieć się wciągnąć w ten fascynujący teatralny świat – tylko wówczas dostrzeżemy całe jego piękno. Planujemy poszerzać nasze zbiory o scenografię filmową i telewizyjną, bo choć jest to materia chwilowa i ulotna, to wymaga badań i refleksji.

– **W muzeum wyeksponowane zostały też prace plastyków nieprofesjonalnych...**

– Nie wyobrażałam sobie, by mogło tych prac tutaj zabraknąć. Tym bardziej że te zbiory są także odzwierciedleniem fenomenu Górnego Śląska, w którym przez dekady nie istniało regularne, profesjonalne szkolnictwo artystyczne. W tym czasie jednak nie brakowało ludzi, którzy chcieli zajmować się sztuką. Choć nie posiadali formalnego wykształcenia przelewali na płótno swoje emocje i przemyslenia. Można różnie oceniać ich

prace, jednak z ich twórczości płynie dla nas ważny komunikat: sztuka jest jedna. Dlatego w naszym muzeum widz płynnie przechodzi z galerii sztuki polskiej do galerii sztuki nieprofesjonalnej.

– **Czekamy jeszcze na otwarcie jednej stałej wystawy dotyczącej śląskiej sztuki sakralnej...**

– Ekspozycja zostanie otwarta pod koniec roku. Zaaranżowana zostanie w formie *quasi* nawy kościelnej. Pokaże nasz region jako miejsce styku wielu kultur. W sztuce sakralnej bowiem bardzo wyraźnie widać obce wpływy. Miejsca kultu przez wieki żyły swoim życiem, niejako poza obiegiem geopolitycznym, dlatego też zatrudnienie rzeźbiarza z Czech czy Prus nie było żadnym problemem. Mam nadzieję, że wystawa pozwoli spojrzeć na nasz region jako miejsce pogranicza, co przełożyło się też na kształtowanie świadomości śląskich tożsamości.

– **W nowym gmachu nie zabraknie też wystaw czasowych. Co widzowie zobaczą w najbliższych miesiącach?**

– Jesienią na zakończenie cyklu „Festiwału Otwarcia” planujemy wystawę „Z głębi... Artyści Muzeum Śląskiego”, będącą prezentacją prac zadedykowanych Muzeum Śląskiemu. Będą to dzieła, które powstały lub zostały wybrane z myślą o naszej placówce. W ten sposób chcemy nawiązać do idei z czasów restytucji Muzeum Śląskiego, kiedy ówczesny dyrektor placówki – doktor Lech Szaraniec rozpoczął akcję gromadzenia dzieł sztuki współczesnej. We wrześniu odbędzie się w muzeum kolejna edycja Festiwału Nowej Scenografii, a w październiku gościć będziemy artystów 9. Triennale Grafiki Polskiej. Ważnym wydarzeniem będzie również wrześniowy pokaz video-artów Lecha Majewskiego pod znamennym tytułem „Podziemne słońce”.

– **Nowy gmach tętni już życiem, ale na terenie muzeum nadal prowadzone są prace modernizacyjne kolejnych budynków...**

– Tak. Chcemy poszerzyć infrastrukturę muzealną o kolejne budynki: zbudowane w industrialno-pałacowej architekturze warsztat i kuźnię oraz wieżę ciśnień. Na modernizację warsztatu i kuźni będziemy starać się pozyskać środki z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2014–2020, natomiast remont wieży ciśnień chcielibyśmy przeprowadzić w formule partnerstwa publiczno-prywatnego. Docelowo w warsztacie i kuźni znajdzie się ekspozycja prezentująca fenomen industrialnego Śląska. Będziemy chcieli wnikliwie przyjrzeć się historii przemysłu wydobywczego, hutniczego i zbrojeniowego w regionie. Natomiast w wieży ciśnień chcielibyśmy opowiedzieć nieco o geologii historycznej.

– **W jakim kierunku zamierza pani rozwijać Muzeum Śląskie?**

– Będziemy dążyć do tego, aby muzeum zachowało równowagę między tradycyjną formą placówki muzealnej,

a nowoczesnymi, eksperymentalnymi rozwiązaniami muzealnymi. Chciałabym, żeby Muzeum Śląskie było krytyczne wobec samego siebie, żeby cały czas reagowało na zmieniającą się rzeczywistość, a nie było tylko miejscem rozmowy o przeszłości. Ważne, aby te dwa podejścia się ścierały i były zaczynem intelektualnego fermentu. Jest to możliwe, tym bardziej że trudno nasze muzeum jednoznacznie zaszufladkować – nie jesteśmy bowiem ani placówką *stricte* historyczną, ani galeryjną, ani też nie idziemy całkowicie w stronę formuły muzealnego magazynu – tendencji popularnej w ostatnim czasie w zachodnich placówkach. Jestem przekonana, że Muzeum Śląskie ma szansę stać się miejscem reprezentacji nie tylko świata artystycznego, ale i intelektualnego, w którym refleksja o regionie będzie ciągle żywa.

– **Muzeum Śląskie w związku z niedawnym otwarciem jest na ustach wszystkich. A co z Muzeum Górnos Śląskim w Bytomiu, którym również pani kieruje? Jaki los czeka tę placówkę?**

– Bytomskie muzeum musi jak najszybciej wejść na ścieżkę inwestycyjną. Budynek przy placu Jana III Sobieskiego wymaga remontu i dostosowania sal wystawowych do współczesnych wymogów ekspozycyjnych. Inwestycji i dostosowania do potrzeb osób niepełnosprawnych wymaga również gmach przy ulicy Korfańskiego, tzw. UL. Prace remontowe, choć tak potrzebne, nie zmieniają jednak tego, że Katowice są lepiej skomunikowane z innymi miastami regionu i to tam przecinają się najważniejsze szlaki komunikacyjne, dlatego też Muzeum Śląskie zawsze będzie bardziej dostrzegalne. Niemniej podejmować będziemy działania, by dotrzeć z ofertą Muzeum Górnos Śląskiego do jak najszerzego grona odbiorców. Tym bardziej że bytomska placówka posiada wspaniałe kolekcje przyrodnicze czy sztuki współczesnej, które powinny zostać odpowiednio wyeksponowane. Otwarta natomiast nadal pozostaje kwestia połączenia obydwu placówek. Dyskusja pomiędzy Urzędem Marszałkowskim Województwa Śląskiego a Urzędem Miasta Bytom trwa, czekamy na jej efekty. Niemniej, tak jak już kiedyś mówiłam połączenie muzeów może przynieść tylko same korzyści. Obydwie placówki odgrywają ważną rolę na muzealnej mapie Śląska i mogą wspaniale się uzupełniać, czy to ofertą czy rodzajem prowadzonych zadań o charakterze promocyjnym. Nie jest mi znany przykład dwóch muzeów w Polsce różniących się strukturą finansowania (MS jest prowadzone przez Urząd Marszałkowski i Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego a MGB jedynie przez Urząd Marszałkowski), które mają wspólny bilet, a nasze muzea tak właśnie zaczęły działać. Po pierwszych dniach sprzedaży widzimy, że oferta się spodobała.



Panorama Mościsk

Szukając śladów polskości na Ukrainie zwykle niemal automatycznie myślimy o Lwowie i Podolu, pełnym bajecznych zamków i fortec, znanych chociażby z powieści Henryka Sienkiewicza. Do tego dochodzą miejsca powiązane ze Słowackim (Krzemieniec) i Mickiewiczem (opiewane przez wieszczą stepy Obwodu Chersońskiego czy okupowany obecnie Krym). Tymczasem te wszystkie skojarzenia – to raczej historia, sentymenty. Współczesna polska kultura jest natomiast gdzie indziej – w Żytomierzu, Winnicy i położonym tuż obok Przemyśla Rejonie Mościskim.

To właśnie tam żyje obecnie najwięcej Polaków, chociaż zamieszkałe licznie przez polską mniejszość miejsca nie są dziś obiektem wycieczek osób, szukających polskości u naszych wschodnich sąsiadów. Może więc warto to zmienić?

**Polacy na Ukrainie
– nie tam, gdzie myślimy**

Choć dla wielu z nas może to być zaskoczeniem, ale w kojarzonym z polską kulturą Lwowie obecnie nie ma zbyt wielu Polaków. W tym 800-tysięcznym mieście mieszka ich zaledwie kilka tysięcy. Wynika to z faktu,

Mościska i okolice, czyli...

Kresy inaczej niż zwykle

Tekst i zdjęcia:
JAKUB
ŁOGINOW

iz w okresie powojennym niemal wszyscy Polacy ze Lwowa wyjechali – niektórzy z własnej woli przenieśli się do Polski (np. do Wrocławia czy Katowic) w poszukiwaniu lepszego życia, inni zostali do tego zmuszeni, jeszcze innych sowiecka władza wywiozła na Sybir lub do Kazachstanu. Dlatego spośród wielkich miast, obecnie więcej Polaków niż we Lwowie mieszka w Żytomierzu i Winnicy,

sporo ich jest także w Kijowie. Miasta te przed wojną nie należały do Polski, a społeczność polska na tym obszarze – to potomkowie polskiej ludności, która pozostała tu jeszcze z czasów przedrozbiorowych.

Dziś już mało kto o tym pamięta, ale w XIX wieku Kijów był jednym z ważniejszych ośrodków polskości w Imperium Rosyjskim, mówienie po polsku było w dobrym tonie,

nasz język był jednym z języków wykładowych na kijowskich uczelniach. Z kolei w rejonie Żytomierza w latach 20. XX wieku istniała polska autonomiczna republika radziecka (tzw. Marchlewszczyzna) – tak wielu Polaków mieszkało w tej części Polesia. Została ona brutalnie zlikwidowana przez Stalina, który dokonał na tych terenach czystek etnicznych – mnóstwo mieszkających tam Polaków wymordowano, innych wywieziono na wschód ZSRR. Gdy dziś spotykamy naszych rodaków z Kazachstanu lub Syberii albo osoby polskiego pochodzenia stamtąd, to z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przypuścić, że są to potomkowie Polaków wywiezionych w latach 30. z Centralnej Ukrainy. Stąd też nie powinno nas dziwić, że wielu Polaków z Kazachstanu to ukraińskojęzyczni katolicy – w Kazachstanie do dziś istnieją całe wsie, w których mówi się po ukraińsku, a ich mieszkańcy czują się Polakami. Centralna Ukraina – to jedno, ale jeśli chcemy wybrać się na Ukrainę w poszukiwaniu polskości, nie musimy jechać tak daleko. Drugie największe skupisko Polaków znajduje się bowiem tuż przy polskich granicach, w położonym między Lwowem a Przemyślem Rejonie (powiecie) Mościskim.

W samych 15-tysięcznych Mościskach mieszka co najmniej 2 tysiące Polaków, a więc niewiele mniej, niż

w 800-tysięcznym Lwowie. Przy czym niemal każdy ma tu albo polskie pochodzenie, albo męża czy żonę – etnicznego Polaka. Z kolei w okolicy do dziś istnieją całe wioski, w których niemal wszyscy mieszkańcy to Polacy. Praktycznie w każdej wsi obok cerkwi grekokatolickiej funkcjonuje kościół rzymskokatolicki, z mszami odprawianymi po polsku, co jak na realia ukraińskie jest ewenementem. Przy czym nie są to, jak w innych miejscach na Ukrainie, jedynie zapuszczone zabytkowe obiekty, ślady przedwojennej przeszłości, która dawno minęła. W Rejonie Mościskim jest odwrotnie – „polskie” kościoły tętnią życiem, te zabytkowe są odnawiane, a nierzadko – budowane nowe.

Jak twierdzą mieszkańcy, w czasie wielkich przesiedleń tuż po II wojnie światowej akurat w Rejonie Mościskim było bardzo spokojnie i ludzie stąd do Polski nie wyjeżdżali. W odróżnieniu od Wołynia w tych stronach nie było polsko-ukraińskich konfliktów, nie dotarły tu nawet ich echa. Wszystko zostało więc po staremu. Rejon Mościski jest więc unikalnym jak na Ukrainę przykładem etnicznej mozaiki, w której tuż obok siebie mieszkają Polacy i Ukraińcy, rzymscy i greccy katolicy oraz (rzadziej) prawosławni, a także coraz częściej – mieszane rodziny. Jeżeli chcemy mieć więc obraz tego, jak pod względem etnicznym wyglądały Kresy przed wojną, wy-

bierzmy się na wycieczkę po okolicach Mościsk, porozmawiajmy z mieszkańcami. Uzyskamy wtedy rzeczywisty obraz współczesnej polskości na Ukrainie – bez idealizowania, sentymentów i egzaltacji, tak często towarzyszącej dyskusjom o polskiej kulturze na Zachodniej Ukrainie. Zobaczymy żywych ludzi i przekonamy się, że realny obraz Polaka na Ukrainie odbiega od stereotypu idealnej, pozbawionej wad staruszki, która nic innego nie robi, tylko walczy o utrzymanie polskości na Kresach czy ubranych w stroje ludowe dzieci, śpiewających ze wschodnim akcentem polskie patriotyczne piosenki. Zobaczymy natomiast zwykłych ludzi, Polaków dla których przynależność do polskiej mniejszości wcale nie jest najważniejszą sprawą w życiu, którzy jak każdy mają swoje zalety i wady, w tym np. zajmują się przemysłem papierosów. Takie odczarowanie polskości na Ukrainie bardzo się wielu z nas przyda – choć konfrontacja z pięknym mitem Kresów może być dla niektórych bolesna.

Mościska nie tylko tranzytem

Położone 15 km od granicy Mościska rzadko są celem wyjazdów turystycznych. Nic dziwnego, na pozór w tym miasteczku nic specjalnego nie ma. Mościska i okolice nie są tak atrakcyjne, jak chociażby niedaleka Żółkiew, nie mówiąc już o Lwowie czy Przemyślu. Mieszkańcy Mościsk tłumaczą, że tranzytowe położenie pomiędzy Przemyślem a Lwowem od wieków było dla ich miasta zarówno przekleństwem, jak i błogosławieństwem. Przekleństwem, bo konkurencja obu wspomnianych miast sprawiła, że Mościska nigdy nie stały się ważnym ośrodkiem miejskim na miarę tegoż Przemyśla, między innymi nie powstał tu ratusz czy okazały rynek. I błogosławieństwem, bo położenie na głównym europejskim szlaku komunikacyjnym (z Europy Zachodniej przez Śląsk, Kraków, Lwów do Kijowa) dawało i daje możliwości, których nie mają inne, położone nieco na uboczu miasteczka tej wielkości.

Przed wszystkim warto zaznaczyć, że Mościska tętnią życiem od wczesnego ranku do późnej nocy. Warto wybrać się tu na zakupy, zwłaszcza teraz, gdy ze względu na niski kurs hrywny produkty spożywcze oraz odzież i obuwie są na Ukrainie bajecznie tanie (oczy-



Kościół katolicki w Mościskach

wiście z punktu widzenia osoby zarabiającej w złotówkach). A przy tym – wysokiej jakości. Ukraińska żywność ma w sobie to coś, za czym tęsknimy, wspominając smaki dzieciństwa. Wciąż o wiele mniej jest tu „chemii”, produkty są smaczne i naturalne. Warto przywieźć stąd takie produkty, jak lwowska kawa, keczup, majonez, przetwory owocowe i warzywne, słodycze, dobre ukraińskie piwo, a także, co ciekawe – tanie i smaczne owoce morza. Za interesowaniem Polaków cieszą się także tanie i naturalne ukraińskie kosmetyki (np. kremy) i zioła, o których można pytać w jednej z licznych tu aptek. Ale uwaga – o ile kosmetyki i suplementy diety można przewieźć na własne potrzeby bez większych ograniczeń (w granicach rozsądku), to już przewóz leków przez granicę jest ściśle ograniczony – do jednego najmniejszego opakowania, a i to pod warunkiem, że lek jest nam niezbędny na czas podróży.

Mościska są miasteczkiem, w którym wielu podróżnych zatrzymuje się na kilkadziesiąt minut – godzinę, robiąc sobie przerwę w drodze do Polski lub z Polski do Lwowa. Ktoś – by zrobić ostatnie tanie zakupy przed przekroczeniem polskiej granicy, zjeść pizzę w jednej z licznych pizzerii, wypić kawę czy po prostu rozprostować kości. Inni – by przenocować tu po długiej podróży i przekroczeniu ukraińskiej granicy, a przed dalszą trasą np. do Kijowa. Warto jednak zatrzymać się tu nie tylko na kawę czy na zakupy, ale pospacerować po ulicach miasteczka i zwiedzić wyjątkowo liczne jak na miasto tej wielkości zabytki sakralne. Jest ich tutaj kilkanaście, a wśród nich – grekokatolickie cerkwie i rzymskokatolickie kościoły (przed jednym z nich znajduje się pomnik Jana Pawła II). Godny uwagi jest także położony na obrzeżach miasta, przy trasie wylotowej na Lwów, zabytkowy cmentarz – świadectwo bogatej polsko-ukraińskiej historii tych ziem.

Forty Twierdzy Przemysł

Najważniejsza atrakcja turystyczna tych okolic znajduje się jednak nie w samych Mościskach, ale kilkanaście kilometrów dalej – w położonej tuż przy polskiej granicy wsi Popowice. Mowa o zachowanych w dobrym stanie fortach



Forty Twierdzy Przemysł

Twierdzy Przemysł, które decyzją wielkich mocarstw znalazły się po II wojnie światowej poza polskimi granicami.

System umocowań fortecznych Twierdzy Przemysł nie bez powodu jest uznawany za jeden z najważniejszych zabytków militarnych w Europie. Była to jedna z najważniejszych fortec I wojny światowej, a jej dwukrotne, wielomiesięczne oblężenie w istotny sposób wpłynęło na przebieg walk i spowodowało marsz rosyjskich wojsk na zachód. Oczywiście warto zwiedzić nie tylko ukraińskie, ale przede wszystkim polskie forty, a także poświęcić przynajmniej jeden dzień na zwiedzanie samego Przemysła. Ale przebywając w tych okolicach, nie powinniśmy ominąć fortów w ukraińskich Popowicach – wycieczka w te strony na pewno będzie obfitować w niesamowite wrażenia i na długo zostanie w pamięci.

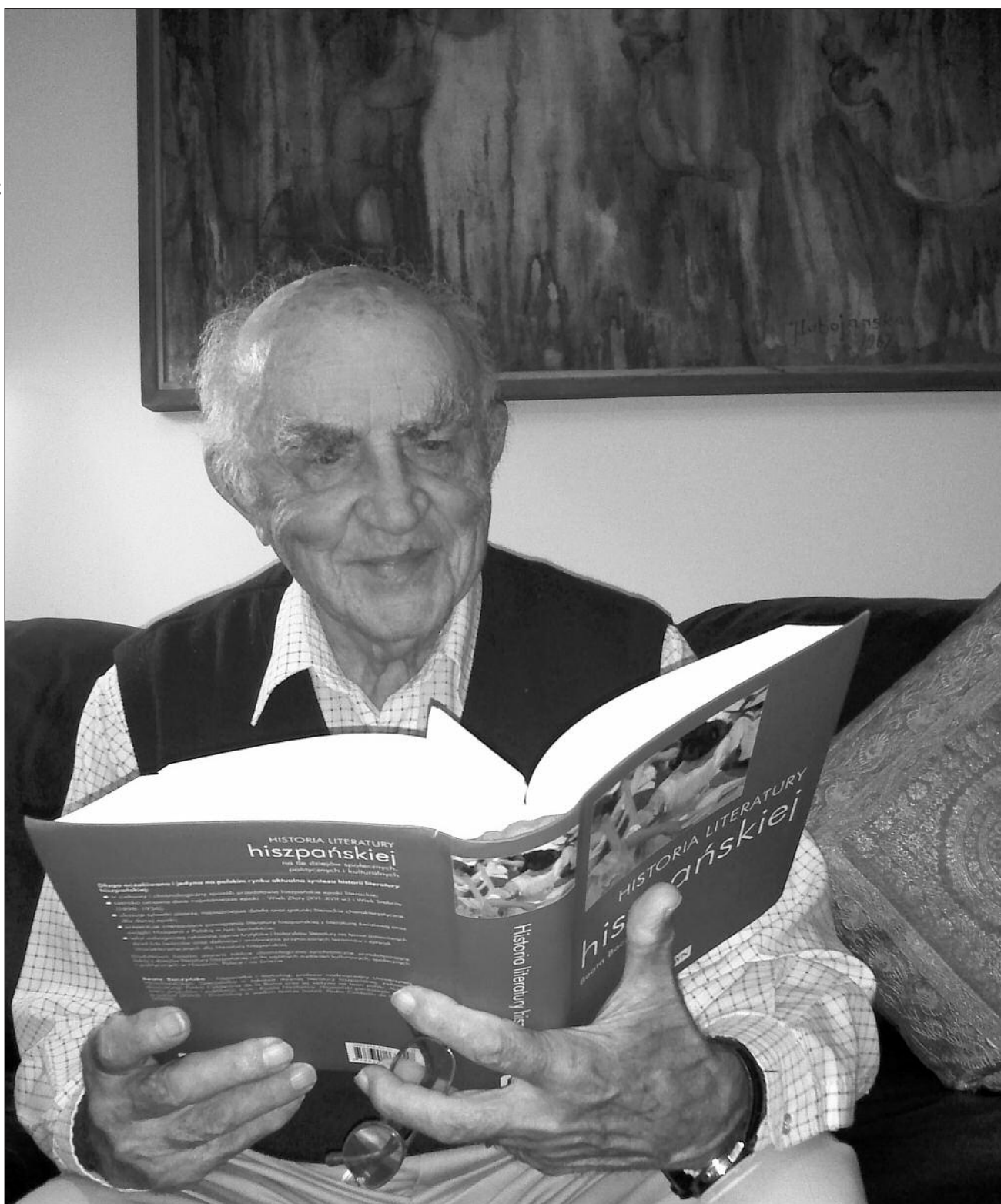
Paradoksalnie, za wysokie walory turystyczne ukraińskich fortów możemy podziękować... radzieckiej opresyjności. Tak się bowiem składa, że forty znajdują się zaledwie kilkaset metrów od polskiej granicy, a w czasach ZSRR strefa nadgraniczna była pilnie strzeżona i zamknięta dla postronnych. Forty przez te lata zarosły chaszczami, a o ich istnieniu niemal wszyscy zapomnieli. Aż do niedawna, kiedy grupa miłośników historii z Mościsk postanowiła je odnaleźć, przetrzebić zarosła – i uczynić z fortów atrakcją turystyczną.

Początkowo ukraińscy aktywiści robili wszystko własnymi rękami,

metodą „partyzancką”. Później wraz z polskimi partnerami powstał projekt unijny, w ramach którego powstały tablice informacyjne, drogowskazy i znakowany szlak rowerowy spod pieszego przejścia granicznego Szehyń – Medyka, przez Popowice, do Mościsk. Do niedawna w pobliżu fortecznego lasu odbywał się kultowy festiwal rockowy Fortmisja, na który zjeżdżali fani dobrej zabawy z obu krajów.

Mościska i forty w Popowicach leżą zaledwie kilka kilometrów od polskiej granicy. Ze Śląska dojechać tam łatwo – wystarczy wsiąść w pociąg do Przemysła, a następnie spod dworca pojechać bussem do pobliskiej Medyki. Granicę przekraczamy pieszo, zajmuje to kilka minut – i jesteśmy w Szehyńniach. A stąd co kilkadziesiąt minut odjeżdżają busy do Mościsk i rzadziej – do Popowic. Można też własnym autem, można rowerem, można zaplanować piesze wycieczki z namiotem. Może więc zamiast all inclusive w Egipcie czy Tunezji, warto w tym roku zaplanować wycieczkę w te strony?

Jakub Loginow – z wykształcenia magister inżynier towaroznawstwa, z zawodu i zamiłowania dziennikarz. Od 2010 roku stały współpracownik miesięcznika „Kraków”, od 2006 roku – polski korespondent kijowskiego tygodnika „Dzierkało Tyżnia”. Prowadzi portal www.porteuropa.eu poświęcony krajom Europy Środkowej (Ukraina, Słowacja, Czechy, Austria, Białoruś, Węgry).



Florian Śmieja przegląda „Historię literatury hiszpańskiej”, którą swemu promotorowi dedykowała autorka dr Beata Baczyńska.

Na
dziewięćdziesiątą
rocznicę
urodzin
Floriana
Śmieja

Życiorys powieściowy

MARIAN
KISIEL

O rówieśnikach i braciach młodszych Floriana Śmiei Maria Danilewicz Zielińska napisała, że mają „powieściowe niemal życiorysy”. Za tym stwierdzeniem nie kryje się jednakże porwijąca fabularna awantura, ale dramatyczna treść.

Prapoczątek tego życiorysu poprzedzają decyzje rodziców i wyznaczają lata Polski Odrodzonej. Podział Śląska na polski i niemiecki – w wyniku plebiscytu 1921 roku – sprawił, że Rozalia z Kuligów i Piotr Śmiejowie opuścili rodziną Opolszczyznę, która znalazła się w granicach Rzeszy i osiedlili się w nowej Polsce. W Kończycach – administracyjnie należących dzisiaj do Zabrza – 22 sierpnia 1925 roku urodził im się syn, Florian. Tutaj poszedł do szkoły powszechnej, później kontynuował naukę w Tarnowskich Górach. W Gimnazjum im. księżki Jana Opolskiego ukończył dwie klasy.

1 września 1939 roku wybuchła wojna, która zniszczyła ładnie rozwijającą się biografie. W 1940 roku młody Florian został wywieziony na roboty przymusowe do Rzeszy, był parobkiem u bauera w Maklemburgii. Po kilku latach udało mu się zbiec do Belgii, gdzie się ukrywał. W 1944 roku po wkroczeniu 1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka zaciągnął się do polskiego wojska. Po wojnie jako żołnierz 1 Korpusu Polskiego znalazł się w Szkocji. Jak wielu innych, zdecydował, że pozostanie na emigracji. W wojsku zdał małą maturę, a w 1947 roku złożył pełny egzamin maturalny w liceum humanistycznym. Bakalaureat otrzymał w roku 1950 w National University of Ireland w Cork. Tutaj studiował anglistykę i hispanistykę. Tak domknęły się trzy epizody trudnej młodości przyszłego poety i uczonego – radosne dzieciństwo, wojenna tułaczka, pierwsze pięciolecie powojenne.

„Powieściowy niemal życiorys”, przywołajmy raz jeszcze określenie Marii Danilewicz Zielińskiej, to splot wielu radości i traum, czas – jednocześnie – zakorzenienia w miejscu rodzinnym i wykorzenienia, wielojęzyczności, która z sobą harmonijnie współistnieje i z sobą walczy, odnalezienia szczęścia i jego utraty. Rzecz by można, iż – w jakimś sensie – wczesna biografia Floriana Śmiei jest modelowa dla całej generacji egzultów polskich, którzy w wieku XX, podobnie jak ich bracia z poprzedniego stulecia, „unosili ojczyznę na łachmanach stóp” (Zdzisław Stroiński), by ją zachować dla przyszłych generacji jako ojczyznę duchową. Można było, jak tyłu innych, zatracić się w powojennej zawierusze na obcej ziemi, bądź wykorzystać szansę, jaką daje wrzucenie w przestrzeń innego języka i obyczaju. Florian Śmieja podjął walkę o wygraną.

Nowy etap w jego biografii zaczął się wtedy, kiedy dostrzegł go Jerzy Pietrkiewicz. Jako kierownik katedry literatury polskiej, w 1950 roku zaprosił młodego bakałarza do współpracy w charakterze

asystenta w londyńskiej School of Slavonic and East European Studies. Od tego momentu życiorys Floriana Śmiei rozszczepia się na dwoje: ucząc języka polskiego w University College London, sam się dalej uczy w King's College (magisterium z hispanistyki uzyskuje w 1955 roku); podejmując pierwsze próby naukowe, odkrywa w sobie również ambicje literackie i nader aktywnie włącza się w kształtowanie młodego – polskiego! – życia literackiego w emigracyjnym Londynie. Staje się literaturoznawcą z zawodu i literatem z powołania. Przez następne dziesięciolecia będzie łączył obie pasje, dodając do tego trzecią, naturalną dla filologa zagranicznego – tłumacza literatury.

Doktorat z hiszpańskiej literatury barokowej Florian Śmieja uzyskał w 1962 roku u Alexandra A. Parkera, pisząc o roli Alonsa de Ledesmy w kształtowaniu poetyki konceptyzmu. Jako literaturoznawca pracował w University of Nottingham (1963-1969), a po wyjeździe do Kanady – w University of Western Ontario (1969-1991), gdzie kierował hiszpańską sekcją Department of Modern Languages and Literature. W tym czasie ugruntuwał

Hispanista i tłumacz cenione przez siebie dzieła zakotwicza w języku polskim jako znaki wspólne doświadczenia lekturowego.

swoje badania nad hiszpańskim Złotym Wiekiem, pisząc większość swoich prac naukowych, a także wydając krytycznie sztuki Agustina Morety czy Miguela de Cervantesa y Saavedry. Zasadniczo jednak najbardziej interesowały Profesora w tym czasie (a i później) literackie związki między Polską i Hiszpanią. Pisał o podobieństwach teorii konceptu jezuitów Baltasara Graciána y Moralesa i Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, o łacińskim przekładzie dzieła św. Jana od Krzyża przez karmelitę Andrzeja Brzechwę, o imitacji/przekładzie romansu Juana de Floresa *Historia de Grisel y Mirabella*, opublikowanego w 1578 roku przez Bartosza Paprockiego, a także o przypisywanej Agustinowi Morecie komedii *Antes morir que paçar (San Casimiro)*, poświęconej św. Kazimierzowi Jagiellończykowi, królewiczowi. Najbardziej znane są jednak prace Floriana Śmiei poświęcone adaptacjom i przekładom, a także wystawieniom teatru hiszpańskiego w Polsce. Szczególnie cenne są zwłaszcza kweryndy poświęcone recepcji Pedra Calderona de la Barca i jego obecności w polskiej świadomości literackiej (m.in. w relacji *El principe constante* do *Księcia Niezłomego* Juliusza Słowackiego).

Powinność filologiczną rozumie Florian Śmieja w kategoriach wymiany kulturowej, komparatystycznie. Literatura jest dla niego tym, co „rzeczywiste i możliwe”, by odwołać się do tytułu wrocławskich rozmów z Marcinem Kurkiem i Justyną Ziarkowską. A zatem: tym,

co istnieje w twardym faktie literackim i kulturowym, i w wyobrażeniu. Komparatystyka jest właśnie „zbliżeniem” kultur poprzez kontakt osobisty lub słowny. Takiej komparatystyce poświęcił autor *Późnych notacji* dwa tomy swoich szkiców i przypisków biograficznych, wydanych nakładem Biblioteki Śląskiej w Katowicach – *Zbliżenia i kontakty* (2003) oraz *Zbliżenia i kontakty raz jeszcze* (2007). „Zbliżanie” jest tutaj „przybliżaniem”, z jednej strony przez „esej-epitafium” (termin Józefa Bujnowskiego), z drugiej natomiast przez dzielenie się własną umiejętnością łączenia doświadczeń. W tym drugim znaczeniu mówimy o sztuce przekładu literackiego.

Przypomnijmy zatem, że Florian Śmieja przyswoił polskiej kulturze różne utwory, m.in. farsę Federico Garcii Lorki *Przedziwna szewcowa* (1955, 1967-1968), prozę poetycką Juana Ramona Jimenésza *Srebroń i ja* (1961, 1984, 1997), powieści Portugalczyka José Marii Ferreiry de Castro *Misja* (1972), Meksykanina Mariano-Azuli *Gniew* (1973), Hiszpana Luisa Martina-Santosa *Czas milczenia* (1978), czy też *Papierowe kwiaty* (1990), słynny dramat Egona Wolffa, laureata ubiegłorocznej Premio Nacional de Artes de la Representación y Audiovisuales de Chile. Tłumaczył także lirykę hiszpańską i hispanoamerykańską, dość wspomnieć tylko takich gigantów poezji, jak: Federico García Lorca, Miguel de Unamuno, Rafael Alberti, Pablo Neruda czy Jorge Luis Borges. Jest autorem tomu przekładów *Poezje arabsko-andaluzyjskie* (1988, 1993) i *Legend i listów literackich* Gustava Adolfa Bécquera (2000). Włosi mówią: „traduttore traditore”, tłumacz jest zdrajcą. Powiedzmy jednakże, że w wypadku Floriana Śmiei jest to twórcza zdrada, albowiem swój czas uczonego poświęca przyswojeniu dzieł obcych, które polski czytelnik mógłby pominąć w swoich lekturach. Twórcza zdrada jest więc zbliżeniem, wymianą, komparatystyką przeniesioną na inny poziom uczestnictwa w kulturze.

Hispanista i tłumacz cenione przez siebie dzieła zakotwicza w języku polskim jako znaki wspólne doświadczenia lekturowego. Ale Florian Śmieja jest przede wszystkim poetą polskim, niebywale ważnym uczestnikiem emigracyjnego życia literackiego, który na początku lat pięćdziesiątych XX wieku i później przyczynił się do powstania ważnego ruchu poetyckiego, czy też grupy literackiej znanej pod nazwą Kontynenty. Grupa ta była życiorysowo nietożsama, tworzyli ją poeci urodzeni w różnych latach, 1925-1927 jak Śmieja, Zygmunt Ławryniewicz, Mieczysław Paszkiewicz, Jan Darowski czy Bolesław Taborski, w 1932 jak Bogdan Czajkowski, w 1934 jak Adam Czerniawski i Jerzy S. Sito, czy w 1938 jak Andrzej Busza. Jeżeli ją łączył bunt przeciw starszym pokoleniom na emigracji, to jednocześnie także pragnienie ożywienia dyskusji o literaturze, włączenia jej w szerszy dyskurs o dziedzictwie kulturalnym Europy Zachodniej. Janusz

Artur Ilnatowicz tak to wyrażał: „my widzimy kulturę polską przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej”. Słowa te znakomicie przystają do Floriana Śmiei. Jeżeli jednak coś wyraźnie odróżnia go od merkurioszowców, to – przede wszystkim – widzenie kultury rodzimej w kontekście trwałości i zmiany. Jest więc autor *Powikłanych ścieżek* zwoleńnikiem mądrej nowości, która opiera się na znajomości i rozumieniu reguł literatury. Bunt nie dla samego buntu, ale w imię wartości; i nie tylko wyłącznie literackich, ale wartości *sub specie aeternitatis*; z poszanowaniem godności osoby, z próbą zrozumienia jego miejsca w kulturze.

Okres redagowania przez Floriana Śmieję „Zycia Akademickiego”, „Merkuriuma Polskiego” i „Kontynentów” (1951-1953, 1957-1958, 1962-1964) jest dobrze opisany w historycznoliterackim dyskursie emigracyjnym. Jeżeli warto wzbogacić go o jeden punkt dodatkowy, dotąd marginalnie podejmowany przez krytyków i badaczy, to dlatego, iżby uwyraźnić jego strategię pisarską. Określany mianem „tradycjonalisty” jest on albowiem rzecznikiem tej samej postawy intelektualnej i światopoglądowej, jaką na emigra-

Tradycjonalizm Floriana Śmiei wyrasta stąd właśnie: z zaakceptowania politycznej reguły, jaką rządzi się emigracja, z przywiązania do wartości chrześcijańskich jako opoki dla światopoglądu emigranta, a także do ojczyzny pierwszej, kraju dzieciństwa.

cji już u jej początków reprezentował Tymon Terlecki. Była to postawa personalistyczna, otwarta na dialog ale także twardo trzymająca się zasad. Przywiązana do polskości – krytyczna i nie czułościowa, ale także – jak pisał Terlecki – będąca „sprzęgiem idei politycznej i religijnej”. Tradycjonalizm Floriana Śmiei wyrasta stąd właśnie: z zaakceptowania politycznej reguły, jaką rządzi się emigracja, z przywiązania do wartości chrześcijańskich jako opoki dla światopoglądu emigranta, a także do ojczyzny pierwszej, kraju dzieciństwa. Zaobserwować to można nie tylko w krytyce, ale i poezji Profesora.

W czasie londyńskim opublikował dwa tomiki wierszy (1953, 1964), po przeniesieniu się do Kanady regularnie zaczął ogłaszać nowe zbiorki, począwszy od roku 1981. Wydał ich kilkanaście, trwale włączając się w wielokulturowy obraz literacki tego kraju. Wraz z Waławem Iwanikiem jest autorem określenia „Polish Canadian Poets”, co pokazuje jego wtopienie się w wielojęzyczność Kanady przy jednoczesnym zachowaniu własnej odrębności.

Maria Magdalena Rudiuk napisała, że – obok Zofii Bohdanowiczowej – Flo-

rian Śmieja należy do twórców najbardziej tradycyjnych na trzech planach jednocześnie: języka, literatury, aksjologii; „bez wdziwania cierpiętniczych szat, buduje w Kanadzie swój dom”. Jeżeli tak jest, to dlatego, że – jak czytamy w wierszu *Spóźniona Arka* – Kanada jest miejscem, „gdzie się rodzaje i gatunki chronią / przed kataklizmem zagniewanych mocy”. „W tym kraju można uleczyć nieufność”, pozbyć się brzemia „niewolnika plemiennej historii”. A to wszystko za sprawą „wrozumiałego gestu wielkodusznych”, który „często przygarnie łotra i blagiera”.

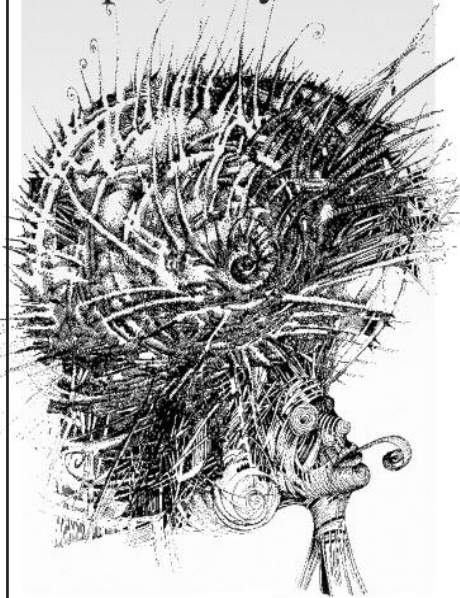
Jacek Łukasiewicz zauważył: „Poezja dla Floriana Śmiei nie jest zabawą ani odkrywaniem fantastycznych światów, wynajdywaniem niezwykłych tropów, zderzaniem dalekich sensów i obrazów. W każdym razie nie tym jest przede wszystkim. Raczej – szukaniem i jakże często odnajdywaniem trafnych formuł dla refleksji oraz dla uczuć przyjaznych ludziom i pejzażom. Poezja utrwała „szare wołanie” przychodzące z daleka i stanowi na nie odpowiedź. Konieczność poezji jest dlań właśnie koniecznością dawania takich odpowiedzi”.

I dalej: «Szare wołanie» rozlega się z przeszłości i z teraźniejszości – zawsze stąd i stamtąd. Z czasu i z przestrzeni. Szare – nie krzykliwe, nie jaskrawe, wyrażające dramatyczną zwykłość ludzkiego losu. Poeta nie pali mostów, a jeśli, to stale je odbudowuje. Stając wobec czegoś nowego: nowych ludzi, pejzaży, rzeczy, sytuacji, przyjmuje je do pamięci. Nadaje im sens w konfrontacji z pamięcią, ale nie z byle jaką, chaotyczną. Pamięć dąży w tej poezji do przekształcenia się w autobiografię uporządkowaną i uwartościowaną”.

W tomie studiów i szkiców poświęconych literackiej i translatorskiej twórczości Floriana Śmiei mówiono o „parabolach pamięci”. „Parabole” kładą nacisk na uniwersalność prawd, zawartych w pamięci, ta zaś – pisał Wojciech Ligęza – „wiąże się z problematyką tożsamości będącej splotem powrotów do śląskiej małej ojczyzny i doświadczeń, którymi obdarzył poetę kraj osiedlenia. Pamięć tworzy zespół wartości oraz powinności wobec samego siebie, każe wysoko szacować spotkania z innymi ludźmi, pozwala docenić rolę przemijających chwil, ale również porządkuje chaos przeżytych zdarzeń oraz dostarcza nauk na przyszłość. Jednostkowe zasoby doświadczenia konfrontowane są tutaj z pamięcią kultury”.

Dzisiaj chciałoby się powtórzyć te słowa i rzec jeszcze dobitniej, że dzieje się tak w całej twórczości Floriana Śmiei. Naukowa, krytyczna czy poetycka – jest ona „odbudowywaniem mostów” między światem, który minął i tym, który jest; między przeszłością zapisaną w tekstach, a tą, która w tekst się przeobraża na naszych oczach. Mosty pamięci są gwarantem spójności świata, jego naszej, koniecznej w nim obecności.

Śląska ojczyzna polszczyzna



6 maja w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego Florian Śmieja, wybitny hispanista, profesor uniwersytetów angielskich i kanadyjskich, po przejściu na emeryturę gościnnie wykładający także na polskich uczelniach, w tym – na wrocławskiej romanistyce i polonistyce, tłumacz, pisarz, poeta i publicysta, otrzymał od naszej uczelni najwyższą godność – doktora honoris causa.

Urodził się w roku 1925 w Kończycach, dziś należących do Zabrza, ale jego korzenie rodowe to Siolkowice na Opolszczyźnie. Do szkół uczęszczał w moich rodzinnych Tarnowskich Górach (być może miał z nim lekcje w ćwiczeniówce mój śp. Ojciec – uczeń Seminarium Nauczycielskiego). Zawierucha wojenna przerwała tę edukację, a losy rzuciły Floriana Śmieję na Zachód, z którego – poza okazjonalnymi wizytami – już nigdy nie miał powrócić.

Kiedy w przeddzień uroczystości opowiadałem wrocławskim studentom romanistyki o swoich relacjach z Profesorem, nie omieszkałem ich poinformować, że obydwa wraz z Janem Cofalką i Janem Goczolem tworzymy kwartet wiernych kibiców Ruchu Chorzów, któ-

rzy dosłownie w parę sekund po zakończeniu każdego meczu niebieskich mejlują do siebie nawzajem – albo w stanie euforii po zwycięstwie, albo złorzecząc na „pierońskich dziadów” po przegranej.

Czytelnikom „Śląska” natomiast wyznam, że prof. Śmieja o „Śląskiej ojczyźnie polszczyźnie” bez przerwy ze mną rozmawia, że przyczynił się do poruszenia w tej rubryce wielu ciekawych tematów. Ostatnio na przykład – na kanwie moich spostrzeżeń dotyczących brzmieniowych substytutów wyrazów uchodzących za wulgarne czy będących przekleństwami (typu *farona*, *wy piohuny* – zamiast *pierona*, *wy pioruny*) – przywołał bardzo kiedyś częste w gwarach śląskich, a dziś coraz rzadsze formy *sagi*, *sago*, *sagocz* – znaczące tyle, co „nagi, nago, nagus, golas”: „Niy łaż mi taki sagi, idź sie łoblyc”, „Ni możesz iść sagi, bo zimno”, „Niy gańba cie tak sago łażić po placu?”, „Jeji dziecka sago lotały”, „W tym filmie jakieś baby tańcowały sago (po sagu)”, „Przi tym stowku jakisi sagocze leżóm” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, str. 221). Oczywiście, z dzisiejszego punktu widzenia to zamienianie „n” na „s” w słowach *nagi*, *nago*, *nagus* może się wydawać i śmieszne, i nawet swoiście pruderyjne, ale z drugiej strony świadczy o obyczajowym maksymalizmie dawnych społeczności, o czystości w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jakoś to się w każdym razie dopełnia...

Bardzo lubię imię *Florian* i żał mi, że jest teraz bardzo rzadkie. Pochodzi ono z łacińskiego *Florianus*, które jest formą patronimiczną (odojcowską) od łacińskiego imienia *Florus*. Znaczenie tego ostatniego związane jest z łacińskim słowem *florus* „kwitnący”, a przenośnie „łśniący, wspaniały” oraz z czasownikiem *floreo* „kwitnąć”, metaforycznie „być w rozkwicie”, w pełni sił, w poważaniu”. Oczywisty jest związek tych postaci z łacińskim rzeczownikiem *flos*, *floris* „kwiat” oraz *Flora* – „rzymską boginią kwiatów” i *flora* – „ogółem roślin występujących na określonym obszarze, w określonym czasie geologicznym, a także w określonym środowisku ekologicznym”. Warto dopowiedzieć, że być może nawiązując do metaforycznego znaczenia „kwitnienia, bycia w rozkwicie”, nasi przodkowie stworzyli imienny wariant *Floriana* – *Floryjana* z pierwszego zapisu z roku 1212, a mianowicie postać *Tworzyjan*, zanotowaną w źródłach XIV-wiecznych. Zniknęła ona jednak szybko jeszcze w średniowieczu.

Przypatrując się z kolei takim nazwiskom, jak *Śmieja*, *Leja*, *Stojanowski* czy *Bojanowski*, należy sobie uświadomić, że bezkoliczniki czasowników *śmiać się*, *łać*, *stać*, *bać się*, z którymi te nazwiska są etymologicznie związane, to rezultat ściągnięcia pierwotnych form *śmiejać się*, *lejać*, *stojając*, *bojać się*.

Nazwisko *Śmieja* – tak jak *Nicieja*, *Kreja*, *Szeja*, *Mateja* oraz imiona *Maja*,



Autor felietonu z prof. Florianem Śmieją

Florian Śmieja

JAN MIODEK

Kaja – wywołuje kontrowersje ortograficzne. Reguła jest jednoznaczna: mają te wszystkie formy przyjmować taki graficzny kształt jak ich strukturalne odpowiedniki będące nazwami pospolitymi, więc skoro *kniewa* – *kniewi*, *zawiewa* – *zawiewi*, to i *Śmieja* – *Śmiei*, *Nicieja* – *Niciei*, *Kreja* – *Krei*, *Szeja* – *Szei*, *Mateja* – *Matei*, *Maja* – *Mai*, *Kaja* – *Kai*.

Buntują się przeciwko tej zasadzie użytkownicy polszczyzny (wielu uczestników wrocławskiej uroczystości było przekonanych, że popełniliśmy błąd ortograficzny, pisząc na zaproszeniu „Śmiei”!), buntuje się i Profesor Śmieja. Ja, nie mogąc nie przestrzec obowiązującego przepisu ortograficznego, od lat wytaczam przeciwko niemu merytoryczne argumenty. Jeśli wolno nam

tworzyć odpowiadający wymowie graficzny ciąg *Azi*, *pensji*, *lekcji*, *stacji*, dlaczego nie można by dopuścić szeregu z połączeniem „ji” w wyrazach typu *kniewa*, *zawiewa*, *Śmieja*, *Szeja*? – zadaję pierwsze pytanie. To obowiązujące *kniewi* czy *Śmiei* – z „i” na końcu – jest nie tylko w konflikcie z naturalną wymową „kniewi”, „Śmieji”, ale i z granicami morfologicznymi tych form. Przecież tak jak w formach *lekcji* czy *pensji* tzw. tematami fleksyjnymi są człony *lekcj-*, *pensj-*, a końcówką *-i*, tak samo w przypadkach zależnych wyrazów typu *kniewa*, *Śmieja* tematami fleksyjnymi są człony *kniew-*, *Śmiej-*, a końcówką *!!!* Dlaczego nie pozwala się nam tego oddać w piśmie? – zadaję od lat pytanie drugie.

MARIA KORUSIEWICZ

Fotografia z oderwanym brzegiem

(Album Rodzinny)

Tu jest tamten dzień
stara grusza niski dom pod bluszczem
w słonecznych plamach drżą płatki tynku
chudy pies drzemie
na rozgrzanym piachu Ciszka

Babka Emilia
w kwiecistej sukience Światło
na jej szczupłej twarzy ufny blask
starego motocykla

On
ich lekkie przytulone ciała przedarte
tuż za szczepionymi dłońmi
Powiewająca chusteczka ciągnie się białą
papierową szramą

Mały palec nie wiadomo czyj
tkwi samotnie pomiędzy podwórkiem a pustką
I wszystko czarno-białe i kaczki i chlewik tylko
spomiędzy szwów marynarki wyłazi coś szarego
Naddartą ziemię łatwo odgiąć od stóp
Strzępki nieba sterczą ledwo ponad głową
I tu się wszystko kończy
brukowana uliczka niespodzianie skręca
poza krawędź życia i
dalej już tylko kłaczki czarnego kartonu
brudna grudka kleju
i niema data 1943
Wyblakły rok śmierci wśród
cyfr i liter

To wszystko co mogę opisać
to znaczy zapomnieć

W słońcu

autorowi *Wiecznego życia*

Po deszczu
kiedy gleba nasiąknie i wśród gnijących liści
wyrosną nowe trawy
przyjdzie czas żuków i larw

Zewłok wiewiórki
wczoraj pachnący życiem
zasiedliły błękitnoskrzydłe muchy i krępe chrząszcze
Necrophorus vespilloides o czarnożółtych ciałach
i silnych odnóżach
Pracowite bezpieczeństwo śmierci
w pełnym słońcu

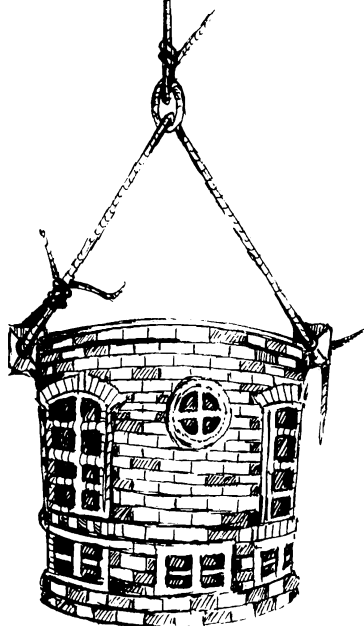
Kiedy piekliśmy w ogrodzie
cukinie i czerwone kawałki mięsa
telefon ze Durham
Ktoś kto miał wrócić
kto miał przyjechać i przywieźć mi książkę
o hodowli pszczół
i sadzonki trzmieliny
umarł

*jestem ciałem przez które wędruje czerw
jestem białym jeleniem pod wysokim lasem
jestem rosomakiem pod osłoną wzgórz*

usiądz

Na stole ser, osełka masła, konfitura z wiśni
Z koszyeczka
unosi się jasne światło
świeżo upieczonych rogalików

idzie wiatr



Wieczorem u podnóża góry

Myszę o zimie

Z gór ścieka grząska wilgoć
W butwiejących trawach
kwitną zielone blaszki ostrokrzewu

Siedzimy na tarasie peleryny swetry
Żółte kubki dymią wiśniową herbatą
Nasza obecność drży
miętko niczym płomień późno zapalonej świecy
Zmurszała łódź powietrza niesie
nasze popłątane głosy mój kaszel odległe
beczenie owiec

to tu biegnie granica czasu
i nie istnieje już nic
z tego co było

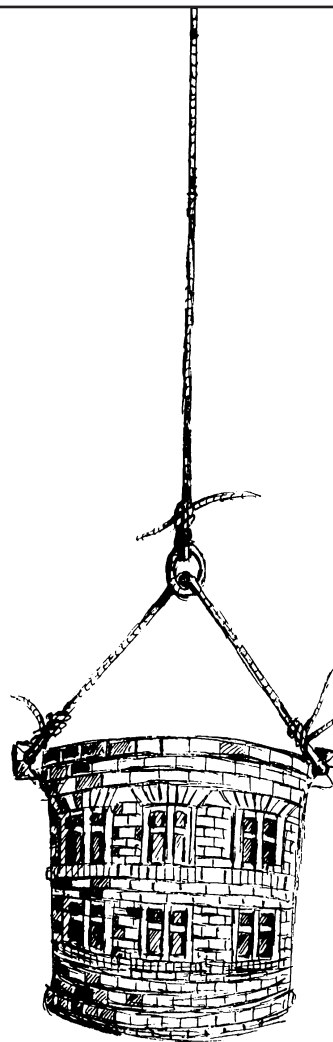
Nie pamiętam
jak Jonasz syn Amittaja
wsiał na okręt jak Guillaume de Machaud
pisał swój poemat o dżumie Cimabue malował ochrą
płaszcz Madonny jak uroczyście zatwierdzano plany
Babilonu Carmine czy Nowego Jorku spisywano
imiona rzeczy nakładano pęta wodom pustyniom i mowom

Rzeczy pierwsze odeszły
Tak jak obiecano
Rzeczy pierwsze zniknęły w maleńkich
plastelinowych garnuszkach które już w dzieciństwie
lepil mój przyjaciel Piotr – Wielki Metawerysta

i teraz
świat jest znowu nowy i nienazwany

Tuli mnie jak wielki parujący obłok
w dolinie u stóp góry
Tutaj
siedzimy na tarasie tata nalewa herbatę
Ania skacze Agnieszka brudną łapką rozkruszyła ciasto
z nieba
grząską ścieżką schodzi babka
Wielkie sinawe wiadra dzwonią
dzwonią

i tak już będzie zawsze
tego wieczoru



Maria Korusiewicz – poetka, tłumaczka literatury anglojęzycznej, artysta plastyk. Adiunkt w Katedrze Anglistyki Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Jest autorką trzech tomików poezji, licznych tłumaczeń poezji anglojęzycznej (m.in. Anne Sexton, Sylvia Plath, Leonard Cohen, e. e. cummings, Robert Hass) oraz publikacji naukowych z zakresu kultury japońskiej, teorii kultury, teorii literatury oraz estetyki.

**MARIA
KORUSIEWICZ**



Autoportret Wojciecha Kossaka, olej, 1924

Skradziona kolekcja

WITOLD
TURANT

Noc z 29 na 30 czerwca 1993 roku była niezwykle pechowa dla Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich. To właśnie wtedy dokonano włamania do muzeum i skradziono trzynaście eksponatów o różnej wartości rynkowej. Jednak dla małego muzeum były to przedmioty bardzo cenne.

Górecka placówka prezentuje eksponaty związane z życiem i twórczością pisarki, która po powrocie z emigracji żyła bardzo skromnie, zamieszkując w domku ogrodnika na skraju parku okalającego ruiny dawnego dworu. W zbiorach znajdują się głównie meble, księgozbiór i dokumenty oraz niewielka kolekcja dzieł sztuki autorstwa dziadka pisarki, Juliusza Kossaka, stryja Wojciecha oraz innych członków tej utalentowanej rodziny, a także zaprzyjaźnionych artystów, jak Czesław Kuryatto. Owej feralnej nocy wśród zrabowanych eksponatów znalazł się wizerunek końskiego łba pędzla Juliusza, będący kopią dzieła jednego z francuskich artystów. Obraz powstał w paryskim Luwrze, w czasach gdy Kossak wprawiał się w technikach przedstawień koni, zanim osiągnął w tej dziedzinie mistrzostwo. Były także wachlarze, w tym ów słynny przedstawiający koncert Jankiela z „Pana Tadeusza”, na którym, pomimo miniaturowych rozmiarów, można rozpoznać fizjonomie członków rodziny i przyjaciół artysty. Po prostu cacko. Łupem rabusiów padł także autoportret Wojciecha Kossaka w stroju do konnej jazdy. Powiadomiono policję i rozpoczęto monitorowanie domów aukcyjnych oraz innych miejsc, w których dokonuje się obrót dziełami sztuki. Na efekt trzeba było czekać dość długo.

Taka jest specyfika handlu dziełami sztuki, że te skradzione prędzej czy później gdzieś wypływają. Niestety, raczej później – stwierdza kierownik muzeum, Dominik Dubiel. – Jeśli zaraz po kradzieży trafiają do prywatnego zbioru, trzeba czekać, aż kolekcjoner zdecyduje się na ich pozbycie. To czasem trwa całymi latami. Niezależnie od działań policji niemal nazajutrz po kradzieży zaczęliśmy prowadzić szeroką kampanię informacyjną, która trwa do dziś. Rozesłaliśmy ulotki ze zdjęciami i opisem skradzionych eksponatów do wszystkich placówek, takich jak galerie, domy aukcyjne czy antykwariaty, do których te przedmioty mogłyby trafić, a także informujemy wszystkich zwiedzających. W widocznym miejscu umieściliśmy tablicę informacyjną z reprodukcjami i opisem skradzionych eksponatów. Podczas promocji książki Anny Szatkowskiej „Był dom” umieściliśmy w niej wkładkę z listą zaginionych dzieł. I to zaczęło przynosić efekty. Jako pierwszy „wypłynął” obraz Czesława Kuryatty, stało się to mniej więcej po roku, a następnie, po siedemnastu latach odnalazł się obraz Juliusza Kossaka „Koń osiodłany przy żłobie”. Został wystawiony na sprzedaż



Dominik Dubiel, dyrektor Muzeum Zofii Kossak.

w pewnym domu aukcyjnym. Ponieważ była to wprawka malarska Juliusza, obraz był niepodpisany i nie miał dużej wartości rynkowej. Wyceniono go na około siedemset złotych. A potem długotrwała cisza. Następnie wróciły do nas wachlarze Wojciecha Kossaka. Szczęśliwie w tym samym roku odnalazł się „Drewniany kościółek w Grochowej” autorstwa Juliusza Kossaka. Instytut Ochrony Zbiorów Publicznych prowadzi wykaz dzieł zaginionych i skradzionych, który dostępny jest w Internecie. Sądzę, że pomoże nam to odzyskać pozostałe eksponaty – mówi z nadzieją Dominik Dubiel.

Jednakże większość tych powrotów nie następuje tak od razu, z uwagi na to, że eksponaty te stanowią dowód w śledztwie. Nawet jeśli zostały przez ostatniego nabywcę zakupione w do-

brej wierze, policja i prokuratura muszą ustalić wiele faktów i okoliczności, by dotrzeć do sprawców lub sprawcy kradzieży oraz ewentualnych paserów. Ponadto bardzo często osoby u końca tego łańcuszka stają przed koniecznością poniesienia znaczącej straty materialnej. W przypadku wachlarzy była to kwota 40 tys. złotych i sprawa trafiła do sądu (Krzysztof Marciniuk: Kossak wraca do Górek, [w:] Głos Ziemi Cieszyńskiej, Nr. 25/26.06.2015). Ostatecznie dzieła odzyskano, ale konieczne procedury prawne zabrały sporo czasu. Wachlarze oczekują obecnie na konserwację. Innym czynnikiem opóźniającym powrót do muzealnych zbiorów jest nierzadko poważny stopień uszkodzenia dzieła. Złodzieje, paserzy czy także kolejni posiadacze skradzionego przedmiotu nie zawsze zdają sobie



Anna Fenby-Taylor, wnuczka pisarki.

sprawę z jego rzeczywistej wartości oraz nie orientują się w jakich warunkach należy go przechowywać, by zapewnić mu trwałość. Tak właśnie rzecz się przedstawia w przypadku „Autoportretu”. Szczęśliwie obraz trafił przed aukcją do konserwatora, który jest także biegłym sądowym i rozpoznał skradzione dzieło. Nie wiadomo jaki dokładnie jest stopień uszkodzenia obrazu, zakupionego na warszawskim bazarze, poza tym, że został wycięty z ram. Tak czy inaczej, konieczne będą jakieś prace konserwatorskie. Oznacza to wydłużenie oczekiwania na powrót „Autoportretu” do Górek.

Dla Anny Fenby-Taylor, wnuczki Zofii Kossak, odzyskanie obrazu jest niewątpliwie radosnym wydarzeniem, głównie ze względów emocjonalnych. Autoportret to przede wszystkim rodzinna pamiątka, tym cenniejsza, że z dedykacją dla jej pradiadka, Tadeusza Kossaka, bliźniaczego brata malarza. Braci cechowało niezwykle, nawet jak na bliźniaków, podobieństwo. Kiedy Wojciech przyjeżdżał do Górek, służba nie była w stanie odróżnić gospodarza od go-

ścia, co powodowało mnóstwo zabawnych incydentów. Obraz przedstawia Wojciecha Kossaka w stroju do konnej jazdy w stylu angielskim, w czerwonym surducie, w cylindrze, ze szpicrutą, a ściślej mówiąc jest to strój do polowania na lisa *par force*.

– Dla pokolenia wnuków Zofii Kossak ten obraz ma wyjątkowe znaczenie – podkreśla Anna Fenby-Taylor. – Można powiedzieć, że jest on w szczególny sposób zapisany w naszej pamięci, jako charakterystyczny akcent domu, w którym w czasach dzieciństwa spędzaliśmy wakacje. Portret ten zadedykowany mojemu pradiadkowi jest także związany z Górkami, bowiem dedykacja jest datowana na 1924 rok, w niedługi czas po osiedleniu się pradiadków w Górkach Wielkich. Kiedy byliśmy na wakacjach u babci, a zdarzyło się nam złapać jakąś infekcję, która w takiej gromadce dzieci przechodziła z jednego na drugie, leżeliśmy z gorączką na polowych łóżkach w gabinecie i mieliśmy przed oczami ten właśnie autoportret stryjecznego pradiadka. Z uwagi na niecodzienny strój robił na nas wielkie wrażenie i zapewne dlatego

tak głęboko wrył się w naszą pamięć, stał się autentyczną częścią rodzinnej tradycji. Cieszę się ogromnie, że po tylu latach udało się go odzyskać. Ten obraz przetrwał wojnę najprawdopodobniej dlatego, że przed wojną znalazł się on nie w Górkach, a w warszawskim mieszkaniu babci. Nie wiem, jaka jest jego wartość rynkowa, ale dla nas, wnuków Zofii Kossak przedstawia wartość ogromną. Natomiast niepokoję się o los tych obrazów, które dotychczas nie powróciły, ponieważ większość z nich jest malowana na papierze. Mimo to przetrwały dwie wojny, rewolucję i wojnę z bolszewikami oraz drugą wojnę światową. Babcia podczas wojny z bolszewikami wpadła na znakomity pomysł: wyjęła te obrazy z ram i podkleiła je pod stołem w mieszkaniu, w którym się z prababcią, przebrane za chłopki, ukrywały. Wśród tych obrazów jest jeden szczególnie cenny – portret mojej prababci Anny Kossakowej, malowany przez Wojciecha, który nie tylko doskonale malował konie, ale był także znakomitym portrecistą. Byłaby wielka szkoda, gdyby któryś z tych obrazów uległ zniszczeniu. Cóż można zrobić? Trzeba czekać i mieć nadzieję, że prędzej czy później odnajdą się w dobrym stanie, lub przynajmniej w takim, który umożliwi ich odrestaurowanie – mówi Anna Fenby-Taylor.

Dziś zbiory Muzeum nie są już tak łatwym łupem dla złodziei. Nowoczesny system zabezpieczeń pomaga skutecznie chronić eksponaty przed amatorami łatwego zarobku. Niewątpliwie do ochrony zbiorów nie tylko tego muzeum, ale wszystkich innych przyczyniłyby się zmiany w kodeksie karnym, która uwzględniłaby dłuższych niż obowiązujący dotychczas okres nieprzedawniania się tego typu przestępstw.

– Do odzyskania pozostało jeszcze siedem eksponatów – kontynuuje Dominik Dubiel. – Wiemy, że musimy być cierpliwi, jesteśmy jednak optymistami. Zakładamy, że wiele z nich znajduje się w prywatnych domach. Jednak z czasem trafią być może do antykwariatów czy na targi staroci i to będzie szansa na ich odzyskanie. Wiele z nich zapewne zostało zakupionych w dobrej wierze i od czasu kradzieży wielokrotnie zmieniło właściciela. Dotarcie do sprawcy to zadanie policji i prokuratury. Dla nas najważniejszy jest fakt odzyskania tych dzieł sztuki, będących częścią narodowego dziedzictwa kultury – przekonuje dyrektor muzeum.

Repr. ze zbiorów Muzeum Zofii Kossak



Wojciech Kossak, Portret Anny z Kisielnickich, żony Tadeusza Kossaka, olej, 1903

JOHN GUZLOWSKI

Suitcase Charlie cz. II

(Charlie Walizka)

Przekład:
HENRYK CIERNIAK

ROZDZIAŁ 3.

Stojąc na zewnątrz trzypiętrowego budynku klasztoru z czerwonej cegły, Marvin wyciągnął notatnik i naprędce zapisał w nim imię siostry, kładąc obok niego haczyk. „Nie dało to wiele”, powiedział. „Nawet się nie zapytała, co wydarzyło się na ulicy”.

„Taak,” odpowiedział Hank i sięgnął do kieszonki na piersiach po Chesterfieldy. Wyciągnął papierosa i podpałił go swoją Zippo.

Marvin chwycił zapalniczkę zanim Hank zdołał wsadzić ją z powrotem do kieszeni.

„Co ty robisz?” zapytał Hank.

„Ty wszędzie nosisz ze sobą tę gównianą nazistowską zapalniczkę? Zdaje się, że krążyła jakaś historia o tej zapalniczce i marszałku połowym Kraucie, podobno to działało się w ostatnim dniu wojny?”

„Nie, to była Rosjanka, ruda blondynka w stopniu kaprala. Wepchnąłem jej kompletnie popsuty zegarek PX w zamian za tę właśnie Zippo. A teraz oddawaj mi ją.”

„Taak, teraz pamiętam,” powiedział Marvin, bawiąc się zapalniczką. „W Dusseldorfie, tego dnia, jak skończyła się wojna. Ty miałeś zielony, a ona nosiła pikowany brunatny mundur jak końska derka i ręcznej roboty, podkute ćwiekami wysokie buty. Słyszałem, że była piękna.”

„Nie podniecaj się, Marv.”

„Załóżę się, że wzięłeś co najlepsze z tej transakcji”, powiedział Marvin, oddając Hankowi zapalniczkę, „Jeszcze jedno zwycięstwo tych wspaniałych facetów.”

„Dzięki, stary,” odpowiedział Hank potrząsając głową, „Ale ta zakonnica, to dopiero numer. Jakby wyjęta prosto z książki. Zbyt to się nie ugięła.”

„Taak, porucznik wściekłby się, gdybyśmy nie poznali nawet jej imienia. Filomena? Co to w ogóle za imię? To znaczy, ja jestem Żydem i nie mam wiele kontaktów z zakonnice, ale „Filomena” jest jakby żywcem wyjęta z książki. Dziwaczne imię. Znałem parę szalonych zakonnice, ale one nazywały się na przykład siostra Maria Franciszka albo siostra Maria Przedmucha – Se-Ucho.”

Hank spojrzął z uśmiechem na swojego partnera i płytko zaciągnął się papierosem. „Siostra Maria Filomena? Pamiętam, kiedyś w kościele słyszałem o świętej Filomenie. Odnaleziono ją we Włoszech, w Neapolu, a może w Wenecji, wykopano ją z grobu jakieś 150 lat temu. Pewnie to po niej nadano imię tej zakonnicy. Ta Filomena, którą wykopano z grobu, była swego rodzaju zagadką. Wszyscy wiedzieli, że była dzieckiem, i dziewczicą. Ktoś ją zamordował.”

„Taak, niektóre rzeczy się nie zmieniają”, powiedział Marvin, „Daj mi pociągnąć.”

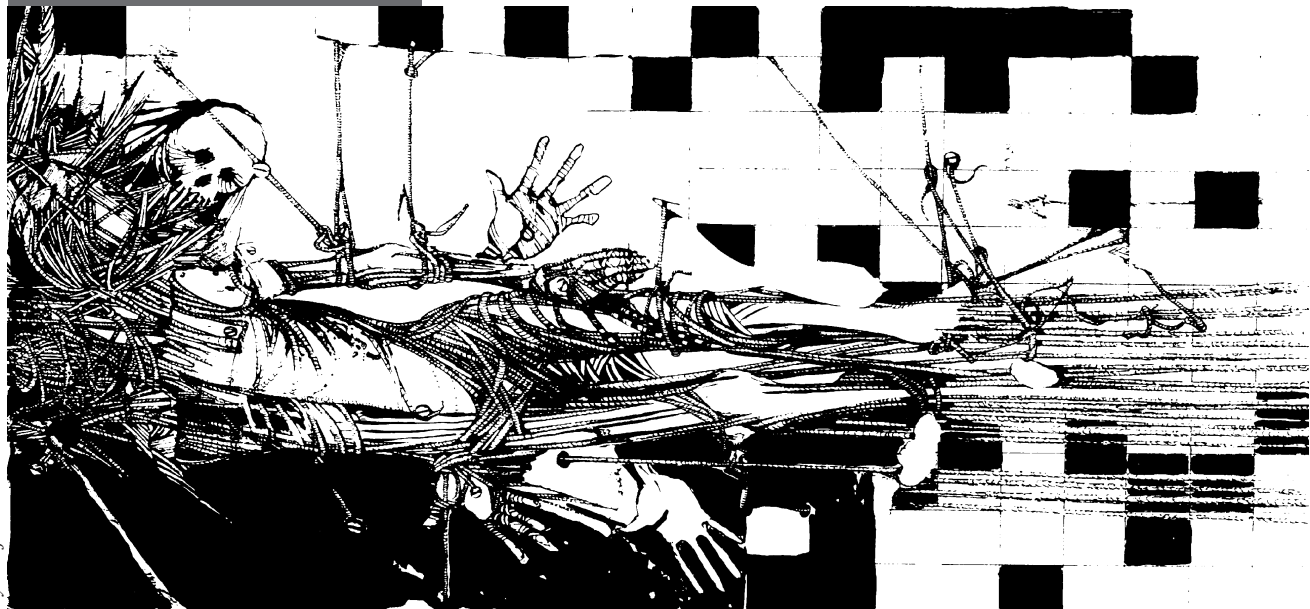
Hank podał mu swojego papierosa. „Tamci gliniarze, tam wtedy, nigdy nie dowiedzieli się, kto ją zabił.”

„Jesteś pewien, że nie zabił jej nikt z naszych, z Chicago?” zaśmiał się Marvin.

ROZDZIAŁ 4.

Następnego dnia, czwartek 31 maja

Była już prawie 4.30 rano, kiedy Hank dotarł do ostatniego zabudowania, bezpośrednio przed synagogą. Dostrzegł, że ponad wierzchołkami drzew, od wschodniej strony, zaczynało się rozwidniać. Patrzył, jak ledwie widoczny rumieniec szarości wybija się ponad ciemności. Po tej stronie zaułka, gdzie był klasztor, od którego on



i Marvin rozpoczęli swoje śledztwo, na środku skrzyżowania ciągle jeszcze stały trzy policyjne radiowozy, blokując ruch uliczny. Ich światła koloru wiśni kołowały w nieprzerwanym nierównym rytmie.

Zauważył, że facetów z ambulansu już nie było. Długo czekali na przyjsię chłopaków z naukowej fantastyki z ich mikroskopami, analizatorami farb i kalkulatorami próżniowymi, żeby ci mogli dokonać dokładnych oględzin trupa chłopca i chodnika wokół walizki.

Hank uzmysłowił sobie, że dziecko i walizka zdążyły pewnie do tej pory znaleźć się w laboratorium w centrum miasta, gdzie jakiś pan Czarodziej jeszcze raz będzie rozkładał dzieciaka na kawałki, rozbijał na jeszcze mniejsze kawałeczki, po to by arbitralnie stwierdzić, że jest martwy i jak długo. Jakby ten rodzaj informacji mógł w czymś pomóc temu dziecku. Gdyby chociaż ten rodzaj informacji mógł być pomocny gliniarzom.

Hank miał już dosyć. Był zmęczony.

Po klasztorze, on i Marvin podzielili trzynaście domków i kamienic, należących do ich części odcinka, na numery parzyste i nieparzyste. Skończył już swoich sześć i niczego się nie dowiedział, z wyjątkiem ponownego upewnienia się co do prawdy, którą odkrył już wcześniej i poznawał tysiące razy. Prostej prawdy, że śmierć przeraża ludzi, sprawia, że robią się nerwowi, a straszna śmierć sprawia, że stają się nawet jeszcze bardziej zdenerwowani. W ciągu ostatnich czterech godzin widział zbyt wiele osób, które nie chciały wiedzieć niczego ponad to, co już wiedziały na temat tego, co stało się z biednym dzieckiem. Wszystko, co chciały, sprowadzało się do tego, żeby przeżegnać się i zmówić modlitwę, a potem schować się aż do czasu, kiedy gliniarze odnajdą faceta, który zrobił tę jatkę, tę mokrą robotę albo aż ten facet ulotni się do innej dzielnicy, powiedzmy, na południe od Parku Humboldta, a może na północ. To nie ma znaczenia.

Tak samo było w październiku, kiedy gliny próbowały dorwać faceta, który torturował i zamordował Roberta Petersona i braci Schuesslerów. Wszyscy policjanci w mieście przepytывali każdą z osób, która mogłaby cokolwiek wiedzieć, ale jedynym efektem tych przesłuchań było, że nikt o niczym nie wiedział i każdy był wystraszony. I tak to wyglądało. Nie znaleźli gościa, który zabił tamtych chłopców i prawdopodobnie nigdy go nie odnajdą.

Tej nocy Hank rozmawiał z kilkunastoma osobami i słuchał, co mają do powiedzenia, i nie był już dłużej w stanie ani rozmawiać, ani słuchać. Chciał pójść do domu, pocałować swoją żonę, Hazel i córkę, Margaret, na dobranoc i kimnąć się na parę dni.

Ale wiedział, że nie może, bo wszystkiego tutaj jeszcze nie załatwili. Zapalił papierosa i czekał na Marvina, kiedy skończy swoje sześć domów.

Ciągle mieli jeszcze dwa budynki do sprawdzenia. Trzynasty na tym odcinku to była dwupiętrowa kamienica z nie więcej niż paroma – taką miał przynajmniej nadzieję – mieszkaniami, tuż przed ostatnim budynkiem, synagogą, stojącą na zbiegu ulic. Hank bez pośpiechu mocno zaciągnął się papierosem, a kiedy już nie umiał utrzymać dłużej w płucach ciepłego, szarego dymu, pozwolił, żeby uchodził z nich powoli. Potem, patrząc na sąsiedni budynek, zobaczył jak Marvin pchnięciem otwiera frontowe drzwi i schodzi po cementowych schodach. Szedł dość ciężko.

„Masz coś?” zapytał Hank.

Marvin doszedł do końca schodów i wyszczerzył zęby. „Nie ma niczego takiego, czego by nie umiały wyleczyć tabletki Alka-Seltzer i podwójny numer z moją słodką lalczką.”

„Taak, to prawda. Skończymy tę melinę, a potem skoczmy zobaczyć do synagogi,” powiedział Hank, kończąc papierosa. Nie wiedział, do czego dałoby się porównać jego smak.

Upuścił niedopałek na chodnik i rozdeptał go. Wiedział, co by teraz powiedziała jego córka Margaret. Nazwałaby go łobuzem i pogroziłaby mu palcem. Miała rację. Czuł się jak ostatni śmieć.

„Chodź, Hank,” powiedział Marvin, „Miejmy to już za sobą,” i Hank podążył za nim po drewnianych schodach

prowadzących do szerokiej werandy owego trzynastego budynku.

Marvin nacisnął kciukiem dzwonek, ale nie usłyszeli żadnego dźwięku. Dzwonek był prawdopodobnie uszkodzony, więc zastukali do drzwi i czekali. Mieszkanie na piętrze było nieoświetlone, więc Hank wpatrywał się w duże okno mieszkania na parterze.

Widniał na nim skromny napis „Nauczyciel języka angielskiego”, duże drukowane litery. Za oknem Hank zobaczył zapaloną lampkę w kuchni, w głębi mieszkania. To była nisko-watowa żarówka, może dwudziestka piątka, nie dająca wiele światła, a jedynie bladożółtą poświatę, przy której dałoby się otworzyć puszkę, ale nie można byłoby przeczytać, co jest na niej napisane. W tego rodzaju oświetleniu facet nie potrafiłby powiedzieć, czy zjada wieprzowinę z fasolką Heintza, czy wegetariańskie warzywa Campbella.

Potem Hank zobaczył coś w najbardziej oddalonej części mieszkania. Jakiś cień w wolna zdążał w stronę przymglonego światła. Hank nie potrafił określić, czy to jest mężczyzna, czy kobieta. Cień przesunął się do ledwie rozjaśnionej ciemności pokoju z przodu mieszkania i chwilę później Hank usłyszał jak ktoś próbuje otworzyć zasuwkę i gmera kluczem. Ten ktoś miał diabelnie dużo czasu. Najpierw próbował coś zrobić z zasuwką, a potem zabrał się do zamka. Hank zastanawiał się dlaczego po prostu nie zapali światła.

Marvin zrobił lepszą rzecz niż to, żeby stać i zastanawiać się. „Hej,” krzyknął przez szybę, „jesteśmy z policji. Zapal pan światło i otwórz, na Chrysta.”

Co się też i stało. Skrobanie i majstrowanie przy zamku trwało jeszcze małą chwilę, wreszcie rozпалиło się światło nad drzwiami, odsłodziła zasuwka i otworzył się zamek w drzwiach.

Facet, który otworzył drzwi, wyglądem przypominał gнома, czy coś w tym rodzaju. Pojawił się w słabym oświetleniu przedpokoju, brodaty i stary, musiał mieć sześćdziesiąt pięć lat, a może siedemdziesiąt. Miał opadające do wewnątrz, wysunięte do przodu obojczyki i zgięte plecy.

Gnom lub troll, pomyślał Hank, być może elf. Cokolwiek to u diabła było.

Ale co do jednej rzeczy, dotyczącej wyglądu tego elfa, Hank był pewien. Tego, że sprawiał wrażenie przestraszonego, bojącego się, że policjant może uderzyć go w twarz lub skopać, opluć go albo zwyzywać. Stał tak około minuty, nic nie mówiąc, ze skurczoną twarzą, w słabym, żółtym świetle lampy. To spłoszyło Hanka. Mając za sobą dziesięć lat w policji, nie często widział kogoś tak przerażonego.

„Tak,” zapytał gnom afektowanym, śpiewnym głosem.

„Ja jestem detektyw Purcell,” powiedział Hank, „a to jest mój partner, detektyw Bondarowicz. Jesteśmy z policji w Chicago.”

„Ja nazywam się Fisch, Samuel Fisch. W czym mogę być pomocny?”

„Zbieramy informacje na tej ulicy,” powiedział Marvin, „chcemy się dowiedzieć, czy pan usłyszał coś lub może zobaczył, co mogłoby by nam pomóc w związku ze zbrodnią, jaką popełniono dziś wieczorem.”

„Panowie oficerowie, nie chcę byćście posądzili mnie o brak szacunku, ale prosiłbym o pokazanie swoich odznak. Ta dzielnica nie jest już taka, jak była dawniej, przed wojną. Lepiej dmuchać na zimne niż potem żałować.”

Ten staruszek był kłębkim nerwów. To było widoczne. Był wystraszony, mrugał nerwowo oczami a policzki miał ściągnięte, kiedy prosił o odznaki. Hank był zaskoczony, że miał tyle odwagi, żeby to uczynić. Marvin spojrział przelotnie na Hanka, a potem wyciągnął swój portfel, zręcznie go otworzył i szybko zamknął. Potem Marvin zapytał, „Czy wystarczy?”

Stary cofnął się gwałtownie. Sprawiał wrażenie zaskoczonego. Takie wrażenie odniósł Hank. W głębokim cieniu przedpokoju, Fisch zaważał się na sekundę, jakby chcąc coś powiedzieć Marvinowi, może zwrócić mu uwagę, ale potem się uspokoił. „Tak, dziękuję, oficerze, jest w porządku,” powiedział.

Hank miał już dość wyciągania legitymacji, ale zrobił to także. Wyciągnął odznakę w kierunku gнома i gnom uważnie

ją studiował. Pochylił swoją głowę tak, że jego prawe oko niemal dotykało jej brzegu.

„Mój wzrok nie jest już tak dobry jak dawniej. Ale ta odznaka, ona nie wygląda jak Gwiazda Dawida,” powiedział podnosząc głowę.

Hank trochę się odsunął. „Co pan ma na myśli?”

„Chodzi o Gwiazdę Dawida. Ona ma sześć promieni.”

„Nie, proszę pana, nasza odznaka jest pięcioramienną gwiazdą. Nie sześć.”

„Czasem chodzę do kina, oglądam westerny, kowbojów i filmy z Indianami. Szeryfowie mają odznaki jak Gwiazdy Dawida, Tarcze Dawida. Rozmyślałem nad tym. Dlaczego kowboje z amerykańskiej policji noszą Gwiazdę Dawida? Może pan mógłby mi powiedzieć, oficerze?”

„Nie wiem, co odpowiedzieć. Czy moglibyśmy, ja i mój partner, przejść do zadania panu paru pytań? Może to być pomocne w naszym śledztwie.”

„Tak, z pewnością, oczywiście,” wymamrotał stary i poprowadził ich do pokoju od frontu. „Proszę, usiądźcie.”

W pokoju nie było wiele mebli. W pobliżu szerokiego, dużego okna stał tapczan w kolorze burgunda, a przed nim niewielki stolik, wzdłuż którego stały ułożone w elipsę trzy krzesła o drewnianych tylnych oparciach i podłokietnikach.

Hank ściągnął kapelusz i usiadł na końcu tapczana, w pobliżu drzwi. Marvin usadowił się naprzeciw swojego partnera, na jednym z drewnianych krzeseł, nie ściągając kapelusza. Hank sięgnął po lampkę stołową, stojącą w pobliżu i zapalił ją, nie pytając starego o zgodę. Żółte, mdłe światło lampki wylało się na pokój.

Stary odsunął kilka książek, żeby zrobić miejsce i usiadł na drugim końcu tapczana. „Dziękuję za zapalenie światła,” powiedział. „Spędzam tutaj tak wiele czasu samotnie, że czasem zapominam, że światła są niezapalone.”

Hank okręcił kapelusz w dłoniach i spojrzał na Fischę, który siedząc tutaj, w tym salonie wydawał się być mniej spięty. Twarz już mu nie drgała, przestał też nerwowo mrugać powiekami.

„Czy słyszał pan o tym, co się stało niedawno tu, na rogu, w pobliżu klasztoru?” zapytał Hank.

Fisch przez chwilę nic nie mówił.

Potem zakaszłał i skinął głową. „Tak, mój sąsiad z góry, pan Bujak, opowiedział mi, kiedy wrócił z pracy. On pracuje w pobliżu Alei Miwaukee i Danen w tamtejszej fabryce sprężyn.”

Marvin uznał tę wiadomość za przydatną. Wyciągnął swój niebieski notatnik z kieszonki na piersiach i zaczął notować. Popatrzył na Hankę i skinął głową.

„O której to było godzinie?” Hank zapytał starego.

„Nie mogę mieć pewności, ale myślę, że było późno. Nie potrafiłem zasnąć. Było tak gorąco. Mogło to być jakieś trzydzieści minut po północy, a może wcześniej.”

„Co ten Bujak panu powiedział?”

„To była straszna wiadomość. Powiedział, że na rogu znalazłono chłopca, martwego, poćwiartowanego, w walizce.”

„Czy widział pan coś niezwykłego albo coś usłyszał zanim rozmawiał z Bujakiem?”

„Nie, nie sędzę,” powiedział Fisch i potarł górną wargę. „Tak, tej nocy było głośno, dzieci krzychały tak strasznie, ale każdej nocy jest podobnie. A dzisiejsza noc była niespotykane gorąca. Maj i już tak gorąco. Co będzie w sierpniu? Myślę, że naprawdę na świecie robi się coraz bardziej gorąco. Nie dało się oddychać i bolała mnie głowa, miałem migrenę. Musiałem usiąść z zimnym kompresem na czole, a dzieci nie przestawały hałasować. To przyprawiło mnie o palpacje. Zmusiłem się więc, otworzyłem drzwi i powiedziałem im, żeby się uciszyły. Tak zrobiłem. Prosiłem tyle razy. Próbowalem czytać tej nocy, *W stronę Swanna* Marcela Prousta, ale chłopcy przebiegali koło mojego domu aż do zbiegu ulic przy Kalifornii, a potem przez cały park, obok mojej synagogi. Biegali i krzycheli, jak Indianie. Prosiłem ich. I mówiłem, ‘Chłopcy, chłopcy, proszę bądźcie cicho, jest tak gorąco, a ja muszę czytać moją książkę.’ Ale oni nie liczyli się ze mną i dalej biegali i krzycheli. Nawet dziewczyny. Takie głośne. Nie obchodziło ich, że czytam Marcela Prousta.”

Hank słuchał głosu Fischę. Wydobywające się z cienia w końcu tapczana roztrzęsione śpiewne kadencje podzia-

ły nań uspokajająco. Hank poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Nie było rzeczy, która mogłaby go ożywić. Czuł jak powieki robią mu się coraz cięższe, a oddech coraz wolniejszy. Zaraz dojdzie do tego, że poprosi starego, żeby zrobił mu więcej miejsca na tapczanie, tak by mógł się zdrzemnąć.

Przypominał sobie, że czasem zdarzało mu się coś takiego, w czasie wojny. Był w piechocie w Ardenach i chłopcy z plutonu trzęśli się ze strachu, czekając na Krautów¹, na moment kiedy będą się musieli przebijać przez pierścień brzoź, a on zapadał w drzemkę. Jego towarzysze myśleli, że jest taki twardy, ale to wcale nie było to. Rzecz była w tym, że czasem jakaś zła rzecz była zła ponad pojęcie, a wtedy ciało przejmowało nad wszystkim kontrolę, wyłączając wszystkie przyciski odpowiedzialne za to, że jesteś przebudzony, gotowy na wszystko i w super formie.

A co jest tą złą rzeczą tutaj? Czy ten stary Żyd i jego lęk? To pewne, że emanował on strachem, wysyłając tego rodzaju vibracje. Hank czuł to, w taki sam sposób jak jedno z bliźniąt czuje to samo, co drugie z nich, nawet jeżeli są oddzielone oceanami. Więc czego się bał Fisch? Dzieciaków? Glin? Złego postępku, który miał na swoim koncie? Świadomości, że kiedyś ktoś to wszystko wykryje i usmaży jego pomarszczony stary tyłek?

Hank zmusił swoje oczy do otwarcia i usiłował wprowadzić się ponownie do tego pokoju, w to przesłuchanie. „O której godzinie to było?” odezwał się.

Fisch wydawał się być zmieszany tym pytaniem i Hank zastanawiał się, jak długo błądził myślami, przysypiając. Zachodził w głowę, czy jego pytanie o godzinę było właściwym pytaniem. Czy wcześniej pytał o coś jeszcze? Czy Marvin zadał jakieś pytanie?

Potem Fisch przejechał chusteczką po czole i odpowiedział na pytanie, „Ta bieganina i krzyki? Och, cały wieczór, oficerze. Zaczęło się zaraz po obiedzie i trwało prawie do dziesiątej. Ja nie rozumiem, dlaczego rodzice nie zwołują ich do domu wcześniej. Chociażby żeby odrobili zadanie domowe, pomyli naczynia albo zajęli się jakąś robotą. Czy dzieci nie mają już teraz żadnych obowiązków domowych?”

„Jestem pewien, że mają, panie Fisch,” powiedział Hank. „Ale czy nie dostrzegł pan w tym, o czym mówi, czegoś niezwykłego?”

„Ach, nie. One zawsze są takie. Krzyki i bieganina. Czasem dzieci, te bardziej zuchwałe, podkradają się do moich drzwi wejściowych i stukają, i stukają, i stukają. One są straszne. Nigdy nie dadzą człowiekowi spokoju. Powiedziałem im, że złoże na nich raport na policję, która jest w Shakespear Station, w pobliżu El Train, ale to nie podziałało. Prawdziwi chuligani.”

Marvin spojrzał w górę znad swego notesu. „Chuligani?” zapytał.

„O, tak, oficerze, niewątpliwie. Nie mają żadnych hamulców, żadnej *Disciplina*. Tego, co mężczyźni i kobiety mojej generacji nazywali ‘walorami intelektualnymi’. Te dzieci nie mają tego. Nie ma nic, co mogłoby je powstrzymać od zaspokajania swoich instynktów. Również tak samo było w Niemczech, przed wojną. Chodzi mi o nazistów. Byłem nauczycielem we Francji, właśnie w Strasburgu, w pobliżu granicy niemiecko – francuskiej. Uczyłem angielskiego, tak jak teraz tutaj. Ale widziałem, co się dzieje w Niemczech. Te ich ekscesy tam. Ja widziałem. Widziałem. Tak, instynkty.”

Hank poczuł, że znowu odpywa. Jego ciało osunęło się w niemoc. Patrzał na ściany. Były na nich obramowane obrazy, różne malowidła, ale światło było tak przytłumione, że nie potrafił rozpoznać, czy biała plama w ramce była krową, czy obłokiem, więc ponownie zwrócił się do Fischę. „Z jakimi ekscesami miał pan do czynienia?”

„Dzieci tam były takie same jak dzieci tutaj. Ciągłe biegają i krzychały. Wiele razy zdarzyło się, że podbiegały do mnie blisko, zbliżały twarz do mojej i głośno krzychały. Wiedziały, że chodzę powoli i nie zdołam ich złapać, więc podbiegały do mnie i wykrzykiwały różne wyzwiska. Wyrazy, których nie mogę powtórzyć, nawet wam, panowie. Chłopcy pędzili w moją stronę, wymachując pięściami, pchali się

na mnie, przyklejali do mnie, tak że musiałem się zatrzymać i iść z powrotem, a potem wykrzykiwali te okropne rzeczy, okropne wyzwiska na Żydów. To było w Strasburgu, przed wojną, jak byłem nauczycielem.”

Hank sięgnął po swój kapelusz, leżący na stoliku i zaczął powoli wodzić kciukiem, chowając go i wysuwając ponad jego rondo. „Co pan robił, kiedy dzieciaki zachowywały się w taki sposób, panie Fisch?”

„Co ja robiłem? Robiłem to samo wtedy, co robię teraz. Mówiłem, ‘Chłopcy, proszę, powinniście wiedzieć, jak należy się zachować.’ Ale oni nie. Śmiały się i przyklejali się swoimi twarzami do mojej.”

„I co potem? Co pan robił?”

Fisch nic nie odpowiedział. Pośpieszny, gorączkowy potok słów, które wypowiadał, wydawałoby się, z taką łatwością, wylewający się z niego jak wzburzony jabłkowy mus ze słoika, nagle się zatrzymał. Siedział pochylony na końcu tapczana w kolorze burgunda, spoglądając na swoje buty. Hank nie widział twarzy, ale widział jego buty. Nawet w bocznym oświetleniu salonu rzucano się w oczy to, że buty miał starannie wypastowane. Ci starsi faceci, pomyślał Hank, mogą mieć byle łach na sobie i mieszkać w kartonach, ale buty muszą mieć zawsze dobrze wypastowane.

Nareszcie Fisch spojrział Hankowi w twarz i zapytał, „Co ja mogłem zrobić? Ja, Żyd, nauczyciel angielskiego i francuskiego, mały człowiek o małych dłoniach. Zrobiłem, co zrobiłem. Pozwalałem chłopcom dać się nastraszyć. Pozwalałem, żeby przystawiali swoje brudne twarze do mojej. Czasem to im wystarczy. Chuligani chcą widzieć, że się boisz. Twój strach jest monetą, za którą możesz kupić swoje życie. Czasami.”

Hank widział jak Marvin notuje coś swoim wiecznym piórem. Potem usłyszał jakiś odgłos wydobywający się z niego, dolatujący aż na wierzch jego papierów. Jakby chrupnięcie, czy prychnięcie. Fisch też to usłyszał i spojrzął w tą stronę pokoju, gdzie siedział Marvin. „Co to znaczy? Jak pan tak może?”

Marvin zignorował go. Trzymał nisko głowę i notował.

Hank spojrział na Marvina i potrząsnął głową. „Niech pan nie zwraca uwagi na detektywa Bondarowicza, panie Fisch. To gazy, związane z dolegliwościami trawiennymi na jakie cierpi, nie słyszy też dobrze, nabawił się tego w czasie wojny.”

Lewy policzek starego kilkakrotnie ściągnął się w skurczu. Wyciągnął długą, białą chusteczkę z kieszeni swoich spodni i wklepał w nią pot z czoła i podbródka. „Ja nie oczekuję tego, żeby dzieci z podwórka mnie szanowały, ale oficer policji winien jest okazać mi pewien szacunek.”

„Ma pan rację, panie Fisch,” powiedział Hank. „Czy pozwolił pan, że zadam jeszcze jedno pytanie? Czy może pan zdać krótką relację z tego, co robił dzisiejszego dnia?”

„Oczywiście. Tak, mogę to zrobić. Dzisiejszy dzień był taki, jak każdy inny. Rano zjadłem śniadanie i czytałem. Po lunchu, dwa razy przespacerowałem się po okolicy, a potem wróciłem do swoich lekcji. Zwykle uczę do wpół do ósmej, ale dziś wieczorem skończyłem później. Potem jadłem obiad.”

„Lekcje? Ach, tak, widzieliśmy napis w oknie. Niech pan o nich opowie.”

„Tak, uczę dzieci i dorosłych angielskiego i innych języków. To są tutejsi imigranci, z okolicy Parku Humboldta, wielu z nich potrzebuje pomocy, jeśli chodzi o ich angielski.”

„Dorosłych?”

„Jak powiedziałem, dorosłych także. Oni mają nadzieję, że kiedy nauczą się angielskiego, staną się w pełnym znaczeniu obywatelami tego kraju i dostaną lepszą pracę. Są tutaj imigranci i uchodźcy, którzy w swoim starym kraju byli doktorami i profesorami. Część z nich pracuje w fabrykach, pozostali też mają jakieś zajęcia, ale oni wszyscy chcą sobie polepszyć swój byt w ich nowej ojczyźnie. Właśnie dzisiaj dawałem lekcje profesorowi. Był moim ostatnim uczniem tego wieczoru. Profesor Zcink, Węgier. Przyszedł później niż zwykle, około wpół do dziewiątej, bo zepsuł mu się samochód.”

„Profesor? I o której godzinie wyszedł?”

„Och, może około dziesiątej. To były długie zajęcia. On chciał, żebym mu pomógł tłumaczyć opracowanie jego badań naukowych.”

„Dzięki, panie Fisch”, powiedział Hank i powstał. „Czy wyświadczy mi pan tę uprzejmość i pozwoli, że rzucę okiem na mieszkanie w tym czasie, gdy oficer Bondarowicz zada panu parę pytań?”

„Tak, oczywiście. Nie mam niczego do ukrycia.”

„Dzięki, taka jest procedura.”

Hank opuścił salon i przeszedł do przedpokoju. Czuł potrzebę, żeby wstać i przejść się. Trochę się rozruszać. Wiedział, gdzie prowadzi przedpokój. Był w tego rodzaju mieszkaniach tysiące razy, sam mieszkał w jednym z nich, kiedy był dzieckiem.

Detektyw zajął do łazienki, która była po prawej stronie i zapalił światło. Małe pomieszczenie było czyste. Niczego na podłodze. Żadnych śladów ekskrementów na muszli. Ani moczu. Świeże ręczniki w żółtym pastelowym kolorze na wieszaku. Wanna wyszorowana. Żadnych śladów po kąpielu po brzegach. Śladów po krwi także. Ten starszy gość jest zapewne człowiekiem na pozycie, trzęsącym się ze strachu przed hałasującymi i zanadto rozbieganymi dziećmi schludnym dżentelmenem.

Czy był zabójcą? Hank nie mógł na to odpowiedzieć. Nie był przecież Dunningerem Mentalistą², wglądającym w głębi umysłów swoich ofiar tak długo, aż każdy grzeszek i wszystkie nieczne żądze zostaną wyjawione, tak po prostu, jak by to było gotowanie pomidorówki.

Zrobił jeszcze parę kroków korytarzem i zajął do sypialni, która była po lewej stronie. Tutaj stary musiał pewnie mieć swoją pracownię. Okno naprzeciw drzwi otwierało się na tyły synagogi, stojącej na rogu. Po prawej stronie okna stało biurko bez szuflad zwrócone do ściany. Przy dwóch innych ścianach ustawione były szafki z książkami. W pobliżu szafek leżało kilka średniej wielkości kartonowych pudeł, i w ich kierunku Hank skierował swoje kroki.

Słyszał głos Marvina w drugim pokoju. Pytał Fisch, jak długo mieszka w tej dzielnicy. Marvin był właściwym facetem do tego rodzaju roboty. Pewnie zada staremu milion niepotrzebnych pytań w tym czasie, kiedy on będzie tutaj węszył.

Hank otworzył jedno z pudeł i zobaczył komplet starych encyklopedii. *Britannicas*. Wyciągnął jeden z tomów i zaczął go wertować. Było to wydanie z 1910 roku. Przypomniał sobie, jak kiedyś słyszał sprzedawcę książek na Clark Street, który zaklinał się, że edycja z 1910 jest najlepszą z wszystkich dotychczasowych i że można w niej znaleźć wszystko, co człowiek potrzebuje wiedzieć. Tamten facet był zupełnie sfrancuziały, pretensjonalny i wypowiadał różne opinie rodem jakby z wariatkowa.

Ale czy miał rację? Że wszystko, co trzeba wiedzieć, można było odnaleźć w tej encyklopedii z 1910 roku?

Hank wiedział, że nie. Pewne jak piekło, że to, co zobaczył w czasie wojny, nie zostało zamieszczone w tej encyklopedii. Najnowsze sprawy tych czasów. Nazistowscy reżynicy, super bronie i obozy koncentracyjne, chociaż to tylko tytuły gazet. A co kryło się pod nimi? Ludzie w tamtych obozach, jedzący odpadki i krowie łajno, żeby pozostać przy życiu, dzieci zabijane strzałem w tył głowy i pozostawiane w błocie przy drodze, ich matki i ojcowie umierający w piecach tak dużych, że wystarczyłyby do napędu Titanica.

Widział tamte piece w Buchenwaldzie i widział mnóstwo innych rzeczy, których nie było w *Britannice* z 1910 roku, kiedy wędrował przez Europę wraz z innymi GI³. Niemieckiego burmistrza, którego zabił strzałem w twarz, nie było w *Britannice* z 1910 roku. Ani jego żony. Ani dzieci. Syna w skórzanym spodniaku i córki w niebieskim fartuszkach z małymi białymi kwiatkami. I pieprzonej bomby atomowej też tam nie było. *Britannica* z 1910 roku zebrze o tę atomową bombę, prosi o nią na kolanach, wyciągając dłonie. Prawdę mówiąc, o dwie bomby, tę która usmażyła Nagasaki i tę, która usmażyła Hiroszimę i tych wszystkich wynędzniałych, wygłodzonych Japończyków z ich wystających do przodu zębami i okularami o grubych soczewkach. Pamiętał Kapitana Amerykę⁴ wrzeszczącego, „Gii, brudny szczurze, umieraj! *Rat-tatta-tat-ta!*”

Hank odłożył ciemnobrązowy wolumin do pudła i wszedł do kuchni. Cały się trząsał i musiał się zatrzymać.

Kuchnia była jak łazienka i pracownia, również salon. Czy sta jak szpitalne prześcieradła.

Garnki i talerze schowane do szafek. Żadnych pułapek na myszy na podłodze przy listwach. Nie było stert starych butwiejących gazet ani żadnego żarcia, do którego mogłyby przysiąc szczury. Stary miał jednak parę rzeczy. Była tam dwupalnikowa płyta do gotowania i chłodziarka. Taak, starego typu mechaniczna chłodziarka. Z każdym tygodniem Hank coraz rzadziej spotykał się z takim sprzętem. Wkrótce każdy w tym kraju przechowywać będzie mielone i Budweisera, żeby był zimny, w nowoczesnych lodówkach General Electric albo Frigidaire. On sam miał taką w swoim domu.

Pieprzyć rok 1910. Witamy w przyszłości. Postęp jest naszym najważniejszym produktem. Czy to nie o tym ciągle skrzeczą reklamy GE⁵? Postęp? Więcej i lepiej? Lepsze produkty służące lepszemu życiu dzięki użyciu chemii i motoryzacji? A więc przyszłość. Nigdy więcej poćwiartowanych dzieci włożonych do walizki. Chciał, żeby przyszłość była nieskalana i by potrafiła oprzeć się zbrodni. Chciał wiele.

Spojrzał na swoje ręce, okręcił nimi powoli, tak że mógł zobaczyć dłonie i grzbiety rąk. Już prawie się nie trzęsły.

Hank prawą ręką odciągnął drzwiczki chłodziarki. Przyszłość w niej nie zapowiadała się zbyt dobrze. Było w niej to, co starzy faceci zwykle tam trzymają, obłożone lodem, żeby uchronić od zepsucia: otwarta puszka Milnot Milk, smażona ryba na talerzu, owinięta w woskowy papier, parę jabłek. Te czerwone wyglądały na całkiem smaczne. Było też coś owinięte w papier z Deli, należącej do Joe Pierce'a, usytuowanej przy Division Street. Prawdopodobnie wędlina. Miał nadzieję, że to twarde salami.

Detektyw uniósł papier znad wędliny. Miał rację. To było salami Genoa. Gatunek, który lubił. Palcami odciągnął warstewkę od góry, wepchnął ją w usta i przeżuwał. Salami miało właśnie taki smak, jak lubił, było pieprzne, chude i z dużą ilością czosnku. Rozglądał się, czy nie znajdzie w chłodziarce musztardy, ale nie było.

Ale nie znalazł też ani dziecięcych piąstek ani kości któregoś z ramion. Nie natknął się na wątrobę należąca do małego chłopczyka, ani też na serduszko dziewczynki, owinięte w namiękły woskowy papier. Nie było tam płatów ludzkiej skóry na talerzu. Ani też słoików typu Mason⁶, wypełnionych po wieczko ciemnoczerwoną krwią, wyciekającą z nadmiaru.

Chociaż, jest jakiś słoik.

Na górnej półce chłodziarki, z tyłu, za smażoną rybą, Hank dostrzegł słoik Masona, objętości jednej kwarty⁷, wypełniony jakiegoś rodzaju ciemnoczerwonym płynem. Wyglądał się do przodu, żeby lepiej widzieć. Barwa tej cieczy to był dość niezwykły rodzaj czerwieni. Miała kolor burgunda, mniej więcej taki sam jak tapczan w salonie. Chłodziarka nie miała oświetlenia, a słaba żarówka kuchennej lampy więcej rzucała cieni niż dawała światła, był jednak przekonany, że to był kolor czerwony. Jak krew.

Hank postukał paznokciem po szkle. Myślał, że może coś pojawi się, drobina czegoś, grudka zakrzepłej krwi, lub dwie, ale nic nie poruszało się we wnętrzu słoja, więc wyprostował się.

„Niech pan powie, Fisch,” Hank zawołał w kierunku salonu, kiedy zamknął drzwiczki chłodziarki, „Czy mógłby przyjąć pan tutaj, do kuchni na minutkę?”

Usłyszał jak stary mężczyzna wstaje i powłócząc nogami przechodzi obok Marvina.

„Tak, idę, oficerze. Tak, jestem. Czy coś nie tak?”

Hank nic nie odpowiedział. Słyszał, jak Marvin również wstaje i podąża za Fischem. Stary był niespecjalnym piechurzem, dlatego zajęło im to jakiś moment, czy dwa zanim oboje stanęli w tej schludnej kuchni.

„Ja teraz nic nie mówię,” zagadał Hank, „ale jednak chciałbym koniecznie zadać panu to jedno pytanie.”

„Tak, detektywie?” odezwał się Fisch niepewnym głosem. Stając przy kuchennym stole o laminowanym blacie Formiki, oparł o niego prawą rękę, jakby szukając tam pomocy.

Hank otworzył drzwiczki chłodziarki i wskazał na coś w jej wnętrzu. „Czy widzi pan, Fisch, ten słoik Masona w głębi, za puszką Milnota?”

„Tak, pewnie, że widzę.”

„Czy będzie pan uprzejmy wyjawić mi, co jest w tym słoju?”

Stary podszedł do chłodziarki, zgiął się, niemal wpychając głowę do jej środka.

„Tak, wiem dokładnie, co to jest”, powiedział. Potem prawą ręką sięgnął po słoik i pociągnął go po drucianej półce chłodziarki na zewnątrz. „To jest zupa. Pani Olejniczakowa zrobiła ją dla mnie. To jest *czarnina*.” Postawił słoik na stole i zrobił krok do tyłu. „Dlaczego się tym, panowie interesuje?”

Hank nie udzielił odpowiedzi. Potrzebowali więcej światła. Rozejrzał się i zobaczył, że jest żarówka w oprawce na ścianie nad zlewozmywakiem, poprosił więc Marvina, żeby ją zapalił.

„Teraz lepiej. Przyjrzyjmy się temu.”

Hank uniósł słoik i delikatnie nim potrząsnął. Nie zobaczył niczego poza ciemną cieczą. Upewnił się, czy wieczko jest szczelnie zamknięte, a potem obrócił słoik do góry dnem. Nic. Odstawił słoik z powrotem na stół i odkręcił metalowe wieczko. Potem pochylił się nad otwartym słojem i wciągnął nosem powietrze.

„Jezu”, powiedział, odrzucając do tyłu głowę.

W zapachu, który poczuł, było coś słodkiego, ale była to słodycz nadpsuta, zjełczała, jak słodycz niezerwanego jabłka, gnijącego na drzewie. Była w nim też jakaś intensywność, odpychająca i metaliczna, z wyraźną nutą jakiegoś kwasu. Hank potrząsnął głową, a potem Marvin zaciągnął się owym zapachem.

„Fiu, to pachnie jak z dupy”, powiedział i odsunął się w kierunku ściany, żeby nie stać w sąsiedztwie słoja. „Jaki to rodzaj zupy, do cholery?”

„Panowie, proszę,” Fisch bronił się, zawodząc, „To jest *czarnina*. Zupa z kaczjej krwi.”

„Słyszałem już o tym, ale nigdy tego nie wachałem,” powiedział Hank, z uwagą spoglądając na zawartość słoika. „Nie robią się skrzepy. Skoro to jest krew, dlaczego nie ma żadnych skrzepów?”

„Olejniczakowa dodaje octu, żeby krew nie krzepła. Czasami daje go zbyt dużo i wtedy czuje się kwas, tak jak teraz.”

Marvin znów przystąpił do stołu. „Moja mama pochodziła ze starego kontynentu, z Polski. Próbowwała kiedyś zrobić tę rzecz, a wtedy mój stary powiedział jej, że odejdzie od niej, jeśli chociaż raz coś takiego przygotuje. On mówił, że nie cierpi tego zapachu i teraz, cholera, wiem już, o czym gadał. Zakręć to wieczko, Hank. Nie mogę patrzeć na tę zupę, przewraca mi się w żołądku.”

Hank zakręcił z powrotem wieczko i podał szklany słoik Marvinowi. „Myślę, że to już wszystko, panie Fisch. Jeśliby pan zobaczył coś podejrzanego lub niezwykłego, proszę dać znać o tym policjantom na posterunku w Shakespeare.”

„Tak, panowie, oczywiście,” odpowiedział Fisch. „Ale czy wy zabieracie moją zupę?”

Hank spojrzał na słoik w swoich rękach i potwierdził. „Sądzę, że musimy to zrobić, panie Fisch. Przepraszam za kłopot z tym związany, ale musimy przebadać tę zupę.”

„Czy dostanę ją z powrotem?”

„To jest mało prawdopodobne.”

KONIEC

¹ Krauts – pogardliwie o Niemcach, od kiszzonej kapusty

² Joseph Dunninger (1892-1097), słynny iluzjonista, znany z umiejętności czytania cudzych myśli

³ GI – to ogólnie skrót odnoszący się do wszystkich żołnierzy armii amerykańskiej; od Government lub General Issue

⁴ Captain America -fikcyjna postać superbohatera znana z licznych serii komiksowych, uosobienie amerykańskiego patriotyzmu

⁵ GE – akronim, od General Electric

⁶ Mason jar – amerykański słoik z zakrętką, podobny do słoików typu Twist

⁷ Kwarta amerykańska (Quart) – to wielkość około 0,95 litra

Poetycka *klapsznita*

MAREK
PIECHOTA

czyli paralimeryczny *sandwich* dla nie-Ślązaka

Aleksandrowi Nawareckiemu
w podziękowaniu za *Lajermana*¹

Gdy pisałem przed laty o nieoczekiwanym olśnieniu nowym gatunkiem wierszy żartobliwych i arcyposkich zarazem, które nazwałem – może zbyt patetycznie – *odRzeczypospolitkami*, poprzedziłem ten rozdziałek rozważań mottem: „Nie jest prawdą, że coś niezwykłego może się urodzić wyłącznie w stolicy, a jednak tam o ileż łatwiej”². Tym razem kilka słów o olśnieniu pozastolecznym, prowincjonalnym, wynikającym z naglej epifanii, ze skojarzenia w połowie lipca 2014 roku na trasie pomiędzy Tarnowskimi Górami a Bytomiem, że *klapsznita* (kanapka z dwóch złożonych razem kromek chleba lub bułki, przełożonych mięsem, serem – czymkolwiek wreszcie, samym masłem lub smalcem) to taki śląski sandwich – tym razem, w odróżnieniu od tytułu, który powinien wabić egzotyką, zapisuję w wersji dobrze w polszczyźnie zadomowionej.

Miłośnicy anegdot utrzymują, że kanapkę tę wymyślił angielski dyplomata John Montagu, lord Sandwich (1718–1792), gdyż był także zapalonym brydżystą, a nie lubił ani odchodzić od karcianego stolika, ani poplamionych jedzeniem rąk i kart. James Cook na cześć czwartego hrabiego Sandwich i pierwszego lorda Admiracji nadał przelotnie obowiązującą nazwę Wyspy Sandwich dzisiejszym Hawajom. Zapamiętano jednak jego lordowskiej mości dość nieudolne dowodzenie Królewską Marynarką Wojenną, które miało walczyć przyczynić się do uzyskania niepodległości przez Stany Zjednoczone i utraty przez Wielką Brytanię tej intratnej kolonii. Jeśli talent do brydża dorównywał maestrii arystokracji w kwestiach dowodzenia... Ale pomysł na kanapkę smakuje nam do dzisiaj.

Od razu wyłonił się teoretyczny i oczywisty schemat rymów i rytmu: powinna to być moja ulubiona forma paralimeryczna, a zatem pięciozłogłoskowiec sylabiczny (sylabizm zdecydowanie nieregularny) z dłuższymi wersami pierwszym i piątym (to owe „kromki”), „nadzienie” zaś powinno być szcuplejsze – graficznie wiersz ma wyobrażać szersze nieco okładki z cieńszym wkładem. Pełna zatem strofa pięciowersowa z rymami żeńskimi winna odzwierciedlać schemat w wersji „dorosłej” (*klapsznita*): trzynastosylabowe wersy pierwszy i piąty oraz jedenastosylabowe wersy od drugiego do czwartego o układzie rymów *a bbb a*. W wariacie deminutywnym jedenastosylabowe wersy okalają dziewięciosylabowe³. Tekst musi epatować nienaganną polszczyzną z ewentualnymi odstępstwami na rzecz śląszczyzny (głównie w sferze onomastyki, trudniejsze słowa, *kierych nie poradzi rozebrać bele gorol*, ewentualnie można objaśniać, rozdzielając je słówkiem „czyli”, ale *chili* – jako przyprawa – niekonieczne, jedni wołają *ketchup*, drudzy wołają *zymft*, *qudlibet*). Tytuł powinien, ale nie musi, dotyczyć

stricte śląskich swoistości. Mile jednak widziana będzie ho-meopatyczna powściągliwość: jedno, dwa (góra trzy!) śląskie słówka lub zwroty, bez przesady. Nie wypada elementowi aluwialnemu (napływowemu), o nader wąłym pojęciu dotyczącym śląszczyzny, ostentacyjnie popisywać się pseudoerudycją.

Już w bytomskiej Arenie, w „Grycanie” na pierwszym piętrze (był upalny lipiec), powstała pierwsza dojrziała poetycka *klapsznita*:

Chlepek s tustym

Myślisz, że czegoś więcej do szczęścia potrzeba? –
Odpowie każdy Ślązak (nie zuchwalec):
Trza rozsmarować tuste, czyli smalec,
Wcale nie musi być grubo na palec,
Na *sznicie*, czyli kromce prosto z pieca chleba.

To wiersz pierwszy z serii, więc niedoskonały. Graficznie niby wszystko się zgadza, jest spodnia „kromka” i górna, nadzienie jakby nawet znacznie grubsze niż przewiduje przepis, ale przecież w tekście pojawia się pojedyncza kromka. *Sznita* w warstwie semantycznej wiersza jest żałośnie pojedyncza, powiedzmy, że to zabieg poetycki: *pars pro toto* (metonimicznie jedna zamiast dwóch). „Grubość” wiersza wolno jednak odbierać jako aluzję do pięciowersowej strofy limeryku, wiersza irlandzkiej, nie angielskiej proweniencji.

Kolejny sandwich, w którym zapragnąłem umieścić fascynującą mnie od dzieciństwa *klopsztangę*, zwisanie z której dawało całkowicie odmienny światopogląd (lord Sandwich posłużyłby się tu zapewne językiem dyplomatów i stwierdził, że w tej pozycji świat wygląda raczej, za pozwoleniem, jeśli nie wzbudzi to sprzeciwu *à rebours*), rozpoczyna się od prze-

wrotnej trawestacji szlagwortu z „wiecznie żywej” piosenki „Budki suflera”, ale i do kosmogonicznych teorii genialnego Stephena Hawkinga w drugim wersie też niezbyt daleko:

Z marzeń głową w dół
Perle Radzionkowa

Nie spod „Budki” to mądrość: „Dla dwojga *trza tanga!*”
Z młodzieńczych snów wnosisz ją i marzeń,
Z podwórkowego horyzontu zdarzeń...
„To się z nią – jeśli *dzioucha* urok ma – żeń!”
By zwisać głową w dół, *na placu* jest *klopsztanga*.

Rym „*trza tanga / klopsztanga*” nawet najwybredniejsi koneserzy mogą zaliczyć do rzadkich względnie wyszukanych, choć złośliwi zapewne nazwą go rymem-upiorem (chciałbym!)⁴. Jak „horyzont zdarzeń”, to już niedaleko do kosmicznej jak bryła węgla „czarnej dziury”, a przecież mieliśmy świadomość, że pod naszymi podwórkami – studniami cembrowanymi ceglami kamienic, nie od razu otynkowanych w epoce jeszcze przedstyropianowej – rozciągają się kopalniane czeluście, które wciągały naszych kolegów niekiedy na całe życie. „Perła Radzionkowa” to szyfr domowy, do któ-

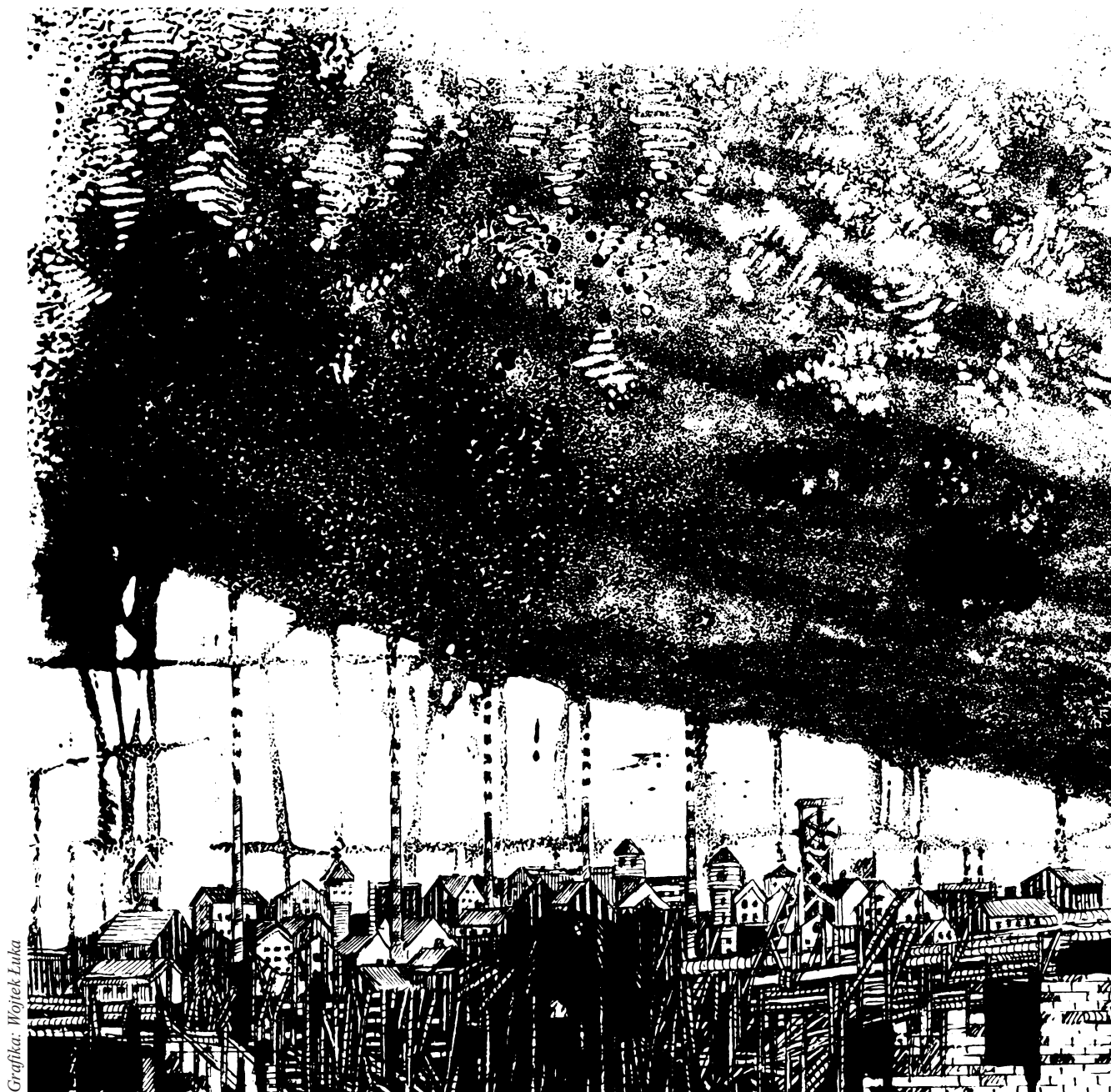
rej kluczem jest mowa Homera, a poznaliśmy się z moją Muzą na wakacjach w dzieciństwie, w odległych Sudetach. Zatem widać wyraźnie, że horyzont tarnogórskiego podwórka sięgał co najmniej do Radzionkowa, a może nawet na krańce przed półwieczem o wiele mniejszego wszechświata, niż się to dzisiaj do wierzenia podaje.

Pora na rozważania metaliterackie, uwagi warsztatowe dotyczące „teorii” gatunku, najbliższe sercu literaturoznawcy:

Metatekst (zamiast zymftu)

Wersy okalające jak dorodny okwiat,
Płatki wokół pręcików i słupka,
Pyłkiem – *za bajtla* zasłyszane słówka,
Bo czym za młodu nasiąknie skorupka,
A czytelnik dworuje, że autor *wynokwia*...

Tu widzimy, że „nadzienie” lekko się rozjechało, czy to wskutek zbyt mocnego ściśnięcia „kromek” łąpczywego ich pożeracza, czy też raczej dlatego, że były one za krótkie a nadzienia zbyt wiele. Nie wystarczy pilnowanie ilości sylab, by wersy okalające były rzetelnie trzynastogłoskowe, a tercyna „nadzienia” jedenastogłoskowcem. Wybrakowany san-



dwicj smakuje inaczej, jeśli nawet w realizacji fonicznej zadawała poprawnością, nie pieści oka, gdyż graficznie daleko mu do doskonałości.

Wreszcie, jak przystało na strofy profesorskie, pora umieścić bodaj jedną z „myśli skrzydlatych”, powiedzmy mniej wytwornie – uczynmy użyteczną jakąś sentencję, myśl o ambicjach aforyzmu (aliteracja zamierzona). Żeby jednak było trudniej, posłużmy się odrobiną ironii oraz prostoduszną refleksją w rodzaju: „Smutek łagodzi doskonałość formy”, choć pewnie nie wszyscy zaakceptują pozytywny wydźwięk takiej konstatacji, zwłaszcza że dobroczynność łagodzenia można tu przypisać i smutkowi, i doskonałości formy, a doskonałość przed chwilą została podana w wątpliwość w zapowiedzi posiłkowania się ironią. Jeśli jednak całość umieścimy sprytnie w kontekście politycznej niepoprawności, dotkliwego borykania się z brakiem klasy naszej klasy politycznej, władz centralnych wybieranych przez coraz mniejszą większość jeszcze głosujących... Tytuł zapożyczam z premedytacją z rekordu świata osiągniętego w konkurencji układania krzyżówki skrablowej z wyzyskaniem polskiej czcionki (to obecnie 4111 punktów!) mojego przyjaciela Jurka Paszka. To słówko nie tylko punktodajne i „skrablocenne”, ale będące zarazem apelem o wzajemność, aby władza centralna traktowała nas z odrobiną tej wielkoduszności, której od niej oczekujemy („my, poddani”):

Zadosyćuczynmyż

*Darymnie godać... Kościołowi Marcin Luter
Mniej szkód wyrządził przez swoje reformy
Niż godce talib z PiS-u czy Platformy.
Smutek łagodzi doskonałość formy.
O godka się upomnieć, to darymny futer.*

Pewnie to przeciwnie. Ale upominać się trzeba, bo „Jeśli nie teraz, to kiedy? / Jeśli nie my, no to kto?” – jak śpiewał niezapomniany ansambl „Kabaretu Olgi Lipińskiej” na długo przed tym (bodaj całe dwa lata), zanim moja Małgosia namówiła mnie na wysłanie pierwszego tekstu jeszcze na adres kierowanego przez panią Olgę teatru „Syrena”⁵.

Nie daje mi wreszcie spokoju przelotna amerykańska wynalazku lorda Sandwich, mianowicie konsumpcyjnie uprzedmiotowiające określenie człowieka reklamującego lub pikietującego (w bardziej lub mniej słusznej sprawie, zajęcie popularne swego czasu zwłaszcza w USA) publicznie produkt lub idee, zwerbalizowane lub zaledwie ikonicznie zarysowane na dwóch plakatach, zawieszonych na plecach i na piersi (ciekawe, czy łączące te plakaty szelki też mają jakąś osobliwą odkuchenną nazwę?) – *sandwich-man*. W takim wypadku, moje skromne, aczkolwiek do przesady nadziewane *kłapsznity* dla nie-Ślązaków, jeśli nie z definicji, to przynajmniej z kontekstu miałyby reklamować polszczyznę-śląszczyznę. Ale żeby powtarzać jednobrzmiającą wersję z przodu i na plecach (w pierwszym i ostatnim wersie), do tego się nie zniżę. Nie szukam usprawiedliwienia własnych niedoskonałości w uniku, że to tylko próby i nie ma w tym żadnej aluzji do dzieła Michela de Montaigne.

Sandwich dla nie-Ślązaka to dobra pod względem genologicznym nazwa i nie trzeba szukać innej, zawiera elementy wyvodu genealogicznego i skojarzenie z apetyczną kanapką oraz sugestią, że nie-Ślązak od Ślązaka też się może niekiedy dowiedzieć czegoś o zawiłościach polszczyzny. Czy to się przyjmie? Trudno powiedzieć, trzeba znaleźć naśladowców. Włoscy futuryści, z Filippo Tommaso Marinettim na czele, bezkrytycznie zafascynowani „betonem, szkłem i żelazem”, namawiali mieszkańców Wiecznego Miasta i okolic do rezygnacji z zapożyczeń obcojęzycznych i ta agitacja objęła także sandwiche, które miały się w początkach XX wieku nazywać *traidue*, czyli „między dwoma”, podobnie jak ba-

ry miało zastąpić wyrażenie *quisibebes*, czyli „tu się pije”⁶, ale manifest potraktowano jako przesadnie nowoczesny i się nie przyjął. Gdy brak atrakcyjnego, rodzimego nadzienia, łańtwo nadziać się na zarzut ksenofobii i trzeba obejść się smakiem.

Piszę to w czasach, gdy – jak to dość niefrasobliwie spostrzegłem podczas jednej z międzynarodowych konferencji w Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu pod koniec ubiegłego wieku: „Wielkopolska staje się tak samo Małopolska jak Śląsk”. Ortografia nie pozostawia wątpliwości i odpiera wszelkie zarzuty dotyczące politycznej niepoprawności, ale przecież ktoś, zwłaszcza lekko zacinający się w wymowie, może odczytać nazwę regionu ze stolicą w Krakowie niepoprawnie, że jest to „mało polska” i kłopot, a nawet skandal, gotowy.

Chciałbym ponadto podkreślić, że to „wymyślnictwo” nowych form, podobnie jak to miało miejsce w przypadku od-Rzeczypospolitek, nie ma na celu wyprodukowania „systemu jednorazowego użytku” do spożytkowania go w jednym niepowtarzalnym wierszu, tekście, minizbioru i szlachetnego odróżniania się od innych. Wręcz przeciwnie, podpowiedziany rytm nie musi różnicować, może łączyć, „smakować” wielu.

Romantycy i romantolodzy, miejscowi tudzież aluwialni (napływowi, ale też osadowi, chociaż niekoniecznie osadzeni), opisując Śląsk, odkrywali i odkrywają w nim autentyczną „kraię cudów” i cudownych ludzi; nie inaczej w najdrobniejszej bodaj formie literackiej, nawet takiej, której dotąd jeszcze nie było. Zawsze przecież będzie zawierała ślady tego, co przetrwało w śląszczyźnie przez „wieki wieków” ze staropolszczyzny, z czasów, gdy Ślązak mówił tak samo lub niemal tak samo (prof. Jan Miodek naukowym świadkiem!) jak Małopolanin i Wielkopolanin, gdy posługiwał się językiem Rejów i Kochanowskich.

Wybrane słówka i zwroty dla nie-Ślązaka: *darymnie* – nadaremnie; *darymny futer* – na próżno; *dzioucha* – dziewczyna; *godka* – mowa; *gorol* – nie-Ślązak; *kłopsztanga* – trzepak; *lajerman* – kataryniarz; *sznita* – kromka; *trza* – trzeba; *tuste* – smalec; *wynokwiać* – wydziwiać, wyczyniać; *za bajtla* – dzieckiem będąc; *zymft* – musztarda.

¹ A. Nawarecki: *Lajerman*. Gdańsk 2010.

² M. Piechota: *Dolimeryczenia, odRzeczypospoliteki i inne bajdelejkę, czyli jak nawiedzają nas stare i nowe gatunki parakabaretowe*. W: *Jaki jest kabaret?* Pod red. D. Fox i J. Miłkołajczyka. Katowice 2012, s. 79.

³ Wersja rzeczywiście zdrobniała, a może jedynie oszczędna, powinna stanowić tercynę z pojedynczym wersem „nadzienia”, jednak – z jednej strony – presja wywierana przez rzeczywistość *fast food* w globalizującej się naszej wiosce działa na ambicje, z drugiej strony, byle [c] *ham* może wymyślić swojego *burgera*.

⁴ Por. K. Budzyk: *Rym-upiór „osie / stało się”*. „Pamiętnik Literacki” 1956; H. Turska: *Z zagadnień języka Mickiewicza. Rymy typu „osie / stało się”*. „Pamiętnik Literacki” 1951, z. 3–4.

⁵ Zob. M. Piechota: *Mój „debiut i dojrzałość” w „Kabarecie Olgi Lipińskiej”*. „Opcje” nr 5 (28), 1999, s. 38–41. Na półce z literaturą kabaretową i o kabaretach stoi tom prof. Tomasza Stępnia *Zabawa. Poetyka. Polityka* (Katowice 2002), z jedną z najmilszych dla mnie dedykacji: „Profesorowi od wielkiego romantyzmu / i świetnemu autorowi tekstów / najświetniejszego kabaretu III RP / (PRL-u też) / jak najserdeczniej, Tomek / Bielsko-Biała / 22 X 2002.

⁶ Por. R. Hughes: *Rzym*. Przeł. Wł. Jeżowski. Warszawa 2011, s. 398.

• Utracone miejsca zbiorowej pamięci?

Wojna w mieście to przede wszystkim strata w ludziach, śmierć, ucieczka, migracje i uchodźstwo. Obok fizycznych zniszczeń budynków i przestrzeni publicznych, socjolog zwróci uwagę na inne, nienamagalne, acz niezwykle ważne skutki działań wojennych w przestrzeni miasta. To przede wszystkim zniszczenie, bądź usunięcie elementów zbiorowej pamięci, miejsc, które tworzą tożsamość narodową, wiążą się ze wspólną pamięcią i tworzą uniwersum symboliczne mieszkańców. Następne – to polityczny chaos, brak aparatu administracyjnego zarządzającego, kontrolującego miejską infrastrukturę. To wszechobecny brak – zaopatrzenia, instytucji zapewniających bezpieczeństwo, edukację, pomoc. To niepewność, hałas, degradacja i dezintegracja oraz brak poczucia bezpieczeństwa. Konflikty przestrzenne, choć dotyczą znaczną liczbę mieszkańców, nie dezorganizują życia tak dalece jak działania wojenne.

• Wojenna trauma miejska

Miasto i mieszkańcy, którzy doznali wojny, przez lata będą mierzyć się z traumą i poczuciem straty. I to architekci, częściej niż socjologowie, zastanawiają się, jak miasta należy odbudować. Pytanie o odbudowę miasta dotkniętego wojną, konfliktem lub katastrofą stawia Esther Charlesworth, podkreślając znaczenie planowania przestrzennego i odbudowy nie tylko w procesie redukcji powojennej traumy, ale także w odbudowie poczucia bezpieczeństwa i więzi, struktur społecznych nadszarpniętych, czy wręcz zniszczonych, tak, jak budynki i gmachy. Trzy studia przypadków – odbudowa Bejrutu, Nikozji i Mostaru pokazują w sposób maksymalnie szczegółowy jak przebiegała odbudowa, jakie założenia towarzyszyły planowaniu, oraz jakie skutki społeczne w kontekście redukcji traumy odniosły decyzje planistów. W 1999 roku powstała organizacja – Architekci bez granic, której celem jest promowanie i wykonywanie takich rozwiązań architektonicznych, które biorąc pod uwagę strukturę społeczną, warunki historyczne i polityczne inklinacje, odbudowują nie tyle zniszczone miasta, co zniszczone więzi, struktury, sieci i poczucie bezpieczeństwa mieszkańców regionów ogarniętych konfliktem. W anglojęzycznej literaturze występuje pojęcie *urban trauma*, oznaczające stan po katastrofie, konflikcie, bądź innym zdarzeniu, które dotyka nie tylko przestrzeni miasta, ale także struktur i sieci społecznych w nim istniejących i z nim związanych.

• Porażająca niepewność i ryzyko

Współczesność – niepewność i wytworzone przez społeczeństwo ryzyko



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Metropolie rządzą światem, a strach rządzi metropoliami (II)

sprawiają, że jest to obszar, którym wkrótce nie sposób się będzie nie zajmować, gdyż *urban trauma* jest takim samym znakiem czasów jak globalizacja i wojna domowa. Miniony wiek XX i obecny XXI przyniosły znaczny postęp cywilizacyjny, który jest związany z globalizacją gospodarki, powstaniem ponadnarodowych instytucji o charakterze politycznym i gospodarczym, a co za tym idzie – zwiększoną mobilnością ludzi, towarów i kapitału. Te zjawiska w znaczący sposób wpłynęły na kształt i dynamikę procesów urbanizacyjnych a przede wszystkim metropolizacyjnych. Pojęcia metropolii i metropolizacji nie są zupełną nowością, bo metropolie istniały już w starożytności, jednak przez wieki zmieniły się ich funkcje i znaczenie.

• Metropolie rządzą światem?

Metropolizacja przestrzeni jest pewnego rodzaju odpowiedzią systemu osadniczego na proces globalizacji, która związana jest z tworzeniem się nowego typu struktury przestrzennej

na wybranych jednostkach, wyróżniających się dużą innowacyjnością, potencjałem m.in. gospodarczym, naukowym, finansowym, w celu uzyskania przewagi i międzynarodowej pozycji. Metropolia potocznie definiowana jest jako duże miasto stanowiące centrum gospodarcze, finansowe i kulturalne większego obszaru. Metropolie to aglomeracje miejskie liczące co najmniej pół miliona i więcej mieszkańców, jednak kryterium ludnościowe wymaga uzupełnienia o takie cechy, jak doskonałość usług, wielość instytucji, potencjał innowacyjny w zakresie technicznym, ekonomicznym, społecznym, politycznym i kulturalnym; wyjątkowość i specyfika miejsca. Ponadto znaczące czynniki konstytuujące metropolie, to dominacja lub opieka nad pewnym obszarem, przodowanie w danym modelu rozwojowym oraz relacje ośrodka metropolitalnego z odległymi układami terytorialnymi, skupionymi w światowej sieci metropolitalnej. Kwestia połączenia poszczególnych metropolii w światową sieć jest mocno powiązana z relacjami, jakie wiążą je z ich „macierzystymi” regionami, a dokładniej z ich rozluźnieniem. Pomimo istnienia tego potencjalnie niekorzystnego dla rozwoju regionalnego fenomenu, trzeba wszakże pamiętać o dodatniej zależności pomiędzy rozwojem metropolii, a rozwojem kraju, na którego terytorium są one ulokowane.

• Metropolie: z tarczą czy na tarczy?

Tymczasem, niepostrzeżenie, wraz z rozwojem metropolii, pojawiły się nowe istotne zagrożenia dla metropolii i miast globalnych. Stały się one idealnym celem ataków terrorystycznych ponieważ są siedzibami władz państwowych, organizacji i firm o transnarodowym charakterze, a także przedstawicielstw międzynarodowych stowarzyszeń i ambasad. Centra metropolii skupiają codziennie olbrzymią liczbę przemieszczających się mieszkańców, interesantów, tam przecinają się szlaki komunikacyjne, usytuowane są centra przesiadkowe, wielkie dworce, tam krzyżują się linie metra. Miasta globalne to także miejsca symboliczne, na trwałe zapisane w świadomości, w tożsamości nie tylko mieszkańców, w kulturze popularnej, to elementy dziedzictwa kulturowego. Uderzenie w nie to uderzenie w niezwykle ważne fundamenty nowoczesnego świata. Metropolie rządzą światem – twierdzi wybitny socjolog ery Internetu Manuel Castells. Jednakże nie można zapominać, że w XXI wieku strach rządzi metropoliami.

Felieton napisany we współpracy
z dr Karoliną Wojtasik
z Instytutu Socjologii
Uniwersytetu Śląskiego



Z ks. profesorem
JERZYM
SZYMIKIEM,
teologiem i poetą,

rozmawia
ks. TOMASZ JAKLEWICZ

By źródło było czyste

– Żyjemy już w epoce papieża Franciszka, a Ty wciąż wracasz do Benedykta XVI. Czy abdykacja Benedykta XVI nie oznacza tego, że trzeba już zapomnieć o jego pontyfikacie i dać się ufnie prowadzić nowemu papieżowi?

– Na najprostszym poziomie odpowiem tak: Kościół to jest wielka ciągłość, żaden z papieży nie uprawia jakiegoś rancza dla siebie, bez łączności z tym, co było i bez wychylenia w to, co będzie. W tym sensie w epoce Franciszka era Benedykta XVI nie przeminęła. Podobnie zresztą Benedykt kontynuował Jana Pawła II, a Jan Paweł II rozwijał nauczanie Soboru Watykańskiego II. Jed-

ną z najmądrzejszych rzeczy, które może zrobić proboszcz czy wikary jest budowanie na tym, co zrobił jego poprzednik. Owszem wnoszę nowe treści, ale cały czas chronię dobro, które w ludziach zostawił mój poprzednik. W tym prostym znaczeniu (choć nie tylko w tym) nauczanie Benedykta XVI się nie zdezaktualizowało. I rzecz jeszcze ważniejsza: nie waham się myśleć, że teologia Ratzingera jest jednym z największych darów Boga dla naszego świata i naszego czasu. W diagnozowaniu chorób współczesności i podawaniu lekarstw jego myśl jest absolutnie genialna.

– Media utrwaliły negatywny wizerunek Benedykta XVI, także w lu-

dziach wierzących. Powtarzano, że to człowiek, który nie rozumie współczesności, nie ma kontaktu z rzeczywistością, siedzi tylko w bibliotece, a jego pontyfikat to seria wpadek, jedyny dobry ruch to abdykacja. Pracując kilka ładnych lat nad trylogią „Teologia benedicta”, szedłem właściwie wciąż pod prąd tych nagłaśnianych też o nieudaczniku na Piotrowym Stolcu...

– Najtrudniejszą kwestią było dla mnie to, czy w ogóle skończyć tę trylogię. Najdosłowniej, bez metafory, czy nie dać sobie spokój. Gdy siadłem do pisania trzeciego tomu, po kwadransie zadzwonił twój telefon z wiadomo-

ścią „Jurek, papież abdykował”. Kosztowało mnie to strasznie dużo. Na najgłębszym poziomie musiałem się z tym oswoić i dlatego pisanie przerwałem. Na głowę zwały mi się telewizje, gazety, telefony, wywiady itd. Potem ciężko zachorował mój zwagier, cała moja energia, co oczywiście, poszła w towarzyszenie moim bliskim. Szwagier zmarł, niestety. Po pół roku pojawiła się pokusa, żeby to zostawić. Słucham, patrzę, czytam: wszyscy mówią o Franciszku, nikt nie wspomina Benedykta. A ludzie bez przerwy „będziesz to jeszcze kontynuował? Warto aby? Czy nie trzeba z żywymi naprzód iść? Cofasz się?”. Pomogła mi chyba prosta śląska cecha: „synek, jak żeś coś zaczął, to to skończ”. Miałem zebrany materiał, zmobilizowałem się na nowo, przeczytałem rzeczy najnowsze, uwzględniłem zmieniony kontekst. I ruszyłem z trzecim tomem jak zranione i tym samym rozjuszone zwierzę, z tym większą energią i zapałem. I rzekłbym: nie bez łaski Bożej... I wbrew tamtemu ciśnieniu, udało mi się to w ciągu dwóch lat skończyć, z półrocznym tylko poślizgiem. No i zastanawiam się, czy moja praca zostanie zmarginalizowana albo dojdzie do jakiejś ciekawej syntezy, co byłoby moim marzeniem.

– **Syntezy, czyli...?**

– Czyli Franciszek jak najbardziej, a dzieło Benedykta go wspiera. Wspiera w tym, na co Franciszka nie stać. Ten rodzaj syntezy byłby czymś pięknym. Pewną próbą była pierwsza encyklika Franciszka, która w większości była napisana przez Benedykta. Ale póki co Franciszek prawie w ogóle się do niej nie odnosi w swoim nauczaniu – rozumieć go na psychologicznym poziomie świetnie: to nie jego tekst, nie jego myśli, nie jego świat pastoralny.

– **Gdybym miał komuś polecać całą trylogię, to proponowałbym lekturę od końca, właśnie od tego trzeciego tomu, potem drugi i na końcu pierwszy. Powiedziałbym, że ten trzeci tom jest najbardziej publicystyczny. To diagnoza zachodniego, czyli i naszego świata. Podstawowa teza jest taka, że największym złem, który trapi nasz świat jest bezbożność.**

– Dokładnie tak. Chodzi o zepchnięcie Boga z tego miejsca, które powinien zajmować, ukrycie Go za parawanem rzeczy rzekomo ważniejszych. Często to się dokonuje nawet z intencją „wrócimy do Ciebie, ale musimy najpierw wykształcić dzieci, zdobyć pozycję zawodową, zaliczyć kilka ciekawych wakacji, błysnąć postmodernistycznym wykładem na sympozjum uczelnianym, zagłosować za in vitro (za darmo nam mandatu posła nikt nie da, a stracić go łatwo), wyleczyć raka prostaty itd”. Bóg może poczekać, czyż nie jest On wieczny?

– **Czy naprawdę bezbożność to największe zło, które trapi dziś świat? Czy taka ocena nie jest nostalgią starego księdza, teologa, biskupa, papieża za światem, który minął, a on nie chce się zgodzić z tym, że świat się zmienia?**

– Mantra, że świat się zmienia jest, moim zdaniem, jednym z najbardziej oszukańczych sloganów, jakie dziś funkcjonują. Mantra często dziś stosowana także jako polityczna anatema przeciwko myśli konserwatywnej. Świat ma prawo się zmieniać oczywiście, a Benedykt XVI nie jest w żadnym wypadku restauratorem starego. Zmiana czy modernizacja (kolejne słowo wytrych! Ale modernizacja to wytrych wytrychów! „Zmodernizować ten kraj”, chce lewicowo-liberalna inteligencja polska od 200 albo i 300 lat – „tak się teraz wszędzie żyje”!) nie mogą być głównym koniem pociągowym naszej cywilizacji. Modernizacja może być albo dobra albo zła. Zmiana musi być podporządkowana Bogu, nie odwrotnie. To jest zasadnicza teza papieża. Dlatego źle dzieje się z naszym światem, że ten porządek rzeczy jest wywrócony. Mówią nam, że tylko marsz do przodu nazywany postępem jest etycznie dobry. Benedykt XVI powiada, że etycznie dobra jest tylko droga ku Bogu. Obojętnie czy ona idzie do przodu czy do tyłu, czy w bok. Są obszary, z których musimy zawrócić. Sięgnę po cytaty: „Ruch sam w sobie nie jest żadnym postępem. Równie dobrze może nas prowadzić prostą drogą ku przepaści. Warunkiem prawdziwego postępu jest nieustanne zapytywanie o jego miarę i cel”.

– **Często dziś słyszymy w różnych kontekstach, że przecież nie możemy wrócić do średniowiecza.**

– Ratzinger wspomina jak w latach 60. był na dyspucie w domu Ernsta Blocha. Pojawiło się pytanie, czemu właśnie teraz tak modne stały się narkotyki. Czy z powodu dostępu do krajów, gdzie się je uprawia? Wszyscy się zgodzili, że to zbyt prosta odpowiedź. No więc co? A może coś się zmieniło na złe w naszym świecie w stosunku do średniowiecza, że pojawiła się potrzeba narkotyków? Może wówczas nie istniała taka duchowa pustka, którą w chory sposób próbuje się zapełnić narkotykiem? Taką tezę postawił młody Ratzinger. Chcieli go tam ukrzyżować za tę bezczelną myśl, że w średniowieczu któraś z ludzkich potrzeb była lepiej zaspokajana niż dziś, po tylu wiekach postępu. Benedykt XVI powiada: trzeba myśleć o tym bez uprzedzeń, do pewnych „średniowiecznych” spraw wrócić. Modernizacja nie może być bogiem. Ta wizja u samych podstaw jest chybiona. Z Polską nie będzie dobrze, jeśli nie będzie chodziło o Boga i zespół tych wartości, które są przy Bogu, z Bogiem, w Bogu. Nie musimy być

Francuzami ani Niemcami, żeby być szczęśliwym, dostatnim narodem i państwem.

– **No, ale świat dziś jest pluralistyczny, wielokulturowy. W tym świecie żyją wierzący i niewierzący. Można mówić innym, że z nimi jest źle, bo oni nie wierzą? Czy to nie jest jakiś rodzaj impertynencji czy braku tolerancji?**

– Znacznie mniejszy niż u lekarza, który ci mówi, że np. musisz przestać jeść wieprzowinę, bo za 10 lat będziesz miał taki cholesterol, że to cię zabije. Ta rada płynie z jakiejś wiedzy, że tak się powinno żyć. To też jest rodzaj impertynencji. W każdej prawdziwej, nieszarlatańskiej wiedzy jest jakaś mądrość, która proponuje coś dobrego człowiekowi. Ludzie odpowiedzialni za życie duchowe tego świata mają święty obowiązek dawać przestrozę tym, dla których duchowy świat nie jest – z różnych powodów – priorytetem. Taka jest rola papieża, teologii... Tomku: pora na bardzo intymne wyznanie: ja bardzo kocham ten mój świat. Wszystko mi się strasznie podoba. Moja mama, czerwiec, Śląsk, Portugalia, piłka nożna mi się podoba. Ludzie, miasta, lasy, książki, Polska. I chciałbym, żeby z tym wszystkim było dobrze. A będzie dobrze, gdy ten świat będzie budowany ku Bogu, w stronę Boga, na Nim, a nie przeciwko czy obok Niego.

– **Czy nie brzmi to jak wezwanie do kruczaty przeciwko niewierzącym?**

– Rozumiem doskonale, że niewiara może mieć wiele skomplikowanych przyczyn. I nie nam sądzić – przyczyn i ludzi. Ale ateście czy agnostykowi, chciałbym zaproponować, by spokojnie posłuchał moich argumentów. Spróbujmy przejść razem jakąś drogę, szanujmy się, wytrzymajmy bez wrogości naszą inność. To jest bardzo pokojowa wizja. Mój głęboki szacunek dla Benedykta XVI płynie stąd, że jemu nie zależy na własnym samopoczuciu, ani na tym, co o nim będą mówili. Wiem, jakie to jest trudne, pracując w tej samej branży, że tak powiem. Wiem, co należałoby powiedzieć moim studentom, żeby mi klaskali zawsze, ale ja jestem odpowiedzialny za ich prawdziwe dobro. Ja je mogę niekoniecznie właściwie postrzegać (jestem tylko człowiekiem, nikim więcej), ale muszę być w swoim sumieniu czysty. Ja jestem służą ich dobra, a nie własnego samopoczucia czy image'u. Benedykt w tej dziedzinie jest, moim zdaniem, nieskazitelnym. Jemu zależy na dobru swoich siostr i braci, z którymi buduje ten świat. To jest dla mnie fenomenalne. Jestem na takim etapie życia, że umiem to docenić. Cokolwiek o tym ktokolwiek pomyśli: on się brzydzi pijarem i chodzeniem koło własnego pijaru...

rakterystyczną, że efektem sepsokultury jest przeogromny smutek. Jeśli w Szwajcarii poziom samobójstw osiągnął poziom samobójstw w Auschwitz, to gdzie my jesteśmy? Bezwzględna gonitwa korposzczurów prowadzi lawinowo do uzależnień i rozlewającej się frustracji. Ale obowiązkowe jest pozytywne myślenie o przyszłości, o postępie. Wszystko idzie ku lepszemu przecież – skąd w tle to morze krwi, klęska małżeństw, brutalność wśród dzieci, szarpanina egoizmów. Co jest grane w dzisiejszym teatrze? O czym to jest, ale proszę o odpowiedź bez bełkotu? Tak koszmarny jak dziś polski teatr nie był nigdy. Jakie książki są nagradzane? Co jest dominującą tonacją poezji? Skąd to jest? Ten smutek, ta fascynacja złem, ta demoniczna czern – nie wszędzie, jasne, ale jednak jako dominanta?

– **Jak pisał Miłosz „Wolno nam było odzywać się skrzykiem karłów i demonów, ale czyste i dostojne słowa były zakazane”.**

– Tak i teraz pomyśl o tym kontraście. Kiedy jako ksiądz siadasz do konfesjonału i spotykasz tam czystą radość człowieka, któremu przebaczone grzechy. Z czego on się tak cieszy? Anioł Gabriel przyszedł do Maryi w Nazaret i powiedział do niej „haire”, czyli „raduj się”. To jest olśniewające... Raduj się!!! Zaczynamy!!! To jest początek historii Jezusa, Ewangelii. O to teraz będzie chodziło w sprawie Jezusa, mówi Bóg – o radość. I bez przerwy na kartach Ewangelii, powtarzają się wezwania, żeby się nie lękać. Jak zaufacie Bogu, wszystko dobrze pójdzie. O nic innego nie chodzi, jak o szczęśliwe życie. Żeby, to moje życie się udało, szło ku dobremu, miało sens, przynosiło radość. Pełną i trwałą. Tego chce człowiek. Ta augustyńska nuta wciąż powraca u Benedykta XVI. Takie dobre, udane życie jest możliwe, jeżeli się przyłgnie do Boga. Klasyczne cnoty: wiara, nadzieja, miłość są jakby kośćcem. Ale to wszystko musi być oparte na cnotach długodystansowca: cierpliwości, wytrwałości, wymaganiu od siebie. W kwestii modlitwy papież nie koncentruje się specjalnie na formie. Owszem akcentuje konieczność adoracji, ale interesuje go przede wszystkim zajmowanie pozycji syna. Czyli chodzi o to, by Bogu przyznawać rację, powtarzać „bądź wola Twoja”. To jest królewska droga życia i ona jest dla wszystkich. Żyjąc tak, żyjemy jak królowie. Jesteśmy wolni, niepodlegli niczemu, ani własnym pożądlivościom, ani prezydentom, ani żadnym żywiołom tego świata. To bardzo pozytywna wizja życia.

– **W tej pozytywnej wizji ogromną rolę odgrywa sumienie. Dziś tak mocno akcentuje się autonomię sumienia, że właściwie staje się ono narzędziem**

samowoli. Benedykt XVI ma w tej kwestii odmienne zdanie.

– To ogromnie ważny temat, a chaosu w tej dziedzinie nie brakuje. Papież podkreśla konieczność konfrontowania swojego sumienia z obiektywną nauką Kościoła. To leczenie sumienia z niekontrolowanego subiektywizmu, jest absolutnie kluczowe. To jeden z centralnych odcinków frontu wielkiej toczącej się bitwy cywilizacyjnej. W tej kwestii Ratzinger miał odwagę powiedzieć wszystkim pewnym siebie mądradłom: „Nie widzieć prawdy jest winą. Człowiek nie widzi prawdy, gdy jej nie chce i ponieważ jej nie chce”. Na Śląsku wiemy, co to jest metanomierz i że od niego zależy życie górników. Zepsuty albo sztucznie podrasowany informuje, że powietrze w chodniku jest czyste. I w ten sposób dochodzi do niejednej tragedii. Dlatego konieczna jest wizyta komisji, która sprawdza czy te metanomierze działają. Urząd Nauczycielski Kościoła pełni taką rolę. Dba o to, by sumienie wyło, gdy zbliża się zło.

– **Pokusa, która atakuje Kościół, jest taka, że jak my trochę pomajstrujemy przy sumieniu, obniżymy wymagania, to zatrzymamy ludzi w Kościele. Przykład protestantów pokazuje, że to droga donikąd.**

– Dlatego trzeba „ocembrować źródło”, czyli dbać o to, żeby nie było zamulone. Żebyś miał pewność, że jak z niego pijesz, to się nie zatruwasz. Bo jak różnie ludzie przy tym pomajstrują, to będziesz myślał, że słuchasz sumienia, a pijesz truciznę. W sumieniu chodzi o słuchanie Boga, a nie o słuchanie siebie. Chodzi o prawdę, która jest większa ode mnie, którą odkrywam, która mnie ciągnie w górę. Sumienie nie może być na usługach mojej pożądlivości czy słabości.

– **Wielu myślących ludzi ma przekonanie, że z Europą dzieje się źle. Choć pewnie źródeł kryzysu dopatrują się gdzieś indziej niż papież. Jaka jest nadzieja dla Zachodu, według Benedykta XVI?**

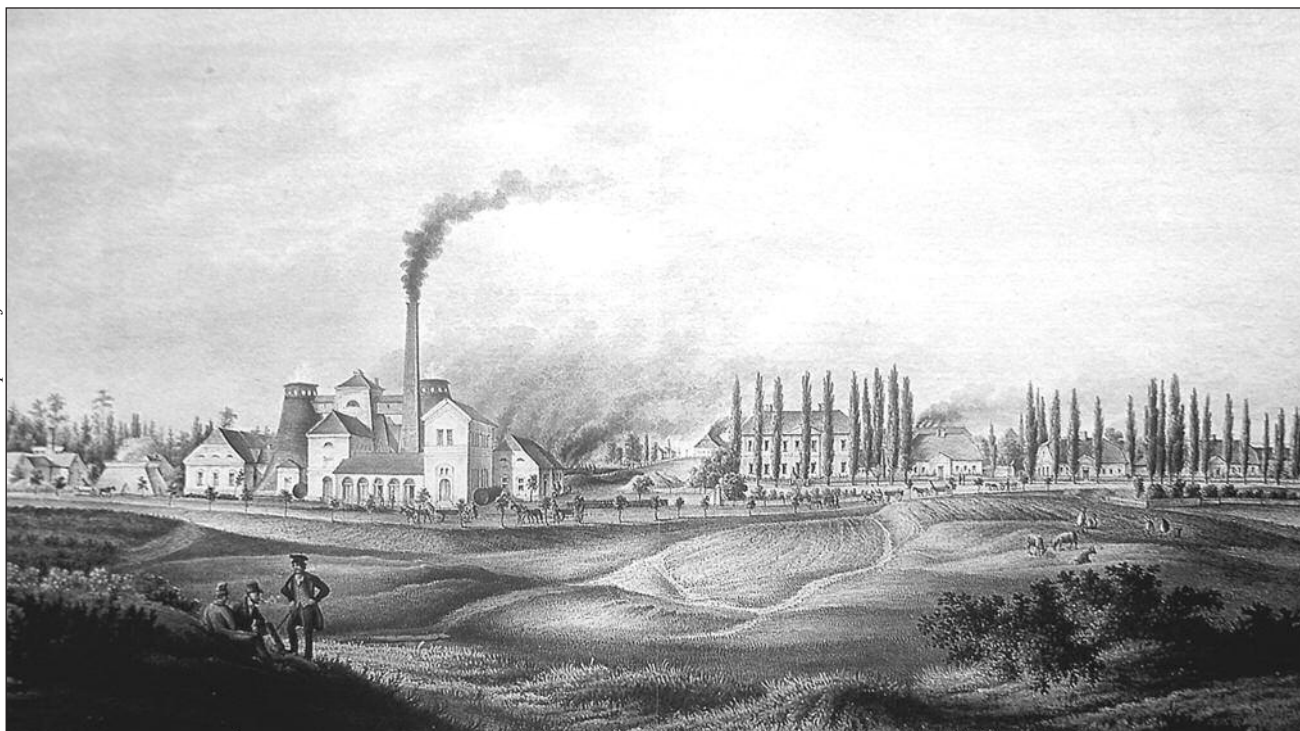
– Jego podstawowa myśl jest taka, że chrześcijaństwo, ze swoją wizją człowieka, ze swoją potężną nieutopijną nadzieją, z wytrwałą i wierną służbą wolności – jest konieczne dla w pełni ludzkiego świata. Jakakolwiek jego marginalizacja jest podcinaniem gałęzi, na której siedzi demokratyczna Europa XXI wieku. Kilka konkretnych wniosków. Po pierwsze: czymś koniecznym i wręcz konstytutywnym dla Europy jest wewnętrzne przyporządkowanie sobie demokracji i eunomii, czyli prawa niepodlegającego żadnej manipulacji (ideologicznej, dyktatorskiej, tyrańskiej, ochłokratycznej, nacjonalistycznej, rewolucyjnej etc. etc.). Po drugie: koniecznym i konstytutywnym warunkiem pierwszej tezy jest po-

szanowanie wartości moralnych i Boga. Czyli: wielka sprawa Boga nie może być bezwarunkowo spychana w sferę prywatną. Należy za to bezwarunkowo wyrzec się dogmatów: ateizmu (jako przesłanki dla prawa i kształtu państwa; konieczność wyrzeczenia się dogmatu ateizmu nie może mieć nic wspólnego z przymusem wiary), nacjonalizmu (Ratzinger zawsze ostro krytykuje nacjonalizm z postnazistowskiej perspektywy niemieckiej, ale nigdy nie występuje przeciwko patriotyzmowi), marksistowskiej światowej rewolucji, jak również wiary w nieuchronność postępu. Po trzecie: chodzi zawsze o prymat etyki nad polityką. Rozum moralny musi być ponad tym, czego chce większość. Po czwarte: z tego wszystkiego (z trzech pierwszych też) będzie się brała europejska konstytutywność uznania i obrony wolności sumienia, praw człowieka, wolności nauki, wolnej społeczności i solidarności ludzkiej. Po piąte i najważniejsze: „niezbędność myśli o Bogu dla etyki”. Czyli, raz jeszcze, jako korzeń i synteza wszystkiego: *żyć veluti si Deus daretur*... To jest słynna, mądra, Pascalska zasada: w razie wątpliwości, żyć jakby Bóg był dany (jakby był). Efekt (owoce) tego życia nas przekonają ostatecznie, pociągną do wiary.

Ks. Jerzy Szymik – ur. 1953 r. w Pszowie na Górnym Śląsku, kapłan Archidiecezji Katowickiej, teolog i poeta. Jest profesorem zwyczajnym nauk teologicznych, wykłada teologię dogmatyczną. W latach 1986-2008 związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie był m.in. kierownikiem Katedry Chrystologii. Od 2005 r. pracuje na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W latach 2004-2014 członek watykańskiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej. Od 1991 r. stały współpracownik „Gościa Niedzielnego”.

Autor przeszło 50 książek naukowych, poetyckich, eseistycznych. Ostatnio wydał m.in.: „Teologia na usługach wiary, bliższa życiu... w 30 lat później”, Lublin 2011; „Chodzi o Boga”, Katowice 2012; „Poezja i teologia”, t. I-II, Katowice 2009-2013; „Hilasterion”, Katowice 2014; „Teologia i my”, Katowice 2014. Promotor 21 doktoratów, 190 magisteriów. Specjalizuje się w chrystologii, metodologii teologii, teologii kultury, teologii J. Ratzingera/Benedykta XVI. Mieszka w Pszowie i Katowicach.

Ks. Tomasz Jaklewicz jest zastępcą redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego”.



Katowice, Huta Hohenlohe (Wielowiec)

Sielanka z przemysłem w tle

RYSZARD
BEDNARCZYK

Na litografiach Riedena i Knippla zakłady przemysłowe nie niszczą pól, łąk, lasów, nie zanieczyszczają stawów i powietrza. Harmonijnie wpasowane w sielski krajobraz przypominają pałace i starożytne budowle.

Na zwykłej gruntowej drodze pełnej dziur dwóch – odzianych z wiejska – woźniców poprawia uprzęż pary koni, ciągnących furę na drewnianych kołach. Widać, że przystanęli tylko na chwilę, w przeciwieństwie do trzech wędrowców odpoczywających na porośniętym trawą wale ciągnącym się wzdłuż polnego szlaku. Przed słońcem chroni ich cień rzucany przez dwie przydrożne brzozy.

Wokół rozciągają się łąki, pola ze stogami. Na pastwisku w oddali stoi koń zaprzęgnięty do wozu wyładowanego sianem, wokół którego pracownicy uwijają się wieśniacy z grabiami. Dopiero na horyzoncie widać zabudowania miejskie. Kamienice i uliczki, kościoły, ale i wyróżniające się ogromem i bielą murów zakłady przemysłowe z dymiącymi kominami. Smog jeszcze nie przesłania błękitnego nieba i białych chmur. Tak wyglądały w połowie XIX wieku Gliwice widziane od strony dworca kolejowego, utrwalone

na litografii przez Carla Riedena i Ernesta Wilhelma Knippla.

To zaledwie jedna z 67 litografii udostępnionych do oglądania publiczności w gliwickiej Willi Caro na wystawie „Pejzaż śląski w grafice i rysunku Ernesta Wilhelma Knippla i Carla Riedena w zbiorach Muzeum w Gliwicach”. Ekspozowane grafiki wybrane zostały z bogatego zbioru 105 dzieł artystów, gromadzonych w gliwickim Muzeum od prawie stu lat. Pierwszych 16 grafik ówczesne niemieckie Górnośląskie Muzeum w Gliwicach zakupiło w 1909 roku – już po śmierci obydwu twórców – od Wilhelma Millera, który był wtedy właścicielem wydawnictwa Riedena i Knippla. Były to czarno-białe oraz barwne widoki obiektów przemysłowych m.in. w Gliwicach, Katowicach i Królewskiej Hucie wykonane w latach 40. i 50. XIX wieku. Jako pierwsza, wykaz dzieł litografów sporządziła Anna Kwiecień, pracownica gliwickiego Muzeum, która zadbała też o ich wyeksponowanie.

Z inicjatywy muzealników powstał nawet w 2009 roku film dokumentalny „Śląski Canaletto” w reżyserii Wiesława Głowacza. Poza gotowymi dziełami grafików w zbiorze znalazły się także ich szkice i niedokończone notatki rysunkowe.

Od górskich widoczków do przemysłowych panoram

Z dwójki grafików, których dzieła wystawiane były na przełomie czerwca i lipca bieżącego roku w Willi Caro, za zdolniejszego, ale i skromniejszego, przez znawców uważany był urodzony w 1802 roku w Kowarach Carl Rieden. Naukę litografii pobierał u znanego w Kowarach miedziorytnika Fryderyka Tittla. W latach 1817–1822 pracował w wydawnictwie Carla Mattisa, autora przewodników po Karkonoszach, masona i burmistrza Kowar. Miał nawet zostać, do spółki z synem Mattisa, szefem wydawnictwa „Mattis et Comp” w Kamiennej Górze, lecz nie doszło to do skutku. Po śmierci w 1835 r. pierwszej żony Amalii Henrietty i dziecka ożenił się powtórnie pod koniec lat 40. XIX wieku. Z drugiego małżeństwa miał 3 córki. Na dobre jego kariera rozkręciła się, gdy w 1840 r. założył wspólnie z Ernestem Wilhelmem Knippem wydawnictwo.

Jego młodszy wspólnik, urodzony w 1811 r. w Ściegnach koło Karpacza, był synem piekarza. Do Kowar przyprzewodził się w 1827 r. wraz ze starszym o 20 lat bratem Carlem Gottfriedem, który po śmierci ojca sprawował nad nim opiekę. Do 1832 r. kształcił się Knippel – podobnie jak jego partner – u Fryderyka Tittla. Dzięki ślubowi w 1839 r. z majątną wdową Augustą Heidrich z domu Tschirunhaus mógł przejąć od Tittla wydawnictwo i pro-

wadzić je do spółki z Carlem Riedenem. Od tej pory aż do śmierci Riedena w 1858 r. wspólnie sygnowali swoje dzieła. W wydawnictwie Rieden & Knippel tradycyjne malunki akwafortą zastąpili litografiami, bo łatwiej na nich było nanosić korekty zgodnie z życzeniami klientów. Graficy prowadzili bowiem wspólnie firmę, w której otrzymywali zlecenia na wykonanie litografii. Początkowo trudnili się tworzeniem widoków gór dla turystów zwiedzających Karkonosze i wędrujących na Snieżkę. Z robienia pamiątkowych widoczków żyli również pozostali artyści w Kowarach. W tym miasteczku liczącym 3,5 tysiąca mieszkańców egzystowało 12 grafików i działały 2 wydawnictwa. Nic więc dziwnego, że zaczęło się mówić o szkole kowarskiej.

W latach 40. XIX w. pruski rząd złożył w spółce Riedena i Knippela szereg zamówień na litografie zakładów przemysłowych. Również przedsiębiorcy zainteresowani byli graficznym dokumentowaniem własnych fabryk, hut i kopalń. Dzięki zaproszeniu artystów przez hrabiego Hohenlohego, właściciela wielu zakładów przemysłowych na Górnym Śląsku, do jego siedziby w Sławęcicach Rieden i Knippel – oprócz 13 litografii hrabiowskiego pałacu i parku angielskiego – od 1840 r. zaczęli tworzyć przemysłowe pejzaże. Do 1855 r. wykonali około 80 industrialnych panoram. W Gliwicach upodabali sobie szczególnie Królewską Odlewnię Żelaza zaprojektowaną przez Johanna Friedricha Weddinga. Przedstawili też centrum ówczesnej wsi Katowice oraz Królewskiej Huty.

Najbardziej twórcza spółka

Chociaż okres wspólnej działalności w graficzno-wydawniczej spółce był najbardziej twórczy w życiu grafików, sporny stał się ich udział we wspólnych dziełach. Z analizy poczynionej przez Jolantę Wnuk, pracownicę gliwickiego Muzeum, większy wpływ na kształt litografii miał Ernest Knippel. To on decydował „o najważniejszych walorach dzieła i jego podstawowych właściwościach, czyli umiejętnej stylizacji, dekoracyjności, podkreśleniu dążenia do barwnej miniaturyzacji i rodzajowości” – twierdzi Jolanta

Wnuk. Na podstawie zachowanych rysunków, szkicowych notatek, starszy Carl Rieden, dzięki większej znajomości technik malarskich pomagał jedynie przy opracowaniu szczegółów i ich uzupełnianiu.

Jedną z nowatorskich metod litograficznych Knippela i Riedena były tzw. czarne rysunki, ukazujące widok zakładu przemysłowego nocą. Efekt ciemności uzyskiwali artyści poprzez odbicie czarnego rysunku na ciemnoniebieskim papierze. Natomiast refleksy świetlne z pieców hutniczych lub słoneczną poświatę poprzez podmalowanie czerwoną farbą. Duże grafiki o rozmiarach 30 cm na 40 cm kolorowane ręcznie kosztowały niemało, nawet 9 talarów, czyli tyle ile zarabiał górnik przez cały miesiąc. Mniejsze litografie sprzedawali za 4 do 6 talarów. Malutkie czarno-białe można było kupić za 1 talara.

Po śmierci współnika, gdy Knippel prowadził firmę samodzielnie, sprzedawał małe czarno-białe litografie w formie pocztówek, nie oznaczając ich nawet sygnaturami. Kiedy w latach 70. XIX stulecia konkurencją dla grafik tworzyły pocztówkowe fotografie, artysta projektował wzory dla fabryki dywanów. Pod koniec życia w 1881 i 1882 roku Knippel odszedł od przemysłowych panoram i stworzył cykl grafik „Widoki ze Snieżki na cztery strony świata”, w których uwiecznił topografię gór. W 1900 r. po śmierci Ernesta Knippela wydawnictwo przez osiem lat prowadził jego syn Louis. Później przejął firmę Wilhelm Miller i jeszcze w 1913 r. reklamował i zachęcał do kupna litografii Riedena i Knippela z lat 1840–1870. Ich prace wyprzedawał nawet po zamknięciu w 1920 roku wydawnictwa.

Najwybitniejszy z grupy kowarskiej

Chociaż Ernest Knippel przejął wiedzę i warsztat graficzny od swojego nauczyciela Friedricha Augusta Tittla, często wykorzystywał także zacierpnięty z dzieł rektora szkoły kowarskiej oraz Carla Matisa motyw malowniczego drzewa z konarami powyginanymi przez wiatr, czy też element szpaleru smukłych drzew, to jego prace a nie poprzed-

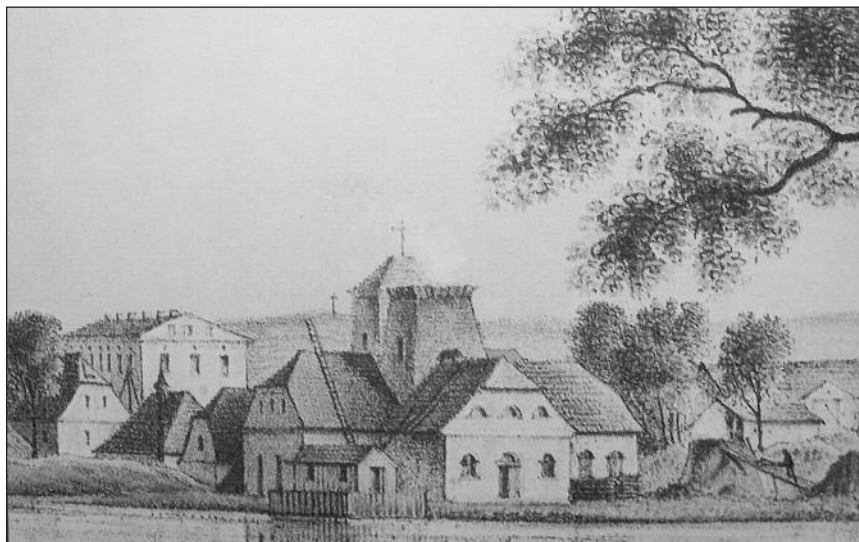
ników z grupy kowarskiej stały się bardziej znane i zyskały ponadczasowe znaczenie. Stało się to dzięki nowej tematyce jego litografii, ukazujących fabryki, nowoczesne mosty, zapory wodne, dworce kolejowe. Oryginalne było przedstawianie hut upodobianych do arystokratycznych rezydencji i pałaców oraz antycznych budowli.

Jako najbardziej reprezentatywny i najwybitniejszy reprezentant szkoły kowarskiej Ernest Wilhelm Knippel szybko uznany został za prekursora przedstawień śląskiego pejzażu industrialnego. W swoich litografiach i rysunkach stworzył malowniczą opowieść o regionie z połowy XIX stulecia. Śląsk przedstawiony był przez artystę jako symbioza świata przyrody i techniki, jako teren z rozwijającym się przemysłem, ale równocześnie z rozległymi polami, łąkami, lasami oraz licznymi wiejskimi drogami czy ścieżkami gubiącymi się w nastrojowych zakątkach.

Śląska rzeczywistość w obrazach Knippela staje się „pracowitą idyllą”. Miejscem bliskim, a zarazem magicznym, z którego można być dumnym – pisze Jolanta Wnuk, kuratorka tegorocznej wystawy w Willi Caro.

Obok głównej pasji grafika, którą była architektura wtopiona w pejzaż natury i wiejski krajobraz, sporo uwagi poświęcił też dokładnemu odwzorowaniu ludzi z różnych sfer społecznych; ze wsi, z miasta. Stworzył zarówno typy postaci z ludu jak i wyższych sfer; kobiet, mężczyzn, dzieci. Poprzez ukazanie różnorodności ich ubiorów dokonał ciekawego studium epoki. W ubogich miastach panoramie skromnych budynków towarzyszyli ludzie w znoszonym odzieniu z prostych tkanin. Poprzez taki realizm połączony z dekoracyjnością Knippel wyrósł na apologetę „stanu trzeciego” oraz piewę stylu życia i rozrywek chłopstwa. Zarówno mieszczan, skromnych wieśniaków czy bogatych przemysłowców potraktował w swoich litografiach jako równorzędne postaci. Nie tworzył hierarchii. Wiązało się to ze skrzętnym omijaniem scen ludzkich nieszczeń, kontrowersji czy nieprzyjemnych zdarzeń, mimo że XIX stulecie pełne było społecznych rewolucji – Wiosny Ludów, Komuny Paryskiej – strajków rodzącego się wielkoprzemysłowego proletariatu i niekiedy krwawych demonstracji. Na ogół jego dzieła to sielanki z przemysłem w tle. Dzięki swoim cierpliwym obserwacjom pozostawił Knippel przyszłemu pokoleniu sentymentalną ikonografię śląskiego pejzażu.

Dla zwiedzających wystawę w gliwickiej Willi Caro organizatorzy przygotowali także niespodziankę. Do każdego biletu wstępu dodawali bezpłatnie po jednej reprodukcji litografii. Za symboliczną złotówkę można było także kupić dodatkowo reprodukcję wybranej grafiki i po oprawieniu w ramki – zgodnie z intencją autorów – powiesić w mieszkaniu na ścianie. Dodatkową atrakcją była możliwość nabycia kopii litografii o wymiarach zgodnych z oryginałami, wykonanych przez współczesną plastyczkę Małgorzatę Leszczewską-Włodarską. Technika akwaforty i miękkiego werniksu artystka wykonywała czarno-białe wersje grafik. Wersje barwne kolorowała akwarelami.



Kuźnica Bogucka

HENRYK CIERNIAK

Wydmuszka

w pajęczej przedzy zapachu
skoszonych trawników
ogrody twojego ciała rozpoznaję
i moje ciało obiecuje że nigdy
nie wyprowadzi się stąd
ode mnie

a ja czuję jak odchodzi
tak karząc za brudną grę
w jaką je wciągnąłem
i wiem że będzie brakować mu
pachnącej wilgoci ogrodów

i w liniach dłoni widzę Saturna
jak pnie się na wzgórek Wenus,
i w ucieczce przede mną i
rozbawionym światem
ciało zawiesza się na białozłotym sznurze
rozpiętym wśród kopców obłoków,

i coraz mniej moje jest
kiedy zamyka się dla zapachów

wydmuszka

Kemping

Beczulce

nasz obóz rozbiliśmy na kempingu pod skalami
tutaj żyje się jakby wszystko trwało wiecznie
widok nagich skał w poszyciu nocy
już nie niepokoi negliżu moich źrenic
od kiedy ona oniryczną moją jest beczulką
z zapachów i ze smaków

jej każde danie zjadam bardzo chętnie
wypijam dziurawiec rumianek i miętę
w naczyniach miesza się upalna
treść naszych ciał wątków
treściwie poci się pod nami trawa
strawa roślinożernych naszych sąsiadów

rano proponuję jej zabawę lusterkami
wysyłamy do siebie pokojową
korespondencję zajączków
nawet nie domyślając się że
żywioty wkrótce zabawią się nami
wrzucając skalne nam okruchy
do porannego talerza owsianki

Letnie zaprawy

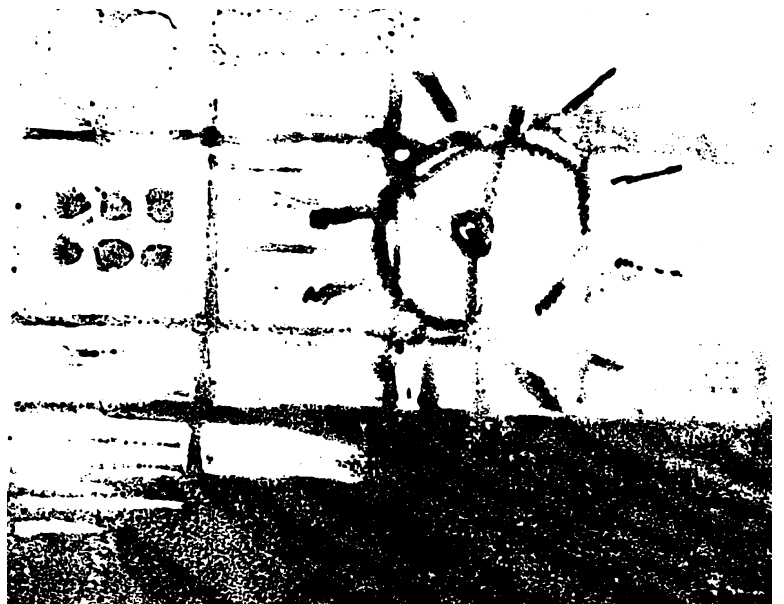
latem od rana uwijam się w lipcowej kuchni
najlepiej jest wstać trochę wcześniej
gdy nie jest jeszcze zbyt gorąco
a w powietrzu prawie nie ma much ani os
przecież nie można dać zmarnować się
długim dniom krótkiego lata
tak jak nie wolno zaprzepaścić pełni
naszych umysłów i dojrzałych ciał

zbiegam po schodach do piwnicy
gdzie wszystko ma zapach pleśni
i wynoszę na słońce puste słoje i butelki
otwieram wyciągam odkręcam
wieczka korki nakrętki
o i sam nakręcam się przy tej robocie

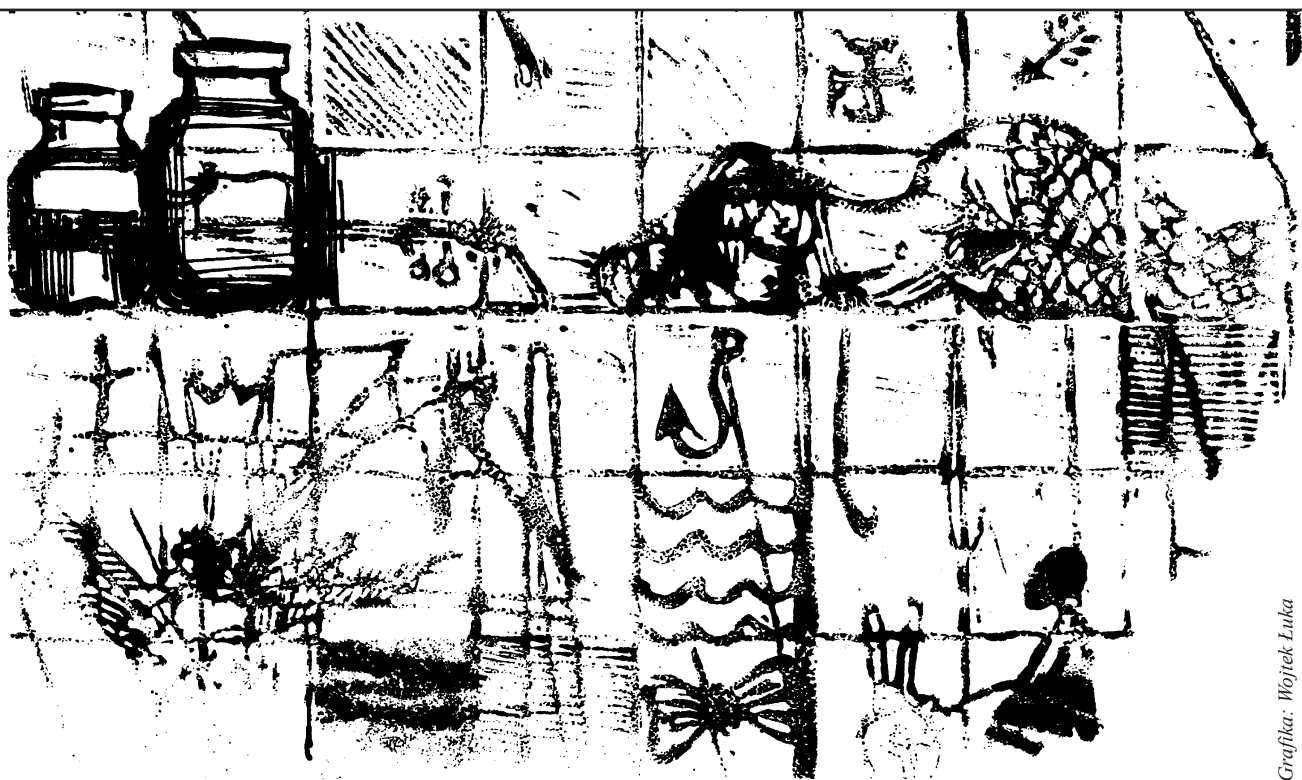
i nie chowam się przed słońcem
gdy dzień jest gorący
choć przez słońce tyle plam
mam na skórze dobrze
że towarzyszysz mi nieczuła gwiazdo
napelnij wszystko we mnie swym oddechem

jako i ja dokładam wszelkich starań
robiąc letnie zaprawy na chłodne dni
schylam się nad naczyniami
wrzucając do nich ptasią egzaltację
białe dzień dobry brzóz płochą ufność
saren skubiących młode pędy
w wysokich trawach za ogrodzeniem
oraz śmiertelną grę muchy i pająka

a na szkło naklejam swój szczyry
obciachowy zachwyty



Grafika: Wojtek Łuka



Grafika: Wojtek Łuka

Lato 2014

wyprawka lata --
spienione kufle obłoków
w palcach brodatych aniołów
sztorcem na kontuarze nieba
w fartuchach aniołów
lęgną się burze

z chmur na park zrzucony
warkocz ścieżek rozplata się
wśród podbiału i pokrzyw
by owinąć się wokół bramy ogrodu

burzy nie będzie

w ogrodzie pachnie
tytoń i maciejka
od pi-pi odstraszcza kretów
ucieka ta sama
inna co lata dziewczanna

przez poręcz balkonu
wykręca szyję, żółte uszy
nastawia na muzykę
która zamieszkała
w naszym domu --

jest gdzie indziej

burzy nie będzie

Formy

wreszcie rybą
to stało się nagle
w ciągu jednego dnia
jakby wbrew życiu
czujesz to nie był proces

dziwne tak udało się dostroić
puzzle ciała z falami rzeki
bity trakt rytm miedz i węże ścieżek
zmienić w łagodny takt tętna rzeki

wszedłem do wody
chciałem iść po dnie
nagle w miejscu nóg
pojawily się rybie płetwy

dotąd nie miałem
dość czasu
żeby myśleć
o przemianach form
teraz wierzę że również tamto
zdarzyło się
byłem ptakiem
leciałem do gwiazd
bardzo się bałem

teraz płynę z gibkim wdziękiem
wśród innych ryb żab i wodnych roślin

na brzegu wędkarz

Śliwki

z rzeczy powabnych:
dojrzałość śliwkowych
brzuszków pod wargami
pęknięcie nakłutej skórki
łatwość miąższu, cieknąca
dostatność, chlupot
śliwkowej topieli

z rzeczy dobrych:
napełnianie kubków
smaku, żeby utopić się
wtopić i stopić się
w śliwkowych ustach

wśród rzeczy pięknych:
jest renklodowa rozpusta

mamo,
chcę tę śliwkę,

razem z pestką

HENRYK CIERNIAK

Z EWĄ NIEWIADOMSKĄ,
współautorką albumu *Dotknąć Muzyki*
rozmawia MAREK LYSZCZYNA



Fot. Bartek Barczyk

Niezwykły Dziennik budowy

– Album *Dotknąć Muzyki*, którego jest pani współautorką, zabiera nas w podróż po historii budowy nowej siedziby Narodowej Orkiestry Polskiej Radia. Jaka była historia powstania tej książki?

– Dla mnie fascynująca. Pisaliśmy ją w gronie osób, dla których architektura i muzyka są bardzo ważne. Na wielkim ekranie oglądaliśmy kolejne strony książki. Przejrzeliśmy też razem kilka tysięcy zdjęć znakomitego fotografa Bartka Barczyka, które robił na budowie i w gotowym już budynku. Profesor Marian Oslisło i Katarzyna Wolny proponowali nam różne graficzne rozwiązania. Często dyskutowaliśmy nad nimi przez wiele godzin. Redaktorzy książki Tomasz Malkowski i Marcin Szczelina, ściągali teksty od krytyków architektury i innych autorów. W książce znajdziemy wiele świetnych nazwisk, to przecież: Joseph Rykwert, Aaron Betzky, Ewa P. Porębska, Aleksander Liebreich, Szczepan Twardoch, Mieczysław Juda. Każda z tych osób zaproponowała swoje spojrzenie na miasto i to miejsce, które ma wielki wpływ na kulturę muzyczną Śląska. Architekt NOSPR Tomasz Konior podzielił się z czytelnikami swoim widzeniem procesu jego po-

wstawania, w książce znalazły się też jego szkice i zdjęcia. Tak skomplikowany budynek wymagał niezwykle wysiłku od zespołu architektów. Technologie i materiały, które zostały w nim wykorzystane sprowadzane były niemal z całego świata. Warto się wczytać w naszej książce w opis tej pracy i zrozumieć, jak ona wyglądała od najmniejszego drobiazgu, po technologie użyte w wielkiej sali koncertowej. *Dotknąć muzyki* to rodzaj dziennika budowy.

Myślę, że ten album zrodził się też z innego rodzaju emocji. Czytelnicy znajdą w nim historyczne dla miasta świadectwa czasu, związane z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia, w tym spisane archiwalnie ze zbiorów Polskiego Radia Katowice, w którym pracuję. To przecież właśnie w naszej rozgłośni orkiestra, założona przed wojną w Warszawie, odradzała się po 1945 roku. Naszymi korytarzami chodził Grzegorz Fitelberg założyciel orkiestry. Warszawa była zburzona, a w Katowicach funkcjonowała radiowa sala koncertowa. Muzycy z różnych stron zaczęli tutaj przyjeżdżać i tworzyć z ogromną pasją coraz większy zespół. Pracowali w trudnych warunkach, po wojnie nie było nawet co

jeść, nie było gdzie spać. W budynku Polskiego Radia była szwalnia niemieckich mundurów, na których muzycy spali. Przetrwali, chyba dzięki miłości do muzyki. W książce są też zdjęcia z kolejnych, zawsze tymczasowych siedzib orkiestry, włącznie z ostatnią, czyli *december palast*.

Wiele osób na Śląsku i nie tylko zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, jak ważne było stworzenie odpowiedniego miejsca dla tego znakomitego zespołu. Świat kultury w Polsce bardzo się zmienia. Dzisiaj chcemy nie tylko obcować ze sztuką, ale też robić to w przyjemnych warunkach. Kultura, szczególnie wysoka, potrzebuje szlachetnej oprawy. Gdyby nie powstała siedziba NOSPR, nie odnowiono Filharmonii Śląskiej i nie wybudowano nowego Muzeum Śląskiego, Katowice mogłyby pogrążyć się w niebezpiecznym regresie. Coraz trudniej byłoby przyciągać na Śląsk gości z zewnątrz jak i znakomitych artystów. W sumie jednak najważniejsze pozostaje dla mnie ostatnie zdanie z zamieszczonego w książce wywiadu z Joanną Wnuk-Nazarową, dyrektor naczelną NOSPR: *Wreszcie jesteśmy u siebie*.

– W książce możemy przeczytać słowa Wojciecha Kilara przytoczone przez prezydenta Piotra Uszoka, że wystarczy mieszkać w Katowicach, aby stworzyć taką muzykę. Myśli pani, że teraz ten efekt będzie jeszcze silniejszy? Nowa sala, cała *Strefa kultury*, da impuls nowym działaniom artystycznym?

– W książce przywołaliśmy głosy Krzysztofa Pendereckiego, Eugeniusza Knapika, Wojciecha Kilara i Henryka Mikołaja Góreckiego. Dwóch ostatnich, przez większość życia związanych z Katowicami, niedawno pożegnaliśmy. Orkiestra ma swój nowy adres – plac Wojciecha Kilara 1. Obaj kompozytorzy są również obecni w repertuarze. Ich nazwiska zaczęły się bardziej kojarzyć z Katowicami. Jestem entuzjastką mądrego przechowywania pamięci po nich. Tworzyli przecież duchowość miejsca, w którym żyjemy. Podobnie jak uczelnie artystyczne. Myślę, że np. dla Akademii Muzycznej w Katowicach nowa siedziba NOSPR ma wielkie znaczenie. W poszukiwaniu naprawdę wyjątkowych przeżyć artystycznych profesorowie i studenci nie muszą już tak często wyjeżdżać z Katowic.

Czy będzie to impuls do nowych działań? Będzie, w salach koncertowych NOSPR, wielkiej i kameralnej, świetnie brzmi muzyka klasyczna, ale pojawiają się też odważne eksperymenty. Klasyka łączy się z jazzem, bluesem, hip hopem. W przypadku Miousha i Jimka zakończyło się to wielkim sukcesem. Dziś takie spektakularne, czasem ryzykowne wydarzenia są Katowicom bardzo potrzebne.

– Wracając do klasyki, myśli pani, że Katowice mogą znaleźć dla Henryka Mikołaja Góreckiego i Wojciecha Ki-

lara takie miejsce, jakie Mozart ma w Salzburgu czy Wiedniu?

– Nie wiem czy stać nas na taki rozmach. Służacy są dość skromni z natury, nie bardzo lubią się chwalić. W wielu zjawiskach widzą jakąś przesadę, czasem słusznie, a czasem nie. Liczę, że to się będzie zmieniać w mądry sposób, bo widzę tu nieograniczone możliwości. Wiele się udaje. Płyta *Kilar/Moś/AUKSO* dostała przecież niedawno Fryderyka. Orkiestra AUKSO nagrała utwory Henryka Mikołaja Góreckiego. Powstają też inne wspaniałe płyty.

Mamy również wielu doskonałych projektantów, po katowickiej Akademii Sztuk Pięknych. Robią kariery w Polsce i na świecie. Projektują piękne książki i najróżniejsze zaskakujące w formie przedmioty. A gdyby zaproponować im taki temat: kompozytorzy: Górecki, Kilar? Cieszę się na samą myśl o tym, co mogłoby powstać...

– **Pozwolę sobie jeszcze wrócić do tej lokalności. Nowa sala NOSPR mogłaby stanąć w każdej nowoczesnej metropolii, ale niektórzy uważają, że w tym splocie muzyki i architektury jest jeszcze jakieś śląskie *genius loci*. Uważa tak na przykład Szczepan Twardoch, którego esej wieńczy *Dotknąć muzyki*.**

– Na ten temat było bardzo wiele różnych opinii. Aleksander Liebreich, dyrektor artystyczny NOSRP, mówił mi, że widział wiele sal, o spektakularnych rozwiązaniach architektonicznych, które świeciły pustkami. Dlatego zależało mu, żeby ten budynek był zakorzeniony w ziemi, na której powstał. Tak mówił też Tomasz Konior, z którym nagrywałam audycję *Zbudowani z dźwięków*, zanim jeszcze powstała nasza książka. Space-rowaliśmy wówczas po Nikiszowcu, obserwując piękny i bardzo normalny zarazem świat, którego elementy przeniósł później do swojej budowli. *Genius loci*, duch.... Wie pan, myślę, że to jest bardzo skomplikowana sprawa. Wszystko można zaprojektować, wyliczyć, narysować, a potem zbudować, ale tej

jednej rzeczy nie można być chyba nigdy pewnym. To trochę tak, jak ze szczęściem w życiu. Czasem ktoś na nie naprawdę zasługuje, a go nie ma, ktoś walczy o nie, a mu się nie udaje. W przypadku budynków, które mają przyciągać ludzi, do samego końca nie wiadomo jak będzie. Jeśli chodzi o NOSPR udało się bez dwóch zdań. Myślę, że w dużej mierze wynika to również z faktu, że Tomasz Konior jest bardzo wnikliwym obserwatorem miejskiego życia. Dużo uwagi poświęca ludzkim zachowaniom, w każdym miejscu, które odwiedza. Interesuje go: gdzie ludzie lubią się spotykać, jak długo przebywają w różnych miejscach, a nawet które stoliki w kawiarniach zajmują jako pierwsze, czy jak skracają sobie drogę z jednego punktu do drugiego. Czasem te wybory są zaskakujące. Wydawałoby się, że jeśli „wyszukuje” się starannie jakieś miejsce to wszyscy na pewno się tam zbiegną, tymczasem nie zawsze tak jest. Okazuje się na przykład, że ludzie wolą coś skromniejszego, jakiś dziwny zaułek, stare, zaniedbane miasto od nowego, jakis placyk, na którym nie ma nic oprócz wielkiego drzewa, od takiego, gdzie przygotowano dla nich różne atrakcje.

– **Krytyk Aaron Betsky, który napisał w swoim esaju, że Katowice zamiast nowoczesnej dzielnicy finansowej w centrum miasta stworzyły egalitarną, otwartą strefę, w której każdy się dobrze czuje.**

– Były oczywiście różne koncepcje zagospodarowania tej i innych przestrzeni. Niektórzy sądzili na przykład, że tego rodzaju budynki powinny stanąć bliżej centrum. Zastanawiano się czy warto wydzielać taką strefę kultury, czy nie byłoby lepiej, gdyby nowa sala stanęła przy alei Korfantego. Kto wie... Dziś nie warto już się nad tym zastanawiać, bo budynki po prostu stoją, co nie znaczy, że nie należy pracować nad ulepszeniem tego miejsca. Na pewno ludzie znaleźli drogę do *Strefy Kultury*. W NOSPR zostają długo po koncertach. Wielokrotnie wi-

działam jak panie szatniarki proszą o numerki gości restauracji, żeby odnieść im płaszcz, bo już po północy, a oni wcale nie wybierają się do domu. Takiego życia bardzo Katowicom do niedawna brakowało. Bołączką miasta było to, że zśliśmy na imprezę kulturalną, po czym natychmiast rozchodziliśmy się na autobus, tramwaj, wsiedaliśmy do samochodów i jechaliśmy do domu. Teraz jest coraz więcej powodów, by do domu tak szybko nie wracać.

– **Pomówmy też o głosach krytycznych. W pani wywiadzie z Joanną Wnuk-Nazarową pojawia się określenie, że wytwarza się modny snobizm na NOSPR. Obserwując melomanów palących elektroniczne papierosy na sali, klaszczących w trakcie utworów tudzież parkujących, gdzie bądź swoje samochody nie wiem czy to do końca pozytywny snobizm.**

– Z papierosem elektronicznym się nie spotkałam, a to, że klaszczą między częściami utworu jakoś szczególnie mi nie przeszkadza. To w końcu wyraz pozytywnych emocji. Zresztą nie wiemy nigdy jaką drogą ludzie zmierzają w stronę świata sztuki. Dla jednych będzie to rodzinna tradycja, dla innych ciekawość nowego miejsca, czasem przypadek. Mam nadzieję, że po wielkim show Jimka, jakaś grupa miłośników rapu wróci tu, żeby posłuchać klasyki. Może to będzie dziesięć osób, może dwadzieścia, może więcej, ale to naprawdę wartość. Mają do wyboru ogromny repertuar, od przebojów muzyki klasycznej po trudniejsze w odbiorze kompozycje.

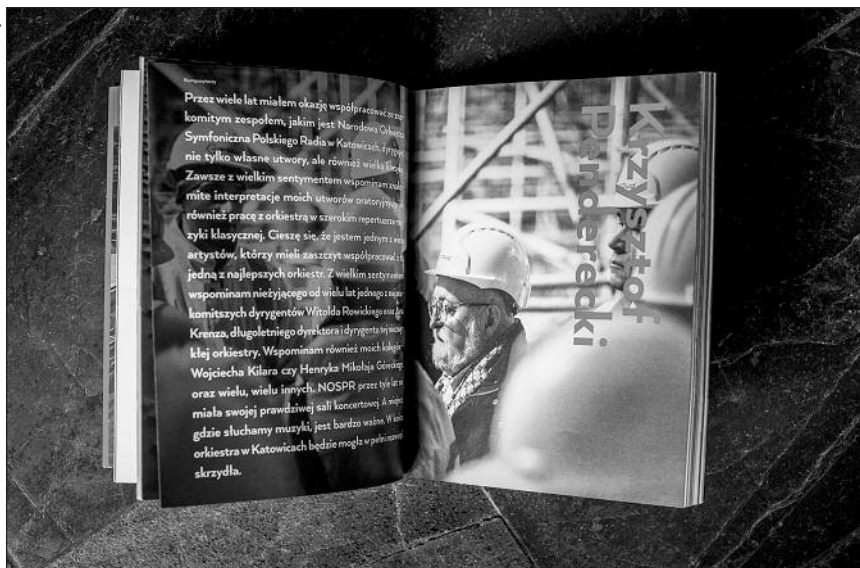
Trzeba jednak pamiętać, że największą grupę gości NOSPR stanowią wierni melomani, którzy przenieśli się do nowej sali z *deceber palast*, starannie wyszukując dla siebie miejsca na nowej widowni i wykupując abonamenty. Dziś cieszą się tą salą. To ludzie, którzy dobrze znają „muzyczną etykietę” i myślę, że zaszczepią ją innym.

– **Na spotkaniu promocyjnym o książce dowiedzieliśmy się, że półki co nie trafi ona do otwartej sprzedaży.**

– Na razie trafiła w ręce wielu melomanów i ludzi związanych ze światem kultury w całej Polsce. Bardzo bym chciała, podobnie jak wszyscy autorzy tej książki i władze miasta, które są jej mecenasem, żeby teraz trafiła do szerszego grona. Myślę, że prędzej czy później tak się stanie. Wbrew pozorom wydanie takiej książki jest procesem skomplikowanym. Myślę, że teraz potrzeba trochę czasu.

– **Katowice starały się o tytuł ESK 2016. Przegrały, ale patrząc na *Strefę Kultury*, myślę, że tak naprawdę taką stolicą się stajemy.**

– W każdym konkursie ktoś wygrywa, a ktoś inny nie zdobywa tytułu, ale o przegranej absolutnie nie może być mowy. Pracowałam w Radzie Programowej ESK i pamiętam dokładnie cały pro-



Energetyczne spotkania

ces przygotowywania naszego wniosku, który trzeba było złożyć w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wiele rzeczy oparliśmy wtedy na obietnicach, bo nie było jeszcze *Strefy Kultury*. Kiedy spotykaliśmy się w Rondzie Sztuki, patrzyliśmy przez oszklone ściany na ten pusty teren, przyznając mieliśmy wątpliwości, czy to się uda. Ale cóż na Śląsku obietnic dotrzymujemy. Obiekty zostały wybudowane – NOSPR, Muzeum Śląskie, Centrum Kongresowe. Katowice mogłyby być Europejską Stolicą Kultury w przyszłym roku.

Wydaje mi się, że to jest dobry czas dla miasta. Nie jest jeszcze doskonałe, ale może dzięki temu, paradoksalnie jest ciekawsze od tych całkiem już gotowych? Ciągłe pojawiają się tu nowe tematy dla dziennikarza zajmującego się kulturą.

– Słowem, jako kierownik redakcji kultury Polskiego Radia Katowice trafiła pani na świetny moment w historii...

– Nie mogłabym sobie wyobrazić lepszego. To jest czas historyczny. NOSPR, Muzeum Śląskie nigdy dotąd nie miały siedzib z prawdziwego zdarzenia. Niebawem Wydział Radia i Telewizji UŚ, szkoła filmowa, z której wychodzą fantastyczni reżyserzy i operatorzy przeniesie się do nowego budynku. A my możemy o tym wszystkim opowiadać w radiu, co spotyka się z wielką przychylnością naszych szefów – Henryka Grzonki i Anny Sekudewicz. Czuję jakiś rodzaj odpowiedzialności za to czy wszystko się uda, czy ludzie polubią te miejsca. Kiedy widzę, że sale są pełne, to mam po prostu satysfakcję. Przez dwa i pół roku zajmowałam się NOSPR, nagrywałam audycje, współtworzyłam książkę, odpierałam też zarzuty sceptyków, którzy pytali kto taki obiekt utrzyma, ogrzeje, oświetli, w końcu kto zapełni tak wielką salę. Pod koniec pierwszego sezonu NOSPR w nowej siedzibie, na koncercie Nigela Kennedy'ego, usiadłam na schodach, bo nie było wolnych miejsc. Pomyślałam wtedy, że na to właśnie czekałam.

– Pojawiły się głosy, że te pieniądze zamiast na nowe obiekty dla kultury można było wydać na przykład na tworzenie nowych miejsc pracy.

– To oczywiście nieprawda, te pieniądze musiały być wydane na budowę instytucji kultury, bo takie było ich przeznaczenie. Unijnych pieniędzy nie można przesunąć w dowolny sposób.

– Poza tym, to są miejsca pracy – dla artystów...

– ... organizatorów życia kulturalnego i wszystkich, dzięki którym takie budynki dobrze funkcjonują. Ponadto jest jeszcze jakaś zupełnie niewymierzalna w liczbach rola, którą w mieście odgrywają tego rodzaju miejsca. W Niemczech, czy Austrii ludzie są bardzo dumni ze swoich renomowanych orkiestr, teatrów, sal koncertowych i galerii. My się tej dumy uczymy.

Kiedy wszelkie kwestie organizacyjne były dopięte na ostatni guzik, okazało się, że tegoroczna edycja *Portu* stanęła pod znakiem zapytania. Z powodu chaosu informacyjnego związanego z organizacją „Dni Chorzowa” nie było możliwości, aby impreza odbyła się jak co roku w Kompleksie Dobrego Smaku „Szytgarka”. Organizatorzy załamali ręce. Z pomocą przyszedł naczelnik Wydziału Kultury i Sportu Rafał Zaręba i zaproponował, aby XIII edycja *Portu* odbyła się w Chorzowskim Centrum Kultury. Propozycja wydawała się być kuriozalna, ponieważ w pierwszych zdaniach informujących, czym jest *Port*, czytamy: „(...) aby uniknąć sztywności domów kultury, impreza odbywa się w klimacie kawiarnianym (...)”. Jak się później okazało, strach ma wielkie oczy i ku zaskoczeniu organizatorów, publiczność zaakceptowała ze zrozumieniem tę jednorazową zmianę miejsca.

Początki były trudne, ale później z wiatrem płynęliśmy przez kolejne imprezy towarzyszące XIII edycji *Portu*. 14 czerwca, dzięki współpracy z Młodzieżowym Domem Kultury w Chorzowie, odbyło się uroczyste rozstrzygnięcie IX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego OKNO adresowanego do dzieci i młodzieży oraz XXIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. M. Hłaski. Na oba konkursy napłynęło około 550 prac, a w jury zasiadli: Barbara Janas-Dudek, Sabina Waszut i Katarzyna Bereta (konkurs OKNO) oraz Katarzyna Zdanowicz-Cygańiak, Genowefa Jakubowska-Fijałkowska i Bogdan Prejs (konkurs M. Hłaski). Protokoły obrad jury można zobaczyć na stronie internetowej: www.portpoetycki.pl, a utwory młodych, zdolnych przeczytać w lipcowym wydaniu Kwartalnika Literacko-Artystycznego sZAFa, który od kilku lat promuje i wspiera oba konkursy.

18 czerwca, dzięki sojuszowi z Dąbrowską Brygadą Poetycką, w Muzeum Miejskim Szytgarka w Dąbrowie Górniczej odbył się IX Poligon Poetów. Gośćmi tej edycji byli: Barbara Janas-Dudek oraz Paweł Lekszyci. Spotkanie obu twórców i animatorów kultury poprowadził Patryk Chrzan. Publiczność miała okazję wysłuchać wierszy starych i nowych, a także bliżej poznać sylwetki poetów, ich inspiracje i zainteresowania twórcze. Spotkanie zakończył minirecital Marioli Koniecznej.

19 czerwca spotkaliśmy się w Galerii MM przy Chorzowskim Centrum Kultury na wieczorze autorskim Joanny Starkowskiej i Piotra Tenczyka prowadzonym przez Weronikę Górską. Oboje w bieżącym roku wydali tomiki poezji w Zaułku Wydawniczym Pomyłka. *Ballada o wyrzynie* Joanny Starkowskiej stanowi jej debiut, natomiast *Poemat o czasie przeżytym* Piotra Tenczyka to jego druga książka. Przed i po rozmowie z poetami mogliśmy posłuchać autorskich piosenek Marioli Koniecznej, na czele z uwielbianym przez słuchaczy przebojem *Pożegnanie z miastem*.

20 czerwca nastąpiła prawdziwa kumulacja doznań artystycznych. Najpierw odbyły się warsztaty z wydawcą i poetą Bogdanem Zdanowiczem, który dzięki stylizacji na zadany temat w ciekawy sposób pokonał opory wewnętrzne uczestników. Jak później na-

piisał Paweł Dąbrowski w swojej relacji: „to opory wewnętrzne zatrzymują nas czasami w pół kroku”.

Po krótkim koncercie muzyki rockowej do tekstów poetyckich (Andrzej Kanclerz i Radioaktywni) rozpoczęła się część główna *Portu*. Swoje utwory czytali goście przeglądu: Ewa Olejarz, Julia Szychowiak, Rafał Różewicz i wspomniany Bogdan Zdanowicz. Małgorzata Południak zaprezentowała autorską towarzyszącą imprezie wystawę plastyczną – Marzenę Ablewską-Lech. Zdecydowanie figuratywne prace wydają się być esencjami pewnych fabułów, zdarzeń, zapisu losu przedstawionych postaci.

Kolejną częścią wieczoru były prezentacje poetyckie głównych gości poprzednich edycji. W tej części zaprezentowali się: Marta Fox, Roma Jegor, Małgorzata Południak, Zenon Dytko, Krzysztof Tomanek, Magdalena Gałkowska, Jan Miećciuk, Joanna Starkowska, Weronika Górską, Marzena Orczyk-Wiczowska, Włodzimierz Szymczewski, Jan Baron, Janina Szołtysek, Sławomir Bohdan Matusz, Bożena Boba-Dyga, Karol Samsel, Bartosz Wiczowski, Barbaras Janas-Dudek, Jacek Dudek, Grzegorz Derner, Marta Jurkowska i Natalia Zalesińska.

Dla rozładowania zagęszczonej poezją sali widowiskowej CHCK-u zaproszono na scenę Joannę Vorbrodt z Warszawy, która po raz trzeci, ku radości publiczności, zacięła w *Porcie*. Leszek Jodliński w taki oto sposób podsumował koncert: „Jej kreacja w Chorzowskim Centrum Kultury, przy okazji XIII edycji *Portu* (...) sprawiła, że dołączyłem do rosnącego grona wyznawców alternatywnego, ekspresyjnego i bardzo indywidualnego stylu jej brzmienia”.

Po energetyzującym koncercie małżeństwa Vorbrodtów przeniesliśmy się do klubu muzycznego „Dziekanat” na ostatnią część wieczoru zwaną Hyde Park, w której zaprezentowało się około 25 poetów z całej Polski.

Niejako na pożegnanie *Portu Poetyckiego*, 25 czerwca, w katowickiej Bistro & Bar CMA odbył się drugi już wieczór poetycki. Gościem spotkania była Weronika Górską – chorzowianka, poetka i prozajczka, autorka tomu wierszy *Rozsznurowanie*, laureatka wielu konkursów literackich. Czwartkowy wieczór wypełniła poezja pełna motywów i odniesień do filmów, książek i postaci historycznych. Czytane przez autorkę teksty wywołały ożywioną dyskusję o trendach we współczesnej poezji i o wartości literatury kobiecej. Spotkanie zakończył Turniej Jednego Wiersza. Zwycięską butelkę Cydru otrzymała Judyta Ciszewska za wiersz *maż na niepogodę*.

Port Poetycki to nie tylko impreza, która odbywa się corocznie w okolicach 20 czerwca. To również towarzyszące jej kameralne spotkania autorskie, wystawy, koncerty, warsztaty poetyckie, konkursy literackie i turnieje jednego wiersza. Zapraszamy do śledzenia nowych wydarzeń na stronie www.portpoetycki.pl.

BARBARA JANAS-DUDEK
MARZENA ORCZYK-WICZKOWSKA
WERONIKA GÓRSKA
PAWEŁ DĄBROWSKI
SABINA WASZUT



Dworzec kolejowy (1930)

Katowice za Pohlmanną (II)

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Od początku lat 90. XIX wieku na katowickim rynku sztuki byli obecni polscy marszandzi przez Niemców nazywani Bilderhändlerami. Do najbardziej popularnych, oferujących także dzieła polskich mistrzów, należał „Salon malarstwa” Michała Rzepki a potem jego córki Józefiny, przy 3 Maja 21. Wcześniej mieścił się przy Młyńskiej 23, vis a vis hotelu „Kaiserhoff”. Rzepkowie, ojciec i córka, aktywnie uczestniczyli w życiu polskich organizacji społecznych i kulturalnych.

Polską gazetę, reprodukcje malarskie, druki okolicznościowe o polskiej tematyce a często także literaturę zakazaną przez pruskich cenzorów, kupowało się przy Staromiejskiej 11 w księgarni „Górnoślązaka” prowadzonej przez Telesfora Nowickiego, w księżnicy Jana Eichorna, przy Staromiejskiej 15; w wydawnictwie Wojciecha Korfantego przy Stawowej 8 albo u narodowych demokratów ks. Pawła Pośpiecha i Edwarda Rybarza przy Wojewódzkiej 14.

Wbrew stereotypowym opiniom o nieskazitelnie niemieckim charakterze miasta, rozpowszechnianym przez pruską propagandę, w Katowicach nieźle funkcjonowały i dobrze się sprzedawały wydawnictwa „Górnoślązaka” (mutacja „Katolika”), narodowo-robotniczego „Polaka”, katolickiego „Kurier Śląskiego”, proendeckiej „Gazety Ludowej” i socjalistycznej „Gazety Robotniczej”.

Segregacja i dyskryminacja

„Politbuch” – wielkonakładowy informator polityczny Oskara Erdmanna na 1914, adresowany do aktywu partyjnego i elektoratu wyborczego na Górnym Śląsku, zamieszcza wykaz stowarzyszeń politycznych i społecznych skupiających mieszkańców Katowic. Już nawet edytorsko, autor dokonał ich segregacji – na początku wymienia organizacje niemieckie oznaczone cyframi arabskimi a w drugim bloku polskie i socjaldemokratyczne poprzedzone rzymską liczbą porządkową.

Do najliczniejszych należały organizacje kombatanckie skupiające weteranów pruskich i niemieckich wojen ostatniego półwiecza. „Kriegerverein” powstało w 1873. i na krótko przed I wojną światową liczyło ponad 1800 członków. Wiekowe było „Landwehverein”, (Stowarzyszenie byłych żołnierzy Landwehry) założone w 1879 (około 900 członków). Ich siedzibą była Hala Rzeszy, do której prowadziła wysoka brama od strony obecnej ulicy Sokolskiej 2 oraz wejście od strony restauracji przy placu Wolności 3.

Usytuowana w sąsiedztwie spiżowych posągów Wilhelma I i jego syna Fryderyka III, pełniła funkcję miejskiego ośrodka spotkań społecznych, oświatowych i towarzyskich, wspierającego wychowanie w du-

chu przywiązania do cesarstwa i pruskich tradycji.

Kombatancki byli też zrzeszeni w: Verein ehem. preuß. Gardisten (102 członków); Pionierverein (98 członków); a także w Artillerieverein – 202. Jego liderem był Otto Ullitz, komisarz i szef inspektoratu katowickiej Policji, którego dewiza głosiła: „zawsze przeciwko Polsce”. To on, w ćwierć wieku później, we wrześniu 1939, kwiatami i owocami, na progu gmachu Urzędu Wojewódzkiego, przyjmował hitlerowskich dygnitarzy i generałów.

Pod auspicjami radcy duchownego ks. Schmidta i nadburmistrza Pohlmanną kwitła religijno-patriotyczna działalność Stowarzyszenia Mężów Katolickich. Powstało z inicjatywy nadgorliwego kapłana w 1874. Liczyło prawie 400 członków. W 3 lata później, gdy już opadały wojenne napięcia kulturkampfu, proboszcz nacjonalista powołał do życia jeszcze jedną organizację: Ludowy związek na rzecz katolickich Niemiec; liczyła 240 osób.

W 1903. pleban Schmidt przeszedł sam siebie. Założył kolejną organizację: Katolicki Związek Robotników. Nie ukrywał wrogości wobec aspiracji polskich i ponad stu Polaków postanowił wyizolować z ich wspólnoty narodowej. Podobnym stowarzyszeniom patronował pastor Hermann Voss z ewangelickiej parafii „Zmartwychwstania

Pańskiego”, w której także modliło się wielu rodowitych Polaków.

W tym czasie (24 stycznia 1904), Wojciech Korfańty ówczesny przywódca „radikalpolarów”, po raz pierwszy jako poseł katowicko-zabrskiego elektoratu powiedział w Reichstagu: „Przysłany zostałem tutaj jako reprezentant polskich robotników... z Górnego Śląska, o którym rzadko się tutaj mówi. A jeżeli się o nim mówi, to tylko wówczas, gdy idzie o nowe środki zmierzające do prześladowania Polaków albo o nowe korzyści dla niemieckich warstw wyższych na Górnym Śląsku”.

Okolo 400 zdeklarowanych hakatystów gromadziło się pod sztandarem Ostmärkverein.

Dyskryminując wszystko co polskie, krzesali iskry, z których kilkanaście lat później wybuchł potężny powstańczy pożar.

Życie publiczne

Dworzec kolejowy zbudowany w 1859, po dwukrotnej rozbudowie i modernizacji (ostatniej w 1906), z nowoczesną infrastrukturą usługową wmontowaną w pasażerski terminal wystylizowany na ładny neoklasycyistyczny pałacyk, był komunikacyjnym „pępkiem” Katowic i oknem na wielki świat. Wychodziło się stamtąd czterema tunelami na obecną Wojewódzką lub Dworcową. Wszelkiego rodzaju przesyłki i wiadomości ekspediowano z pobliskiego gmachu poczty bądź bezpośrednio z budynku kolejowego. Tutaj znajdowały się centrale targarsko-kurierskie. Za 10 fenigów posłaniec dostarczał ustną lub pisemną wiadomość do adresata na terenie miasta. Gdy przynosił odpowiedź, otrzymywał dodatkowe 10 fenigów. Biegnać z przesyłką do 3 kilogramów pobierał 1 markę. Spedytorzy kursowali w riksach i na rowerach.

Przed wybuchem I wojny światowej grube ryby i tuzy miejscowego establishmentu, na ulicach miasta zaczęły się pokazywać w samochodach a la kabriolet. W takich wehikułach, choćby o dwie ulice dalej, wypadało jechać na raut, bal, spektakl teatralny czy zebranie towarzyskie. Za kierownicą siedział sofer, który zastąpił stangreta w libeirii dawniej powożącego bryczką lub karetą zaprzęzoną w dorodne kłaczę lub ogiera. Do Katowic przyjeżdżał pszczyński książę Jan Henryk XV a jeszcze chętniej jego piękna żona Daisy, miłośniczka podróży i automobilizmu. Na wiele miesięcy przed wybuchem wojny w mieście i okolicy widywano też złote limuzyny z cesarskimi orłami w koronach należące do Wilhelma II, który w Pszczyźnie organizował kwaterę główną wojsk niemieckich.

W podwórkach mieszczańskich kamienic i w pobliżu willi budowano garaże a w dawnych piwnicach – w ramach przygotowań do wojny – aranżowano schrony przeciwlotnicze. Towary coraz częściej przewożono na ciężarówkach. Obok czterokołowych benzów, daimlerów, peugeotów i fiatów, wąskimi uliczkami Katowic przeciskali się motocykliści – najczęściej na dwukołowych hildebrand-müllerach.

O samolotach opowiadali tylko przybysze ze stolicy, którzy po 1909 mieli szczęście oglądać pierwsze pokazy aparatów latających na lotnisku w Johannisthal pod Berlinem. Ten i ów przechwalał się, że będąc nad Sprewą korzystał z usług Towarzystwa Lotniczego hrabiego Zeppelina i latał jego pękatym sterowcem, długim na prawie 130 m i napędzanym dwoma spalinowymi silnikami Daimlera.

Stacji benzynowych jeszcze nie było. Paliwo kupowało się w drogerii lub w sklepie kolonialnym. Powstały warsztaty naprawy samochodów. Do najstarszych należały usytuowane przy alei Korfańtego: „Roske u. Barth” oraz

„Schwiederski”. Przy Dyrekcyjnej 6 biuro miała „Oberschlesische Automobil G. m. b. H.”.

W wąskiej gardło a właściwie w ucho igielne miejskiego układu komunikacyjnego – szczególnie w dni jarmarków – zamieniał się Rynek. Grzeszył ciasnotą, chaotyczną zabudową i asymetrycznym wyprawdzeniem 7 tras dojazdowych. Podobne zatory powstawały na skrzyżowaniach pobliskiej ulicy Stawowej. Tędy przetaczały się pojazdy transportujące towary pomiędzy dworcem towarowym a targowiskami. Ze straganów niosło się pianie kogutów, kwakanie kaczek i gdakanie kur. Kierowcy nielicznych początkowo samochodów, niecierpliwie naciskali balonowe tąpki, konduktorzy katowickich wąskotorowych tramwajów nerwowo uderzali w dzwonki przynaglając pieszych, woźnice z furmanek gwizdali i pokrzykiwali na konie, a przy tym nie przebiegając w słowach.

W 1907. zainaugurowano uruchomienie pierwszej linii autobusowej. Jej właścicielem była spółka „Automobil-Omnibus-Gesellschaft”. Po kilku miesiącach została skraczana. Autobusy nie grzeszyły komfortem a ceny biletów były zbyt wysokie. Katowiczanie woleli chodzić pieszo lub wozić się ciasną ale tańszą Kleinbahną.

Właśnie taką pasażerską wąskotorówką szumnie nazywaną tramwajem wjechali w XX wiek. Wyglądało na to, że już nigdy z niej nie wysiądą. Jej małe wagoniki nie pasowały jakoś do legendy miasta, które, jak utrzymywał nadburmistrz Pohlmann było dziwnie podobne do Berlina i kilku amerykańskich metropolii. Dowcipni publicyści „Górnoślązaka” dodawali, że owszem jest do nich podobne, ale tylko ze względu na segregację rasową, bo Prusacy dyskryminują, rugują i wyzyskują Polaków, tak jak Amerykanie Murzynów.

Katowice, tak jak autentyczne światowe metropolie tamtych czasów, miały też swoje slumsy. Należały do nich nie tylko famiolki ale również 50-letnie lub starsze domy na przedmieściach: Fabrycznym, Rolnym i Załęskim, w okolicach Chorzowskiej i Roździeńskiego albo pomiędzy Warszawską i prawym brzegiem Rawy. Biodota mieszała w ciemnych i zapleśniałych suterach, tylnych domach albo oficynach. Gorzej niż w koszarowo-więziennych famiolkach było na katowickich hałdach. Tam ludzie kopali jamy aby wśród żużlowych wysypisk znaleźć schronienie przed jesiennym i zimowym chłodem.

W 1913 r. coś na Ratuszu zachorowało. Miało 10 lat od wystawienia kanclerskiego monumentu na Beatebergu. Już się trochę opatrzył i spowszedniał. Ludzie, o zgrozo zaczęli go nazywać najwyższym kominem Górnego Śląska a niesforni – polscy Elswie, zetowcy i gimnazjaliści na balustradach tarasu widokowego, podczas zakonspirowanych komersów zapalali świeczki i znicze, o których szeptano, że to świetlka nadziei dla Polaków i „kaganek oświaty dla Śląska”. Parę tygodni potem ekipa dziarskich robotników wążutkie torowisko przekuła na magistralę dla prawdziwej miejskiej strassenbahn. To była pierwsza i jedyna w Katowicach linia tramwaju normalnotorowego. Teraz ludzie jeździli z przystanku przed wejściem do magistrackiej piwiarni „Bierquelle” przy Pocztowej aż pod samą wieżę Bismarcka. Park Południowy ze swoim patriotycznym sanktuarium znów znalazł się w czołówce największych atrakcji. Każdy chciał się przejechać prawdziwym tramwajem. Jednak złe moce sprzysięgły się przeciw szerokim torom. W jakieś 3 lata później, gdy okazało się, że militarne zapędy Wilhelma II i jego generałów, są tak bezsensowne jak przyrównywanie Katowic do Londynu albo Nowego Jorku, żelazne szy-

ny, dzwony z kościołów, a nawet prawie 3 metry liczącego ogromnego hohenzollernowskiego orła z wieży Bismarcka, pruscy patrioci zdemontowali i przetopili na armaty składając je na ołtarzu Germanii – symbolu wielkiej sprawy narodowej.

Rok wcześniej w powiatowych Katowicach okienka kasowe otworzyły kolejne niemieckie banki: w nowym gmachu Reichsbanku przy Bankowej (promowana przez Pohlmana) i oddziały dwóch innych niemieckich: Deutsche Bank- und Diskontogesellschaft z Berlina oraz Dresdner Bank. Bankierzy liczyli na obfite kredytowe i odsetkowe żniwo. Tymczasem koniunktura spłatała figla. Jeszcze nie zdążyli nadstawić kapeluszy a już z nieba przestały kapać amerykańskie dolary. Co gorsza, wkrótce po wybuchu wojny, nie tylko przemysłowcy ale nawet katowiccy sklepikarze do obiegu handlowego wprowadzili notgelty – zastępcze pieniądze – propagandowo a czasem nawet zabawnie ilustrowane ale nie mające większej wartości.

W 1904. otworzył podwoje pierwszy w mieście dom towarowy przez Niemców nazywany Warenhaus. Mieścił się w dwupiętrowym budynku przy obecnej ulicy 3 Maja nr 9. Jego właścicielami byli bracia Georg i Artur Barasch, którzy w tym samym roku przy wrocławskim Rynku wybudowali okazały pięciokondygnacyjny dom towarowy (obecnie SDH Feniks). Najstarszy (od 1898.) prowadził w Bytomiu przy Gliwickiej 31, kolejny (od 1901.) w Chorzowie przy ulicy Cesarskiej 32, a nadto dysponowali siecią podobnych budowli, w reklamach nazywanych „świątyniami komercji” i „pałacami towarów”. Handlowali w Gliwicach, Nysie i Magdeburgu. Firma, jako druga w Katowicach, wozila klientów windą elektryczną, a po 1908. pod jej szyldem funkcjonowało też wydawnictwo wyspecjalizowane w edycji kart pocztowych.

Na krawędzi wieków rozpoczęła się złota era filokartystów. Barwne grafiki i fotografie kompletowano w modnych albumach i sztabuchach. Poczta docierała do wszystkich zakątków Niemiec i Europy, a katowiczanie coraz chętniej komunikowali się posługując się piśmem. Karl Siwinna (syn Gotfryda), właściciel największego w okolicy wydawnictwa i księgarni, wydawał karty pocztowe z widokami Katowic i okolicznych miejscowości. Były to głównie litografie. Podobne obrazy lub fotokopie powstawały w pracowniach Richarda Bombika, Oskara Wernera, Leopolda Neumana, Adriana Krausa i Paula Scholza. Po 1910. fotograficzne atelier i wydawnictwo prowadził Willi Lange. Po latach jego zakład przejęli polscy fotograficy Holasowie. Sławny śląski artysta fotografik Max Steckel w Katowicach pracował w latach 1897-1899 a potem 1912-1930. Najpierw miał atelier na rogu Rynku i alei Korfańtego a w czasach Polski odrodzonej przy Mielęckiego. Lubował się w pejzażu z obiektami przemysłowymi.

W optymistycznym nastroju odbyło się otwarcie gimnazjum realnego przy ulicy Jagiellońskiej. Jako pierwsze w mieście kształciło młodych mężczyzn o zainteresowaniach przyrodniczych i technicznych. Jesienią 1906. rozpoczęli naukę w nowym budynku z nowoczesnie wyposażonymi pracowniami tematycznymi, okazałą aulą, biblioteką i salą gimnastyczną. W ramach zajęć dodatkowych zgłębiali sekrety stenografii i łaciny. W jego murach, ostatni rok nauki spędził niemiecki prozaik i dramaturg, syn żydowskiego tapicera Arnold Zweig. Tutaj otrzymał świadectwo dojrzałości.

Podczas spisu powszechnego przeprowadzonego 2 grudnia 1912 ustalono, że katowiczanie byli hodowcami: 628 koni, 19 wołów, 549 świń, 231 kóz, 10 uli i jednej owcy. Nie brakowało też drobiu. Na podwórkach dreptały



Katowicki rynek w 1931 r.

i fruwały 4204 kaczki, gęsi i kury a wśród nich zapewne pawie i bażanty. Zaskakujące, że nie wykazano ani jednego królika. Jak na stolicę Górnos Śląskiego Przemysłu, prawie od pół wieku urbanizowaną a jeszcze dłużej industrializowaną, cieszącą się sławą „bastionu niemieckiej cywilizacji kultury na wschodzie”, obecność obórek, chlewików, stajni i kurników w ponad czterdziestotysięcznym mieście była wcale imponująca, tym bardziej że oficjalna polityka społeczna niemieckich władz administracyjnych, poza obręb miasta skrzętnie eliminowała wszystko to, co wiązało się z wiejskim sposobem życia i gospodarowania, a było wyszydane jako synonim polskości.

W 1909. na obrzeżach Parku Południowego powstały ogródki działkowe. Uprawiało je setki mieszcuchów ze Śródmieścia, zafascynowanych ideą doktora Schreibera z Lipska, twierdzącego, że pielęgnowanie jarzyn, kwiatów i owoców relaksuje, leczy i poprawia samopoczucie.

Pierwsi katowicki sanitariusze rekrutowali się spośród strażaków. W Zawodowej Straży Ogniowej, założonej w 1903., istniał oddział, który tamtego roku interweniował w 70 przypadkach. Pożarnicy byli przeszkoleni jako pielęgniarze medycyjni. Mieli do dyspozycji 2 automobile pełniące rolę karetok.

W rok później przy obecnej ulicy Raciborskiej 27 otwarto Szpital Miejski. Prócz osób korzystających z prywatnych usług medycznych, na koszt magistratu leczono tam również biedotę oraz członków kas chorych. Wcześniej spauperyzowany proletariatus mógł liczyć jedynie na pomoc charytatywną. Równocześnie ze szpitalem miejskim rozpoczął działalność „Azył” – dom specjalny, u zbiegu obecnych ulic Damrota i Wojewódzkiej. Kwaterowano tam ubogich i starców bez dachu nad głową; przeciętnie 50–60 osób. Zimą 1907 miasto otworzyło kuchnię ludową dla ubogich; wydawała do 40 tys. posiłków rocznie.

Katowice nie miały wtedy własnego sierocińca. Płaciły za utrzymanie dzieci opuszczonych, przekazując je do placówek opiekuńczych w Bogucicach, Holdunowie i okolicznych miejscowościach. W 1911., w budynku szkoły przy Dąbrówki 9 powstała pierwsza całodobowa stacja dla niemowląt, a w 1912. – kuchnia mleczna. Aż do 1921. przyjmowano tam także dzieci chore. Placówce matkowała mieszkająca w pobliżu, żona nadburmistrza Maria Pohlmanowa, przewodząca miejscowej organizacji ojczyźnianego Stowarzyszenia Kobiet Niemieckich. Później funkcje te przejął miejski szpital dziecięcy przy Raciborskiej

otwarty również w 1912. Znajdował się w odkupionej przez magistrat prywatnej willi z ogrodem, pod adresem Raciborska 28.

Polonusi z Katowic

Przed pierwszą wojną światową polonia katowicka liczyła około 7 tysięcy osób. Polacy zrzeszali się we własnych stowarzyszeniach. Profilem działania przypominały inne, formalnie podobne organizacje społeczno-kulturalne, funkcjonujące na obszarze państwa niemieckiego. Sprzyjały utrwalaniu świadomości narodowej ale także i politycznej. Z tych kręgów wywodziła się pierwsza i wtedy jedyna Polka – Bronisława Szymkowiakówna i sześcioro Polaków, którzy w 1919 jako pierwsi polscy deputowani tutejszych Polonusów zasiedli w ławach rady miasta.

Wcześniej, już od przełomu stuleci w Katowicach osiedlali się rodowici, polskojęzyczni Ślązacy, z dyplomami uniwersyteckimi wkraczający w samodzielne życie. Byli absolwentami wyższych uczelni Wrocławia, Lipska i Berlina – członkami Zetu lub Concordii, studenckich organizacji skupiających osoby sympatyzujące z Polską i Polakami. Wśród liderów tej generacji znaleźli się Jan Jakub Kowalczyk, Wojciech Korfanty i Zygmunt Seyda. Ich tubą prasową od 1902. był „Górnoślązak”, redagowany, drukowany i sprzedawany w firmowej księgarni przy Mariackiej 12.

Tajnym kuratorem kółka gimnazjalnego w Katowicach, od początku lat 90. XIX wieku działającego pod auspicjami „Zetu”, był ks. Aleksander Skowroński a potem ks. Augustyn Koźlik. Zakonspirowanym miejscem kolportażu zakazanego piśmiennictwa i spotkań polskich gimnazjalistów była księgarnia przy Staromiejskiej. Ich przewodnikami było starsze pokolenie, w bojach z germanizatorami zaprawione w latach kulturkampfu i w następnych dekadach. Polskiej młodzieży patronowali: lekarze: Śmierczalski, Miecznikiewicz; adwokaci: Adamczewski i Seyda; kupcy i rzemieślnicy: Beszczyński i Szymkowiak; dyrektor PBI Szyperski i wielu innych.

Dzięki samokształceniu młodych Polaków, nad Rawą, zdalnie inicjowanemu przez polskich akademików z Wrocławia, Monachium i Lipska przez komisarzy gimnazjalnych takich jak Maksymilian Wilimowski, w dniach wybuchu pierwszej wojny światowej polska młodzież w niemieckich Katowicach była dobrze przygotowana do akcji niepodległościowej

wej a potem do plebiscytu i trzech zrywów powstańczych.

Na początku XX wieku najliczniejszą polską korporacją w Katowicach było Towarzystwo Czytelnicze Kobiet Polskich (Polnische Frauenleseverein) – częściowo zakonspirowana biblioteka, wypożyczalnia i lektorium Towarzystwa Czytelni Ludowych (TCL). Powstało w 1903. Jego założycielką była licząca wtedy 21 wiosen Franciszka Jesionkówna (później żona Henryka Ciemięgi, dziennikarza w „Górnoślązaku”). W ostatnich latach przed wybuchem I wojny należało do niego 225 pań; przewodniczyły: Wanda Pietruszkówna, Róża Majewska i Kazimiera Mendlewska. Zebrania odbywały w Hali Rzeszy. Ich celem było upowszechnianie literackiego języka polskiego. W 1904. dysponowały biblioteką liczącą 285 tomów. W rok później miały już 600 tomów i 9 zaprenumerowanych polskich czasopism.

Najstarszym sportowym zrzeszeniem katowickich Polaków był Sokolverein (Towarzystwo „Sokół”). W katowickim gnieździe założonym w 1896. ćwiczyło 45 entuzjastów lekkoatletyki. Jego pierwszym prezesem był kupiec Aleksander Lewandowski, a naczelnikiem dr Waclaw Okulicz. Przez krótki czas w 1902., jako redaktor „Górnoślązaka”, Sokółom patronował Wojciech Korfanty. W 1903. prezesurę druhowie powierzyli Waclawowi Szypperskiemu, dyrektorowi Polskiego Banku Ludowego, godność naczelnika red. Antoniemu Wolskiemu, dziennikarzowi „Górnoślązaka”, a sekretarza Ignacemu Malczewskiemu, w tym czasie prowadzącemu trafikę przy św. Jana 8. Ten ostatni mieszkał wtedy w kamienicy panny Klary Philipp przy Plebiscytowej 4. Tam też nieduże mieszkanko wynajął świeżo upieczony absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, Adam Postrach, zastępca naczelnika katowickiej Sokolni, a od stycznia 1919. – powiatowy komendant katowickiej Polskiej Organizacji Wojskowej (pow). Panna Klara polubiła dwu młodych i przystojnych lokatorów, ubierających się w szare bluzy a na głowę zakładających czworoboczne maciejówki. Byli jej rówieśnikami. Nie miała nic przeciwko temu aby szopa po dawnej stolami w podwórzu, służyła im za salę ćwiczeń cieleśnych i spotkań towarzyskich. Tutaj uwilili sobie gniazdo swojej Sokolni. Złoty, treningi i zawody górnośląskich Sokolów, (szczególnie w sezonie letnim) zwoływali na Jęzorze pomiędzy Mysłowicami a Szczakową, gdzie Postrach i Jego ojciec kupili niewielką działkę i wybudowali obszerną altanę z urządzeniami gimnastycznymi. Adam ćwiczył na drążku i na poręczach.

Kamienica pięknej panny była usytuowana naprzeciwko dopiero co wybudowanego hotelu „Deutscheshaus”. Z pokoju Adama można było swobodnie obserwować śmietankę towarzyską i półświatek najmodniejszego nocnego lokalu miasta. Tam bywali głównie pruscy oficerowie, ich metresy i kamraci w policyjnych mundurach. Jeszcze nie wiedzieli, że w czasie wielkiej powstańczej wojny o polski Śląsk, zmierzą się z Sokołami w zamieszkach na ulicach miasta, a w murach burleskowego gasthausu dojdzie do krwawej bitwy.

W 1906. siedzibę zarządu okręgowego Górnośląskiego Sokola druhowie przenieśli z Bytomia do Katowic. Prezesem całego okręgu został Waclaw Szypperski.

Jesienią następnego roku katowicka Sokolnia przeprowadziła się do Hali Rzeszy przy placu Wolności. Na jej czele stanęli: dentysta i dziennikarz Stanisław Rożanowicz, urzędnik Stanisław Weber i dyrektor Polskiego Banku Ludowego Paweł Wilim. Po zakończeniu wojny niemal wszyscy druhowie Sokola stanęli w szeregach Śląskiej Powstańczej Armii.

Niepokojący problem kobiet

I „Kobiecie Witkacego” Eugenii Wyszomirskiej Muzeum Historii Katowic zawdzięcza swoją główną siedzibę – budynek przy ulicy Szafranka. Kiedy mieszkająca w Katowicach Asymetryczna Dama (to brzmi jednak bardziej elegancko niż „kobieta”) przekazała w spadku kolekcję swoich portretów miastu, coś trzeba było z tą spuścizną po Stanisławie Ignacym Witkiewiczu zrobić, znaleźć godne miejsce dla tych obrazów, po prostu je ocalić. Dzięki temu powstało MHK, które od czasu do czasu udostępnia widzom pastelowe wizerunki Wyszomirskiej, od czasu do czasu, bo pastele są nietrwałe, szkodzi im właściwie wszystko; starsze się papier, działa na nie światło, „kredkowy” zapis się osypuje. W Muzeum d’Orsay w Paryżu można dzieła w tej technice oglądać w zaciemnionej sali, w specjalnych gablotach, w których eksponowane są w poziomie. Być może dlatego Witkacy był dla mnie przede wszystkim pisarzem, z którym przeżywałem upadki Bunga, żegnałem jesień i wahałem niemyte dusze. Oczywiście wiedziałem, że malował, rysował, miał firmę portretową, niektóre z jego prac oglądałem w wydawnictwach albumowych, ale dopiero dzięki wystawie w MHK *Witkacy i kobiety. Nienasycone* miałem możliwość zetknięcia się z jego twórczością tak obszernie i w tyłu jej dziedzinach. Zobaczenie tych wszystkich prac wymagałoby podróży po całej niemal Polsce, od Zakopanego po Płock, czy Toruń. Już choćby z tego powodu należą się wyrazy uznania Natalii Kruszynie kuratorce katowickiej wystawy.

II Kiedy po raz pierwszy oglądałem dzieła Witkacego pokazane w MHK wielkie wrażenie wywarł na mnie rozmiar samego przedsięwzięcia. Ile pracy trzeba było włożyć w kwerendę po muzeach i archiwach, ile czasu musiało zabrać uzgadnianie warunków wypożyczenia dzieł z poszczególnych placówek, wreszcie – ile trzeba było poświęcić godzin na stworzenie koncepcji i dopracowania scenariusza? Na pewno – mówiąc wręcz trywialnie – dużo. Z mojej – widza – perspektywy to się opłaciło. Gratulacje dla kuratorce, którą zresztą jeszcze będę chwalił. Dlatego, że po raz drugi oglądałem wystawę po lekturze eseju Natalii Kruszynie opublikowanym w katalogu. Dzięki temu miałem zidentyfikowane modelki zakopiańskiego mistrza, uwieczniane przez niego kobiety mogłem osadzić w czasie oraz wpasować w konkretny moment biografii twórcy. Ale katalogowy esej to nie tylko przewodnik po ekspozycji, to także portret (również psychologiczny) artysty zbudowany ze źródeł – listów i prozy au-

tora *Narkotyków*, wspomnień jego znajomych i przyjaciół, opinii tzw. środowiska. W tym miejscu po raz kolejny muszę wyrazić uznanie Natalii Kruszynie, ponieważ napisanie tego szkicu wymagało przestudiowania ogromnej ilości materiałów i skonstruowanie na ich podstawie spójnej całości. Nie jestem „witkacologiem”, wiele więc rzeczy było dla mnie odkrywczych. Jak choćby spostrzeżenie, że kobiety dla siebie ważne, ba! najważniejsze (matka, żona) Witkacy portretował bardzo rzadko.

III Dochodzimy wreszcie do tematu wystawy w MHK. To kobieta, właściwie zaś – kobiety, bo w życiu „Stasia” było ich wiele, bardzo wiele. Te ważne – jak już wspomniałem – uwieczniane było rzadko. Pozostałe, czyli przyjaciółki, platoniczne miłości oraz kochanki miały o wiele więcej szans, żeby trafić do książek z historii sztuki. W tym miejscu nasuwa się pytanie: kim był, w kontekście tych relacji damsko-męskich, Stanisław Ignacy Witkiewicz? Geniuszem, wielkim nowatorskim artystą, znawcą psychologii, potworem, wariatem (może neurastenikiem – jak wtedy to określano), czy po prostu „kobieciarzem”? Im bardziej się zagłębiać w oglądanie tych obrazów i poznawanie biograficznych szczegółów, tym trudniej o jednoznaczną odpowiedź. Już jego związek z ojcem, który swego syna uwielbiał, ale też mieszał się do jego życia w sposób, no – natarczywy (między innymi skutecznie „recenzował” kandydatki na żonę dla swego cudownego dziecka) – jest jakimś kluczem do dojrzałej (?) osobowości Witkacego.

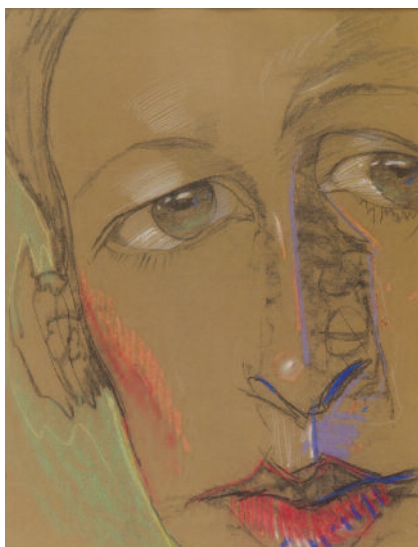
IV Ważną rolę spełniała w życiu artysty matka. To znalazło zresztą odzwierciedlenie w jego twórczości literackiej, w której sam siebie uznaje za „wampirycznego”, niedojrzałego i – w gruncie rzeczy nieudanego syna. Najważniejsza jednak była chyba żona, Jadwiga z Unrugów, mimo że razem przeżyli tylko dwa lata. Kruszyna w swoim eseju opisuje ją w rozdziale *Przyjaźń*, co odpowiada prawdzie, bo właściwie nie była miłością Witkacego, ale jego powierniczką, kobietą, która go wspierała, zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że była jego psychoterapeutką. Inna rzecz, że szokujące wydaje się to, że do żony pisał o innych swoich kobietach, zapewniając wielokrotnie, iż tak naprawdę kocha tylko ją. Kocha, szanuje i pyta o radę: „Problem kobiet zaczyna mnie niepokoić. Co robić? Znowu puścić się na erotomaniczne kombinacje. Poradź mi coś racjonalnego. B. tęsknię za Tobą i spokojem Twojej aury psychicznej”. O „swoich” kobietach pisał

zresztą do wielu przyjaciół. O dość zaborczej i zazdrosnej Czesławie Oknińskiej pisze do zaprzyjaźnionego filozofa Corneliusa: „Zdradziłem ją już z około 10 babami – przeważnie z powodu jej zachowania”. Jak widać – sama sobie była winna.

V Pora przejść do samej ekspozycji. Kuratorka wystawy umieściła prace w następujących działach: *Przyjaźń, Fantazja, Zmysły, Fatum, Ironia*. Ekspozycja składa się z obrazów, rysunków i fotografii. Dominują oczywiście portrety kobiet. W większości przypadków twarze mają anielsko piękne. To nie znaczy, że swoje modelki artysta idealizował, bo uważając się za znawcę kobiecej duszy starał się tworzyć konterfekty psychologiczne, pokazać w twarzy na przykład inteligencję, wrażliwość, czy zmysłowość. Zachowały się jednak prace, w których Witkacy deformuje, czy wręcz karykaturuje swoje damy, aby wydobyc ich „demoniczność”. Trzeba pamiętać, że w swoich przyjaźniach, miłościach i romanсах twórca był bardzo chimeryczny. Cenił na przykład Winfred Cooper, angielską poetkę, tłumaczkę i artystkę za jej wiedzę, inteligencję, myślowe horyzonty, ale nie przeszkodziło mu to w zrobieniu z niej w rysunku potwora, choć w *Portretcie podwójnym* prezentuje się zupełnie inaczej. Wszystko było kwestią chwilowego nastroju. W listach nazywał ją „Misskuper”, czasem po prostu „Kuper”, a w liście do żony napisał bezceremonialnie „Była Miss Cooper (Zadek)...” W rysunkach, obok tych portretowych i bardzo pięknych, możemy oglądać prowokujące „wizje”, naruszające zasady realizmu, lekceważące proporcje, kompozycję itd. Myślę, że tworzył je „dla zabawy”, czy nawet „zgorzenia maluczkich”, co było dodatkowo wzmocnione umieszczonymi na tych pracach podpisami. Na przykład: *Przewodnicząca związku pro-chłopskiego Anna Syrokomłówna w odmiennym stanie ma kazanie dla niezadowolonego z obrotu sprawy kmiotka Jakuba Śmiecia* albo *Miłość kucharki do Eskimosa*. Osobną kategorią są zdjęcia. Jedne wykonane przez samego Witkiewicza, który – jak wiadomo – fascynował się fotografią, inne przedstawiające go samego, często przez niego „wyreżyserowane” lub takie, gdzie staje się „aktorem” wielającym się w jakąś rolę.

VI Wystawa w MHK jest na pewno „pozycją obowiązkową” dla wszystkich interesujących się sztuką. Polecam. Przy czym zachęcam do jej oglądania z katalogiem w rękę.

BOGDAN WIDERA



Muzeum
Historii Katowic

Witkacy i kobiety. **NIENASYCENIE**

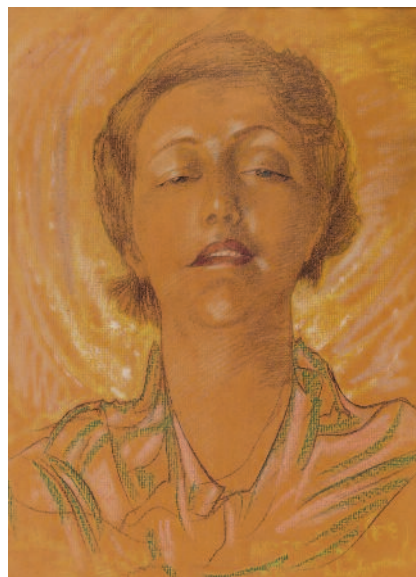
(Reprodukcje i zdjęcia ze zbiorów
Muzeum Historii Katowic)



Asymetryczna Dama wśród swoich portretów



Eugenia Wyszomirska-Kuźnicka z Witkacym w Zakopanem (lata 30.)



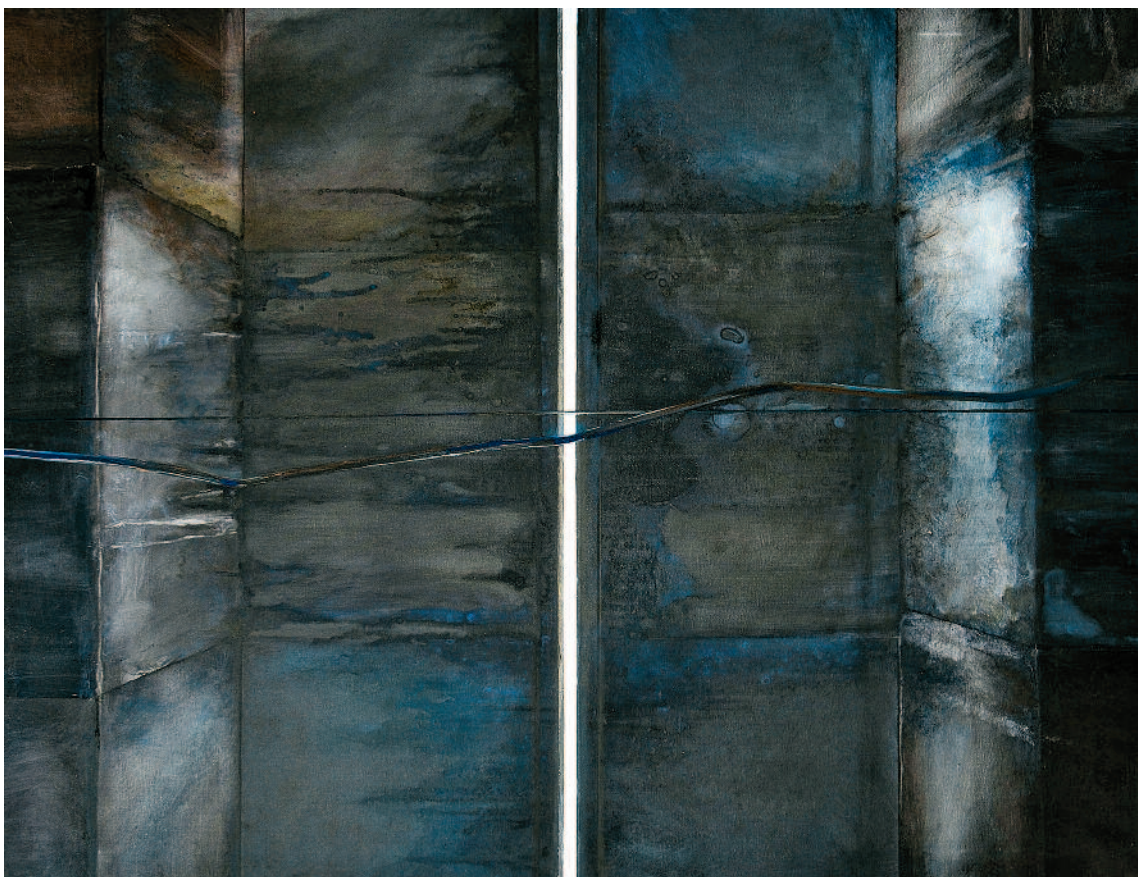


Nagroda Prezesa ZPAP Okręg w Katowicach, Piotr Bąk „Bez tytułu”, rysunek



Honorowe Wyróżnienie Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, Karol Wieczorek, „Móha”, olej, akryl, piórko-tusz, ołówek

Praca Roku 2014



Grand Prix, Magdalena Paleczna, bez tytułu VI z cyklu „Monumentum”, olej, płótno

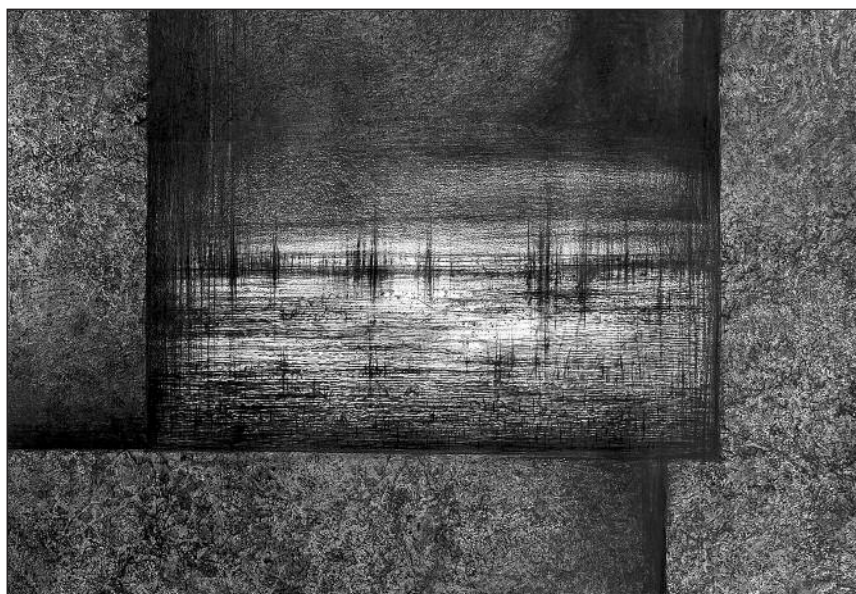
Na pierwszy rzut oka trzy z czterech nagrodzonych prac podczas tegorocznej edycji konkursu Praca Roku to grafiki. Tymczasem dopiero bliki i dłuższy ogląd, zwłaszcza obrazu uhonorowanego Grand Prix, uzmysłowia patrzącemu, że ma przed sobą znakomitą pracę malarską! Dwa rozdzielone świetnym pasem bloki, a jednocześnie połączone sztywnym, mocnym drutem, ledwo zarysowanym w prześwicie niepokoją. Mamy bowiem do czynienia ze znakomicie zorganizowaną przestrzenią trójwymiarową, która intryguje, bo nie narzuca się wprost. Tę przestrzeń trzeba dojrzeć, jak odbicie, niczym lustrzane ścian ją otaczających. To przestrzeń zamknięta, a jednocześnie otwarta, wolna i zniewolona, ograniczona ale wymykająca się spod kontroli. W obrazie Palecznej najważniejsze jest pięknie prowadzone światło, które tej pozornie statycznej całości nadaje dramaturgii. Organizuje zamkniętą we wnętrzu energię, której nadaje jakiegoś wymiaru transcendentalnego. Z drugiej strony staje się metaforą fizycznego zmagania z niemożnością. Do tego Magdalena Paleczna niuansuje kolor – od czerni, która wraz z innymi odcieniami brązu, szarości i bieli tworzy fakturę jaką posiadają monolityczne bryły. Wszystko to razem daje znakomite wyobrażenie monumentalności zarówno w jego fizycznym jak i pojęciowym wymiarze. Jest czystą monumentalnością, próbą przedstawienia siły jako takiej. Wspaniale namalowany obraz.

Dwie kolejne nagrodzone prace to „Przestrzenie pejzażu X” Tomasza Chudzika i rysunek bez tytułu Piotra Bąka. Chudzik przez wszystkie lata twórczej pracy analizuje pejzaż, sposób jego przedstawienia. Chciałoby się powiedzieć, że maluje wciąż ten sam obraz, doskonaląc go, poprawiając, wprowadzając nowe techniki. Ale to ciągle ten sam pejzaż – jego wewnętrzny, sprawiający wrażenie monotonna, ale to tylko uspokojenie, to wpatrywanie się i wsłuchiwanie w coraz to nowe obserwacje. Pejzaż nie odwzorowuje żadnej rzeczywistości, chociaż w niej ma swoje korzenie. To przenoszony w rozmaite konfiguracje fragment, przypasowywany do różnych sytuacji. Wodna, ledwo zarysowane szwary, rozświetlona toń. W sposobie przedstawiania pejzaży Tomasz Chudzik doszedł do perfekcji. W te pejzaże można się wielokrotnie wpatrywać i delektować się subtelną kreską, wyczulenie na światłocieni i niezwykłą cierpliwość w układaniu kolejnego wyobrażenia przestrzeni, wychodzącej poza horyzont.

Frapujący jest także nagrodzony rysunek Piotra Bąka – przypominający raczej grafikę. Przedstawia przenikające się różnorodne elementy o wymyślnych kształtach, przecinane kolorem, przecinane ukosami prostych linii układających się w dynamiczne struktury.

Kolejna praca to rozpoznawalny i jak zawsze zastanawiający Karol Wieczorek – klasa sama dla siebie. Tym razem przedstawia oglądającym „Móhę” – po prostu muchę, ale nie taką jaką znamy z powszedniego doświadczenia. To wielobarwne stworzenie, imponujące kształtem, zachwycające subtelnością i wyrafinowaniem. Takie pokazanie muchy rodzi zachwyt nad stworzeniem, ale w tym niezwykłym pięknie jest istotą przerażającą. Czy chce nam artysta powiedzieć, żebyśmy otaczający świat, nawet ten niepozorny, czasem odstręczający raczyli czasem oglądać oczyma dziecka? Zobaczymy go innym niż nam się wydaje.

W edycji Pracy Roku 2014 pojawiło się jeszcze wiele innych, interesujących prac.



Nagroda Prezydenta Miasta Katowice, Tomasz Chudzik, „Przestrzeń pejzażu X”, rysunek, akryl, tusz, kredka

Tajemnice przestrzeni

W tym dorocznym przeglądzie z pewnością zauważyć trzeba pracę Leszka Cepaka „Taki pejzaż” (to kolejny intrygujący pejzaż w tym konkursie) – jakby idący dalej niż Tomasz Chudzik – poza horyzontem wyznaczonym przez tego artystę znajduje się rzeczywistość, jak ją widzi właśnie Leszek Cepak. U niego horyzont staje się pograniczem świata konsumpcji i świata natury, albo można też inaczej sprecyzować przesłanie płynące z tego obrazu: nie ma rzeczy, nie ma takiego piękna natury, które człowiek nie potrafiłby skomercjalizować. Wszystko jest na sprzedaż.

Zawsze z wielką uwagą śledzę propozycje rzeźbiarsko-graficzne Jerzego Beceli. Tym razem był to „Depozyt” z zawieszonymi pomiędzy szklanymi taflami elementami metalowymi, porozwieszanymi na wieszaczkach fragmentami naszej egzystencji.

Namysł nad przeszłością przedstawił Ireneusz Botor w obrazie „Mój ojciec urodził się w 1914 roku” (olej na płótnie). Artysta często w swojej twórczości nawiązuje do przeszłości,

w poszukiwaniu własnej tożsamości, z chęcią usytuowania siebie samego w ciągu zdarzeń.

Na wystawie znalazły się także bardzo dobre prace Damiana Pietrka (z serii „Popołudniowe powroty”, technika własna), Jerzego Pietruczuka („Łagodne światło pory gwałtownych burz”, druk cyfrowy), Grażyny Tarkowskiej („Ulotność chwili – wrażenie 1”, technika własna, papier) i wiernej swoim tematami z pogranicza iluzji, teatru i życia Haliny Tymusz („Kabaret”, olej, płótno).

Jak zawsze, tak i w tym roku organizowany przez Okręg Katowicki Związku Polskich Artystów Plastyków konkurs Praca Roku pokazał różnorodne postawy twórcze, nowe kierunki, prezentował artystów dojrzałych jak i młodych. Stawanie w pokoleniowe szranki artystyczne, jak pokazuje Praca Roku, zawsze jest korzystne dla obydwu stron. Tym razem palma pierwszeństwa przypadła nie mistrzowi a uczniowi, który już na swój sposób okazał się mistrzem.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Laureaci Pracy Roku 2014

Grand Prix

**Nagroda Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego
Magdalena Paleczna**

bez tytułu VI z cyklu „Monumentum” – olej, płótno

Nagroda Prezydenta Miasta Katowice

Tomasz Chudzik

„Przestrzeń pejzażu X” – rysunek, akryl, tusz, kredka

Nagroda Prezesa ZPAP Okręgu w Katowicach

Piotr Bąk

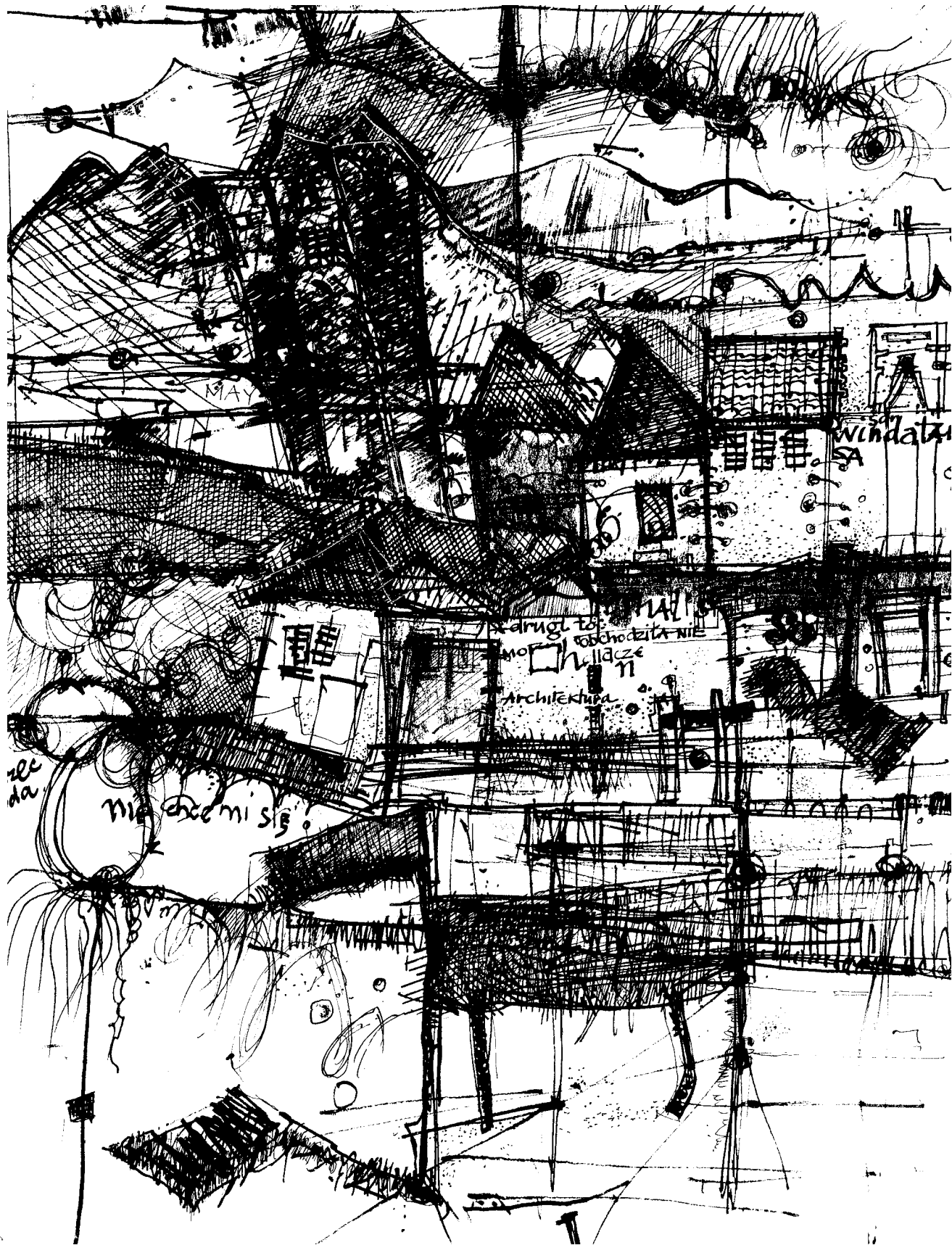
„Bez tytułu – rysunek

Honorowe Wyróżnienie

Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach

Karol Wieczorek

„Móha” – olej, akryl, piórko – tusz, ołówek



Rys. Adam Dutkiewicz

(Ła)godniejszy świat.

O Janie F. Lewandowskim

ZBIGNIEW KADŁUBEK

Nienawidzę skrajności, odruchowo.

Golo Mann

Niesamowita asysta Korfatego

Tak dziwnie. Tak tajemniczo. Dokładnie tak: wilgotny, oblepiający upał, czerwiec, plac Sejmu Śląskiego. Poszedłem usiąść na schodach w cieniu pomnika Korfatego i dostałem wiadomość, że Janek nie żyje (11 czerwca, godzina 16.33). Pod Korfantym dowiedziałem się, że nagle zmarł biograf Korfatego Jan F. Lewandowski. Brzmi to dosyć niewiarygodnie. Prawdopodobnie jak zmyślenie, które ma się przydać sentymentalnemu wspomnianiu. Nic z tych rzeczy. Nic na to nie poradzę, że tak było. Jestem przekonany, że Janek wtedy ostatni raz – już z seledynowych zaświatów – coś mi powiedział. Coś bardzo, bardzo ważnego. Taki dziwny przekaz, taki osobliwy komunikat z tamtej wszechwiedzącej jasnej strony. Janek miał klasę, więc miał ją również po śmierci.

Wydaje mi się, że Jan F. Lewandowski był kimś, kto przede wszystkim umiał podziwiać, trwać w podziwieniu. Dlatego potrafił tworzyć wspaniałe rzeczy. Tylko tacy potrafia. I te rzeczy nie zawsze przybierają kształt opublikowanych książek, sukcesów wydawniczych, napisanych recenzji, zorganizowanych spektakularnych wydarzeń, ważnych konkursów czy przeglądów filmowych, zredagowanych numerów czasopism. Nie. Te rzeczy to więzi i relacje, przyjaźnie i dobre myśli. Promocja czegoś ulotnego, jednostkowego, nieśmiałego, skromnego. Takie rzeczy, które są dzisiaj rzadkie – a rzadkie są dlatego, że należą do pięknej sfery bezinteresowności. Nie istnieje żaden pragmatyzm kreowania bezinteresownej troski i dobrego myślenia. Samo bowiem dobre myślenie (jako refleksja, czyli coś więcej, niż tak zwana nauka bądź wiedza) nie jest uznawane za pragmatyczność, nie należy do pożądaných i przynoszących szybki zysk zakresów funkcjonowania współczesności.

„Coś więcej” w historii

Janka interesowały główne trajektorie kształtowania się śląskiej tożsamości, powiedziałabym, że fascynowały i ciekawiły go osoby, które wytworzyły największy potencjał śląskiej dramatyczności. Dla okresu przed drugą wojną światową czołową postacią dla krystalizowania śląskiej identyfikacji (także w silnym sporze!) był Korfanta, a dla okresu po wojnie i komunistycznej Polski – obrazu filmowe Kazimierza Kutza. Dlatego Janek napisał pracę doktorską o filmach Kazimierza Kutza (tytuł dysertacji *Obrazy historii: Śląsk w twórczości Kazimierza Kutza*), a swoją najlepszą książkę poświęcił pomnikowej, ale nie-pomnikowo ujętej i fantastycznie żywej osobie Wojciecha Korfatego. Jestem pewien, że to, co opowiadał Janek o Górnym Śląsku i o Górnoszlązakach, czyniąc to zawsze niespiesznie, jak gdyby klatka po klatce, z pewną manierą flegmatyczności, wręcz żółtowiatości, było za każdym razem stonowane, stosowne i przede wszystkim... obiektywne. Można temu było zawierzyć. Zapisywał swoje prezentacje

górnoszląskiej historii, rozwoju historycznego losu śląskiego delikatnie, niepolemicznie, z wyczuciem, bez toksyn. Nienawidził prawdopodobnie tych śląskich toksyn.

Właśnie obiektywne było to przybliżanie tego, co minęło ku temu, co jest. Wiem, wiem, że istnieją ogromne zastrzeżenia do kategorii obiektywizmu wśród historyków, że to, co obiektywne neguje się ochoczo. Obiektywne – wołaloby wielu – żeby nie istniało. Ale przypomnę tylko słowa, które powiedział Jacques Le Goff, wielki autorytet i znany historyk: „Bezstronność wymaga od historyka wyłącznie uczciwości, obiektywizm – czegoś więcej”. Janek nie tylko miał owo „coś więcej”, dysponował tym „czymś więcej”, posiadał charyzmę tego „czegoś więcej”, ale umiał to także oddać w języku, nie w żargonie, nie w paplaninie akademickiej, lecz w pięknej polszczyźnie. W Polsce wielu historyków, szczególnie tych arcy polskich, ma spore problemy z polszczyzną. Zapisywanie historii (jako ścieżka dla tych, co lubią się mozolić) miało charakter moralny dla Jana F. Lewandowskiego. Zacytuj raz jeszcze Le Goffa: „Jeśli pamięć jest dla władzy stawką w grze, jeśli pozwala na świadome lub nieświadome manipulacje, jeśli podporządkowuje się indywidualnym lub zbiorowym interesom, to dla historii, podobnie jak dla innych nauk, **jedyną normą jest prawda**” (wytluszczenie Z.K.). Wyzwanie prawdy, prawdy wołanie i powołanie było czymś podstawowym dla Janka. Sądzę, że Janek traktował prawdę jako coś, co istnieje (dla wielu skandal, ale prawda ma skandaliczny charakter – albo jej nie ma).

Wielu historyków, może nawet wszyscy historycy, żywi głębokie i pobożne przekonanie, że czym więcej dadzą z siebie, troszcząc się o fakty, tym skwapliwiej Bóg zaopiekuje się historią (nie jako Historią Zabawienie, oczywiście, lecz ich akademicką dziedziną, ich fachem). Korzystam w tej chwili z tezy Edwarda Halletera Carra, który podśmiewa się z metody skądinąd ważnego niemieckiego historyka Leopolda Rankego (1795–1886). Tacy historycy, naganiacze i naginacze tak zwanych faktów, w istocie podstawili historię w miejsce Boga. Mniemają, że to Bóg (nie kto inny, broń Boże!) odpowiednio historię wyłoży, przedłoży, wyjaśni (do końca! ostatecznie! Raz na zawsze!), przepowie, na wszystkie pytania odpowie, a nawet dostosuje losy świata do tego, co historycy w swej dalekowzroczności, uczoności i przenikliwości zapisali w swoich księgach.

Swe nudne deklamacje i publikacje ci historycy traktują poważnie. Zwróćmy na to uwagę. Zastanówmy się nad tym. Wiedzą, że ich wiedza ma polityczne zastosowanie. Że cieszy się na rynku wiedza wzięciem wielkim. Że można skarby historycznej wiedzy zamieniać w prawdziwe skarby i brzęczącą monetę. W każdej takiej pracy historycznej autor wierzy, biedny autor wierzy, że wrócił do Raju, że odkrył początki, że opisał *origines*. Ale niestety: rabatka niedaleko parkingu nie jest bajecznym Edenem, lecz tylko rabatka. Kwestia proporcji albo dobrych okularów. Trudno im się z tym pogodzić tym praco-

witym ludziom z archiwów, próbujemy ich zatem mimo wszystko zrozumieć, a może nawet usprawiedliwić.

Janek nigdy, przenigdy nie mówił źle o nikim. To mnie do niego przekonało. Nie uczoność, albowiem z uczonością już się zetknąłem, uczonością karłowatych ludzi. Gdybyśmy tylko w tym, tylko w tym naśladowali Janka, że mówimy o każdym dobrze, bo dajemy każdemu szansę, tę siedemdziesiątą siódmą, poszlibyśmy wszyscy do nieba i niepotrzebny był nam żaden Śląsk jako miejsce zbawienia. Ostatecznie Górny Śląsk jest tylko jednym z wielu miejsc.

Jak smakuja polne myszy

Janek chciał inaczej. Janek wiedział, że da się inaczej. Pracując uparcie (bo był uparty) w dialogu pamięci z historią. Pracując na styku rodzinnej opowieści, malutkiej aluzji usłyszanej w kuchni i akademickiego dyskursu – a wszystko jak gdyby zanurzone w porywającej filmowej opowieści: rozciągnięte, nie za gęste, z jakąś ciszą w tle albo taką delikatną melodią, którą słyszy niewielu ludzi.

Przypomina mi się w tej chwili relacja Janka o Sowietach, którzy wyzwolili Toszek, Janek pochodził z podtoszeckich Oraczy, zamieszczona w numerze kwartalnika „Fabryka Silesia”, który został w całości poświęcony tematowi Tragedii Górnośląskiej.

Oswobodziciele czerwonarmiści, tłum prawdziwych meşjaszy ze stepów, okupują Toszek, prowadzą w byłym szpitalu psychiatrycznym – jako komendantura wojskowa – obóz NKWD dla wyłapanych mieszkańców z okolic Toszka i więźniów specjalnie przywiezionych (Niemców bądź ludzi uznanych za Niemców, całkowita dowolność). Mężczyźni osadzeni w obozie muszą pracować w polu. Sowietci każą im polykać żywe myszy. Dla zabawy. Musiało to być bardzo zabawne. W ten sposób uśmiercono kilkadziesiąt osób, które się uduśliły gryzoniami. Ciekawe, co myślał ten osadzony w toszcekim obozie profesor Hochschule für Bildende Künste z Dreżna, specjalista od rzeźby gotyckiej, wkładając do ust trzymany za ogon okaz *Apodemus agrarius*. Może miał przed oczami ołtarz Wita Stwosza w kościele mariackim w Krakowie? Właściwie, jeśli chodzi o mnie, a mam niewielkie wymagania co do faktów, lecz ogromne co do rozumienia, wystarczy scena z myszami, żebym mógł odtworzyć sobie całą zdziczałość, wściekłość, absurd, barbarzyństwo, nieludzkość 1945 roku na Górnym Śląsku. Ta bardzo mała, ośmiocentymetrowa mysz zapełnia obraz. Osiem centymetrów myszy bardzo mnie przekonuje.

Łagodniejszy albo łagodliwszy świat

Prof. Robert Traba w inauguracyjnym wykładzie podczas otwarcia Muzeum Śląskiego mówił: „Miarą sukcesu [Muzeum] nie jest odzworowanie idealnego modelu «jak właściwie było». Miarą sukcesu powinna być rzetelność poznawcza, wieloperspektywność świadectw z dawnych epok i kontrowersyjność interpretacyjna skonstruowana tak, by nikt nie czuł się z nowej opowieści wykluczony”. No, właśnie, gdyby tak na serio potraktować słowa prof. Traby, przejąć się nimi, przyjąć je jako manifest, plan, program... Jestem przekonany, że Janek – raczej intuicyjnie – całkowicie zgodziłby się z wywodem prof. Traby. Przecież to były idee przyświecające powstawaniu kwartalnika „Fabryka Silesia”.

Kwartalnik „Fabryka Silesia”, którego Janek był pomysłodawcą i redaktorem, wydawany przez Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach, to w pewnym sensie napisy końcowe życia Janka. Ale wtedy dopiero lepiej go poznałem. A zatem bardzo późno poznałem Jana F. Lewandowskiego. Z całą pewnością za późno – poznałem i pokochałem. Zaprzyjaźniłem się z nim, gdy już właściwie zajmował się przede wszystkim – i jako filmoznawca, i jako historyk regionalista – czymś, co można by nazwać spokojnym kadrowaniem Górnego Śląska. Albo tak jak chce prof. Traba: wieloperspektywnością Górnego Śląska. Trzeba jednak przyznać, że Janka pasja zgłębiania górnośląskich dziejów, szczególnie tych dziejów nowszych po Wielkiej Wojnie 1914 roku, tragicznych i brutalnych



Fot. Agnieszka Sikora

Janek F. Lewandowski (1952-2015) należał do pierwszego składu redakcji „Śląska”; od pierwszego numeru, jako szef działu społeczno-historycznego, przez kilka lat współtworzył pismo. Kiedy postawił przed sobą nowe zadania, pozostał w gronie naszych znakomitych autorów, publikując liczne artykuły.

Zaskoczył nas swoim cichym odejściem, nie byliśmy na nie przygotowani... Jego uśmiech, skromność i wyjątkowa osobowość pozostaną z nami.

KRZYSZTOF KARWAT

Jasiowi Lewandowskiemu

* * *

mówiłem ci:
musisz posprzątać,
uporządkować papiery na biurku,
bo robisz mi bałagan w głowie
i gdy chwytam którąś z twych książek,
to na ich skrzydełkach ulatuje zdjęcie,
nie mogę cię potem złapać

fruwasz po Katowicach,
nikogo nie widzisz
i nikt ciebie nie widzi,
więc nie pozwól,
by nasza historia
pomiałała tobą i mną

prosiłem tyle razy:
zmień okulary,
przystań na chwilę,
weź głębszy oddech,
niech ci ten śląski dym
wgrzyzie się w serce

w Bytomiu, 12 czerwca 2015 roku

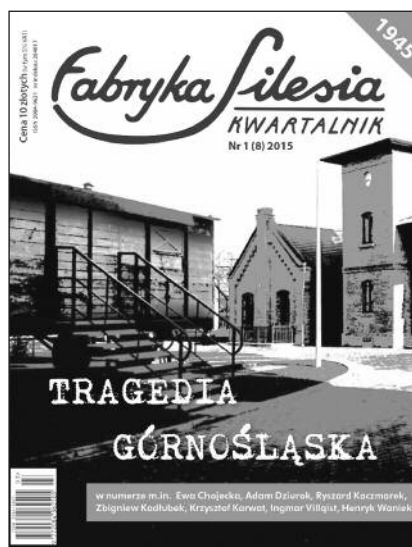
dziejów Górnego Śląska, to mimo wszystko scenariusz o łagodniejszym świecie. To mnie zastanawiało, nawet niepokoiło. Dlaczego on się, do cholery, uśmiecha, gdy mówi o tak bolesnych sprawach? Może zwariował? – mówiłem w myślach sam do siebie. Ale Janek ułaskawiał uśmiechem to, co było, dawne zło. Rozgrzeszał jakieś niewielkie wydarzenia z przeszłości. Chyba umiał przenosić się w czasie. Nie posiadał żadnych pesymistycznych uprzedzeń. Łagodził świat wrzeszczący, zachęcał, żeby jakoś się próbować dyskretnie komunikować w pokawałkowaniu i pomieszaniu ludzkim.

Bez wielkich teorii i głoszenia modnych kazań o tak zwanym łagodniejszym albo „łagodliwszym” (użyjemy pięknego staropolskiego słowa) zamieszkiwaniu świata. Janek po prostu był łagodny. To była jego strategia. Bez srożenia się, bez bojowości, walczyć bez walki. Byli tacy, których to szalenie irytowało. (Ktoś mógłby go podejrzewać o to, że praktykuje zazen). Łagodność Janka była chyba powszechnie znana i doświadczył jej każdy, kto się z nim zetknął (nawet choćby tylko telefonicznie). Łagodność polega na spotkaniu dwu cnot: cierpliwości i wyrozumiałości (które w prędkim świecie mogą uchodzić za pasywność, naiwność, infantylnizm). Z tego również powodu dla wielu był autentycznym mentorem. Nie był ustepliwy, o, na pewno nie – lecz wyrozumiały i powściągliwy, a taki właśnie musi być mentor. I zapewne był nieskończenie dobroduszny (rzadko używany w naszych czasach przymiotnik). Janka maksymalny spokój i koncentracja przechodziły jak iskra na słuchacza i rozmówcę. Gdzie nauczył się tej sztuki koncentracji? Jak posiadał ten dar skupienia? Nie mam niestety pojęcia. Przerzucając stopy pozostałych gazet? Inaczej mierząc czas? Oglądając czarno-białe filmy? Paląc papierosy? Wypijając morze kawy? Tak jakby nieustannie oglądał jakiś jeden kadr. I był zachwycony. W coś wpatrzony, zintegrowany, zrelaksowany. Tak jakby posiadał jakąś niedostępną nikomu wiedzę o przeszłości (ale przecież wiekraczącym poza technologię produkcji filmowej). Jakby wciąż miał za dużo czasu; był jakimś takim niespotykanym już dandysem nadmiaru czasu.

Mała narracja

Janek, jak sądzę, dobrze zdawał sobie sprawę z faktu, że historia (polityczna) jako wielka narracja nie posiada rdzenia duchowej zawartości, że taka historia jest czymś wytrąbionym, huczącym, pompatycznie defilującym, ale nie pouczającym, duchowo bezwartościowym. Dlatego twierdził, że Janek był pionierem śląskiego narratywizmu. Ciągłe przytaczał jakieś mało znane opowieści, niby przypadkowo odgrzebane, choć były zawsze świetnie przemyślane i ilustrowały jakąś epokę lepiej niż grube monografie. Był świadomy swej metody.

Mogłem z bliska obserwować dążność Janka, by przeszłość uczynić czymś, co nie totalizuje i nie jest totalitarne wobec czasu teraźniejszego, wobec życia dzisiaj. Przeszłość to świat tysiąca pomysłów oraz fikuśności – nie bierzmy jej zbyt poważnie, zbyt książkowo, zbyt podręcznikowo, zbyt politycznie. By przeszłość nie stawała się ponurym powtórzeniem minionego czasu, uśmiechnijmy się do niej, pośmiejmy się trochę z niej, bo tworzyli ją ludzie jak my pełni wad, ułomności, zupełnie niedoskonali bohaterzy z cokołów, odpowiedzieli i ma-



drzy ludzie, szubrawcy i święci. Nie jestem pewien, może przypisuję Jankowi myśli, których w ogóle nie myślał, ale wydaje mi się, że Janek, człowiek filmowy, człowiek światowy, stale przemyczał gdzieś tezę, że osłepienie Górnym Śląskiem, a szczególnie jego historią, to zwykłe zamknięcie się i nieszczęście. Najważniejsze, żeby uświadomić sobie, że Górny Śląsk ma nie tylko przeszłość, ale i przyszłość i poważnie zapytać o zmianę i to, co nowe, apologizując bezwzględnie nadzieję i to, co nadejdzie.

W ten naiwny, prostoduszny sposób Janek występował przeciwko nieprzejrzystości spraw śląskich w mniejszych esejach i w większych pracach (ceńlem jego eseje w „Tygodniku Powszechnym”). Zajmowało go i pochłaniało czynienie tak zwanych faktów historii

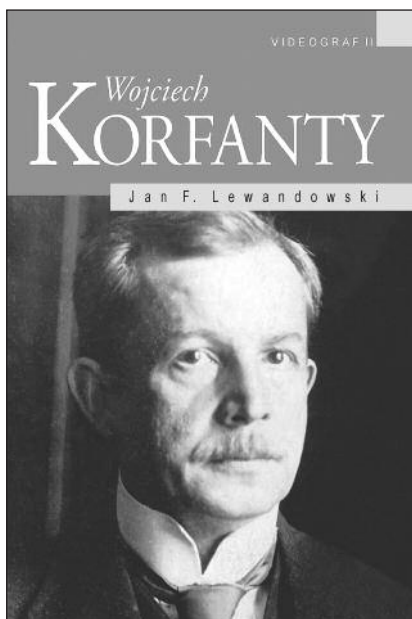
przejrzystszy i mniej naładowanymi emocjami całością. Bez poddawanie czegokolwiek przemocy fałszerstw minionego czasu. Przeszkody, przypadki, niedoręczności wyświetlał i rozświetlał. Jak na seansie w kinie. Pod światło wszystko kładł – żeby był obraz. Nie istnieje bezwzględne działanie, miarkował. Trzeba wierzyć, że czynom zawsze towarzyszy jakiś motyw, czasem ten motyw bywa po prostu głupi, małostkowy, czasem ten motyw to zwykła złośliwość, a kiedy indziej porwy szlachetnego serca.

Historyk regionalny

Można by powiedzieć, że pisał wyłącznie historię regionalną. Nawet wtedy, gdy przygotowywał swoje książki filmowe, tę o Poli Negri albo tę o Kutzu. Kiedy słyszymy frazę „historia regionu” albo „historia regionalna”, to wydaje się nam, że mamy do czynienia z czymś amatorskim, miernym intelektualnie, czymś drugorzędym. Tak jest jednak tylko zazwyczaj w Polsce. Dzieje większych lub mniejszych jednostek terytorialno-ludnościowych mają swoje badania i swoje historyczne publikacje w Europie Zachodniej przynajmniej od lat 60. XX wieku.

Przyznaję, z definicją regionu nie jest łatwo. Region to przede wszystkim ograniczone różnymi kryteriami (geograficznymi, demograficznymi, socjokulturowymi i polityczno-administracyjnymi) terytorium, charakteryzujące się określoną, różną – przynajmniej w wyobraźni jej uczestników – od sąsiednich kulturą, którego mieszkańcy identyfikują się z pewnymi wspólnymi dla nich wartościami, tradycjami i obyczajami – jak się przyjmuje. Ale region to ranga duchowa. Do znudzenia przypominam, że łacińskie słowo *regio* wiąże się ze słowem *rex*, czyli król, czyli region to przestrzeń dobrych relacji jakiejś grupy i szczęśliwego życia, otwarcie na łagodniejszy świat. Na Górnym Śląsku owa *local history* powinna szczególnie być łączona z *family history*.

Najważniejszą książką Janka wpisującą się w regionalną problematykę historyczną jest wydany rok temu *Czas autonomii*. Jeszcze nikt spokojniej nie opowiedział o tak trudnej sprawie – i takim oszczerdym językiem. Nikt też tego nie uczynił dosadniej. „W mojej książce postawiłem sobie zadanie napisania o śląskiej autonomii z okresu międzywojnia w sposób na tyle zajmujący, żeby przestała być pojęciem enigmatycznym. Zamierzałem rozproszyć nieporozumienia [...]”. Jakież to ascetyczne! Cały ten dyskurs, kawałek po kawałku, odsłania zakłamanie miejsca historii, od-



czarowuje. Janek jak zwykle pogodnie i bez nerwów snuje swą opowieść.

Korfanty (jak) żywy

Max Weber powie: „Każda próba zrozumienia rzeczywistości historycznej bez subiektywnych hipotez prowadziłaby wyłącznie do chaotycznych egzystencjalnych osądów niezliczonych odosobnionych zdarzeń”. Przed chwilą mówiłem, że Janek był obiektywny, ale żeby być obiektywnym myślicielem i pisarzem, trzeba poważnie się na subiektywny krok. „Ta książka, mam nadzieję – pisał Jan F. Lewandowski we wstępie do biografii Korfantego – przekonana czytelnika, że potrzebne jest odkrywanie Korfantego na nowo, że tak naprawdę mało go znamy”. Przeświadczenie Janka, że Korfanty, tak już opisany i tak już zawłaszczony, jest mało znaną postacią, to czysty subiektywizm. Z niego zaś wyrasta pasja rekonstrukcji osoby, resuscycji osobowości, która (jak zapowiadał to Roman Dmowski) przewróciła historię górnośląską do góry nogami. Nie jest to przecież opinia

stronnika jakiejś władzy czy sługusa ideologii – gdy mowa jest o tym, że Korfantego za mało znamy, lecz wyraźny bunt kogoś, kto zauważył wyłom – i oślniła go możliwość ożywienia historycznej postaci.

Napisana przez Janka biografia Korfantego w drugim wydaniu wyszła w „marmurkowej serii” PIW. To nie tylko szanowana, prestiżowa seria, ale przede wszystkim galeria niezwykłych ludzi, którzy znacząco wpłynęli na losy świata. Patrząc na moją półkę z „marmurkową serią”: św. Hieronim, Kaligula, Zwingli, Danton, Ludwik XI... I jeszcze wiele, ale obok Nietzschego i cesarza Henryka IV niejaki Korfanty... Janek był prawdopodobnie zdania, że Korfanty został zużyty; nadużyto jego słów, legend, wizerunku, trzeba mu przeto przywrócić krew i kości. Wyciągnął Korfantego z tego ciemnego lochu zawłaszczenia, podporządkowania, doprowadził ku współczesnemu Śląskowi, unikając przy tym naiwnego prezentyzmu. To samo trzeba zrobić z całym Górnym Śląskiem, łagodnie i godnie. I z uwagą czytać przy tym Korfantego.

Spóźniony seans

Dla wielu osób śmierć Janka Lewandowskiego była szokiem. Dla mnie również. Przyjaźniliśmy się przez ponad czterdzieści lat.

Długo zabierałem się do napisania tego tekstu nie przyjmując do wiadomości faktu, że straciłem najlepszego i najstarszego, stażem oczywiście, przyjaciela. Nie chciałbym też, by ten tekst stał się kolejną listą jego dokonani na filmowej niwie, jakich wiele już ukazało się w śląskiej prasie, chociaż muszę o nich wspomnieć.

Zasługi Jasia, bo tak go nazywaliśmy w gronie blisko współpracujących z nim przez lata osób, zarówno w sferze kultury filmowej w Katowicach, jak i wprowadzaniu śląskich tematów związanych z filmem do regionalnej i ogólnopolskiej prasy są niepodważalne. Z wykształcenia był historykiem, z czasem jego zainteresowania coraz bardziej ewoluowały w kierunku śląskiej historii.

Poznaliśmy się, o ile pamiętam, w październiku lub listopadzie 1972 roku, w akademiku Uniwersytetu Śląskiego w Ligocie. Interesowałem się filmem, ale kino nie było moją pasją. Byłem wówczas członkiem zespołu studenckiego radia „Egida”, zajmowałem się sprawami kultury. Pewnego dnia w studiu pojawił się zaferowany szczupły chłopak, który domagał się, by puścić w eter informację o programie DKF-u „Kino-Oko” na bieżący miesiąc. I to natychmiast. Mimo że DKF działał od lat, jakoś o nim nie słyszałem. Okazało się, że kolega Lewandowski już w latach licealnych interesował się filmem, należał nawet do jakiegoś klubu filmowego, a teraz postanowił wznowić działalność podupadłego DKF-u. Mieszkaliśmy w tym samym akademiku i od słowa do słowa umówiliśmy się na spotkanie i rozmowę. Jaś zbierał właśnie ekipę, która mogłaby rozwinąć działalność klubu. Rozmowa była, jak czas pokazał, owocna. Tym bardziej że nie zabrakło w niej argumentów w postaci mocniejszych niż coca-cola trunków. Zresztą sytuacja społeczno-polityczna w Polsce wymagała, by pokonując kolejne przeszkody w drodze do uruchomienia DKF-u, a jeszcze bardziej później, kiedy jego działalność się rozwinęła nie zawsze w kierunku oczekiwanym przez decydentów w sferze kultury, od czasu do czasu ukoić nadszarpnięte stresem nerwy czymś mocniejszym niż coca-cola. Na szczęście nie przeszło to w nałóg.

Potrafił łączyć ogień z wodą. Tak było również w przypadku „Kino-Oka”, który miał dwóch patronów, Socjalistyczny Związek Studentów Polskich i Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Były to tylko szyldy, bo program filmowy klubu

daleki był od oficjalnej linii programowej obu organizacji, czego dowodziły pokazywane filmy i zapraszani na spotkania goście. Szczytem wszystkiego były pokazy filmów, chętnie nam w tym czasie udostępnianych przez konsulata USA w Krakowie. Janek rzadko się denerwował. Z tamtych czasów pamiętam tylko jedno takie wydarzenie. Jako tako znałem angielski więc pojechałem do konsulatu, by załatwić wypożyczenie „Lotu nad kukułczym gniazdem”, a później „Wszystkich ludzi prezydenta”. Wszystko poszło dobrze, a ówczesny konsul USA w Krakowie, p. Beckehazy – o ile dobrze pamiętam nazwisko – oznajmił, że sam przywiezie film na pokaz, a co więcej prelekcję wygłosi goszcząca wówczas w Polsce amerykańska doktorantka. W dniu pokazu mała salka kina „Przyjaźń” licząca około 140 miejsc pękała w szwach. Bramkarze nie mogli sobie poradzić z ciągle dochodzącymi tłumnie widzami, pokaz się opóźnił, aż wreszcie Janek zdenerwowany sytuacją sam bohatercko bronił wejścia usiłując zamknąć drzwi do sali kinowej. Co, jak wiele innych rzeczy, wreszcie mu się udało.

Pokazy amerykańskich filmów, kontakty z konsulatem i wizyta konsula zaskoczyła miejscową SB, przyniosło to dla nas pewne konsekwencje. Dopiero po latach dowiedziałem się, że nasze spotkania i rozmowy z konsulem prowadzone w hotelu „Silesia” zostały w całości nagrane. Ale to już całkiem inna historia.

Konsekwencja, upór i niezwykła pracowitość były cechami, które pozwalały mu realizować swoje, wydawałoby się mało realne w danym momencie, pomysły. Potrafił zamęczyć współpracowników ciągnącymi się do nocy dyskusjami w czasie oficjalnych zebrań czy prywatnych spotkań. Był czasem apodyktyczny, co prowadziło do konfliktów, ale nie nosił w sercu do nikogo urazy. Nie dawał się zawrócić z raz obranej drogi, nie poddawał się zmierzając do celu. Z czasem okazywało się, że przynajmniej część z jego pomysłów przybierała realne kształty, chociaż ich owoce rodziły się w bólach. Tak było z ideą powstania Śląskiego Towarzystwa Filmowego, która zakiełkowała jeszcze pod koniec lat 70., miesięcznika filmowego „Premiera” i Centrum Kultury Filmowej w kinie „Kosmos”. Ta ostatnia instytucja chyba nawet nie zdaje sobie sprawy komu zawdzięcza powstanie, bo na swoich stronach nie zamieściła nawet informacji o śmierci swojego założyciela. No i w końcu „Fabryka Silesia”, jego ostatnie ukochane dziecko. Każda z tych inicjatyw to odrębna, godna opowiedzenia historia. A do tego jego publicystyka historyczna ze znakomitą, zasługującą na szerszy rozgłos, monografią Wojciecha Korfantego na czele, i filmowa, również najcieśniej inspirowana historia.

Myślę, i nie jest to chyba nadużyciem, że skalę jego inicjatyw związanych z rozwojem kultury filmowej na Śląsku śmiało można porównać do tego, co dla Śląska zrobił Kazimierz Kutz swoimi filmami.

EDWARD KABIESZ



Z ANDRZEJEM PILOTEM,
prezesem zarządu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach
rozmawia JOLANTA KARMAŃSKA



Od lewej: Andrzej Pilot, prezes zarządu WFOŚiGW w Katowicach oraz hm. Andrzej Lichota, kreator polityki ekologicznej Chorągwi Śląskiej w Harcerskim Ośrodku Wodnym w Poraju.

Splącamy dług środowisku...

– Największym trucicielem środowiska w Polsce, na Śląsku w szczególności, był do niedawna przestarzały przemysł. Dziś najbardziej trują nas skażonym powietrzem miasta i my sami siebie nawzajem. Poradziliśmy sobie z wysokimi kominami. Wobec niskiej emisji zanieczyszczeń, pochodzących z domowych pieców, lokalnych kotłowni i transportu jesteśmy bezsilni?

– Dla Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach likwidacja niskiej emisji zanieczyszczeń zawsze była ważnym do rozwiązania problemem. Uczestniczyliśmy dotąd w łagodzeniu tego zjawiska, na miarę naszych możliwości. Katowicki Fundusz jako pierwszy dofinansowywał przez lata wymianę przestarzałych palenisk w domach i mieszkaniach osób fizycznych na bardziej ekologiczne urządzenia grzewcze. Były to jednak przedsięwzięcia jednostkowe, punktowe. Nie wszystkich było stać nawet na dofinansowywaną, ekologiczną inwestycję. Nie było też i brak nadal regulacji prawnych, hamujących choćby spalanie mialu i mułów węglowych, a nawet śmieci służących za opał.

W 2002 roku nasz WFOŚiGW jako jedyny, wyszedł z kolejną inicjatywą wspierania programów ograniczania niskiej emisji w skali obszarowej, np. w dzielnicach peryferyjnych domów jednorodzinnych. Pierwsze z tej propozycji skorzystały Tychy. Wkrótce też inne śląskie gminy. W ostatnich latach poszerzyliśmy formułę wspierania zadań gminnych, związanych z likwidacją niskiej emisji zanieczyszczeń powietrza nie tylko pyłem, ale i i gazami. To umożliwiło wsparcie dla większej palety ekologicznych źródeł ciepła. W praktyce nie tylko ich wymianę. Również poprawę ich efektywności energetycznej, oszczędzanie paliw, pełną termomodernizację budynków i szersze wykorzystywanie odnawialnych źródeł energii.

– I dalej problem wydaje się nierozwiązywalny. Świadczą o tym ogłaszane w sezonach grzewczych alarmy smogowe w miastach i raporty europejskie, potwierdzające zły stan powietrza nie tylko na Śląsku czy w Krakowie...

– Wkrótce w ograniczaniu niskiej emisji możliwy będzie przełom. Parlamentarzyści zgodnie pracują nad tzw. ustawą anty-smogową, która zezwoli samorządom na regulowanie tej kwestii na swoich obszarach, sto-

sownie do warunków i wymagań społecznych. Są na ten cel pieniądze. Gwarantuje jej unijna perspektywa finansowa dla Polski na lata 2014-2020 oraz presja obywatelska, by ten problem rozwiązać. Nie tylko w Krakowie czy na Śląsku, gdzie w sezonie grzewczym trudno oddychać.

Raporty światowe i europejskie nie kłamią. Potwierdziła to kontrola NIK-u, badająca zanieczyszczenie powietrza w miastach polskich w porównaniu z europejskimi. Powołała się na dane Europejskiej Agencji Środowiska.

Co z nich wynika? W pierwszej dekadzie miast Europy, z najbardziej zanieczyszczonym powietrzem, znalazło się aż sześć z Polski, w tym cztery ze Śląska. To w Krakowie, Nowym Sączu, Zabrze, Gliwicach, Katowicach, Sosnowcu stwierdzono największą ilość dni z dobowym przekroczeniem pyłu zawieszonego PM 10 i jego najgroźniejszej, prawie niewidzialnej frakcji PM 2,5. To przecież źródło związków rakotwórczych, z najgroźniejszym dla zdrowia, benzo-a-pirenem na czele.

W województwie śląskim nie tylko te miasta zasługują na to wątpliwe wyróżnienie. Wśród nich jest także Dąbrowa Górnicza, Rybnik czy Żywiec oraz wiele innych gmin aglomeracji. Według oceny NIK, w ostatnich latach w Polsce normy pyłu PM 10 zostały przekroczone w 75 proc. stref, w których bada się jakość powietrza. Jeszcze gorzej było w przypadku obecności w powietrzu benzo-a-pirenu, którego przekroczenia odnotowano w 90. proc. stref badawczych. Z wszelkimi konsekwencjami dla naszego zdrowia.

– Dobra unijna perspektywa finansowa dla Śląska wystarczy, by rozwiązać problem czystego powietrza w naszym regionie?

– Jako partner samorządu województwa śląskiego jesteśmy do tego priorytetowego zadania w naszej skali dobrze przygotowani. Wspólnie z ministerstwami: gospodarki oraz infrastruktury i rozwoju regionalnego opracowaliśmy program niskiej emisji w śląsko-zagłębiowskich zespołach miejskich. Obecnie pracujemy nad porozumieniem z Urzędem Marszałkowskim, które umożliwi nam ponowne wprowadzenie dofinansowywania do wymiany starych urządzeń grzewczych na bardziej ekologiczne w domach jednorodzinnych. Tej możliwości nie uwzględniają programy unijne.

Jesteśmy też, jako jedyny w kraju Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, instytucją wdrażającą w województwie śląskim unijny Program Operacyjny „Infrastruktura i Środowisko” na lata 2014-2020. Przewiduje on m.in. działanie pn. „Kompleksowa likwidacja niskiej emisji na terenie konurbacji śląsko-dąbrowskiej”. W jego realizacji będziemy współpracować, jako partner samorządów, zarówno z miastami, gminami, powiatami i przedsiębiorcami z obszaru Subregionu Centralnego Województwa Śląskiego. Zgodnie ze strategią tzw. ZIT-ów czyli Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych.

– Na czym polega ich rola?

– To nowe narzędzie prawne Wspólnoty Europejskiej dla programów unijnych na lata 2014- 2020. Z jednej strony ma ono pomagać w bardziej precyzyjnej diagnozowaniu problemów gospodarczych, środowiskowych, klimatycznych czy społecznych na obszarach, objętych programami unijnymi, z drugiej zaś wspólnie, kompleksowo je rozwiązywać. To ważne w ochronie powietrza, które nie uznaje przecież żadnych granic. Dotyczy to m.in. Śląskiego Subregionu Centralnego, gdzie likwidacja niskiej emisji jest jednym z priorytetów samorządu, objętym Programem Operacyjnym Województwa Śląskiego.

Dlatego aktualny program ochrony powietrza dla województwa śląskiego uwzględni wszystkie niezbędne wymagania unijnych dyrektyw, sprzyjających poprawie jakości powietrza nad Śląskiem we wszystkich jego elementach. Zarówno w przypadku zanieczyszczeń pochodzących z tzw. niskiej emisji, z urządzeń małej mocy, z przemysłu czy transportu. Uwzględni również działania organizacyjne, choćby w komunikacji czy korektach planów przestrzennych.

– O czyste powietrze będzie teraz walczyć wielka śląska koalicja?

– Na to wygląda. Z takim apelem, o taką koalicję zwrócił się podczas lipcowej pielgrzymki mężczyzn i młodzieńców do Piekar Śląskich Wiktor Skworc, metropolita katowicki. Apelował nie tylko do obecnych, ale wszystkich mieszkańców regionu, by tworzyli koalicję na rzecz Górnego Śląska. Nie tylko w sferze jego przebudowy strukturalnej, ale także kulturowej i ekologicznej. W tej ostatniej sferze, jak mówił, potrzeba współpracy wszystkich podmiotów życia społecznego. Rządu i samorządów oraz zwykłych obywateli. Także właścicieli nieruchomości, jeśli ich domowe piece zatrują innych.

Jestem za taką koalicją!

– Które z problemów ekologicznych, oprócz jakości powietrza, są dla WFOSiGW w Katowicach priorytetowe?

– Nie hierarchizujemy ich. W ochronie środowiska nie ma spraw ważnych i mniej ważnych. Wszystkie są ze sobą powiązane. Ziemia, woda, powietrze, tereny zdegradowane czy zielone to przecież system naczyń połączonych. Dofinansujemy w pierwszej kolejności te, które przynoszą największy efekt ekologiczny. I jak w przypadku zadań dofinansowywanych przez Unię Europejską, wymagają wkładu własnego.

– Niezmiennie zawsze trafioną inwestycją jest edukacja bez granic... W zagrożonym świecie także ta ekologiczna...

– Edukacja ekologiczna, profilaktyka zdrowotna, promocja ochrony środowiska to nasze przysłowiowe oczko w głowie. Widzimy, jakie przynoszą efekty. Nie do przecenienia. Na przykład pozarządowe organizacje ekologiczne przygotowują, z naszym wsparciem, niezwykle atrakcyjne programy. Do udziału w nich ani najmłodszych, starszej młodzieży czy często dorosłych nie trzeba namawiać.



Harcerze wodniacy chwilę przed wypłynięciem w... rejs szkoleniowy po zalewie porajskim

Z ich ogromnym udziałem spłacamy przecież dług zaciągnięty od środowiska naturalnego. Dług, którym obciążyliśmy przyszłe pokolenia.

– Młode pokolenie płaci największą cenę za życie w skażonym środowisku...

– Mamy to na uwadze od początku 23-letniej działalności Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska. Od początku też przeznaczamy spore pieniądze na edukację ekologiczną, często łączoną z profilaktyką zdrowotną. W ubiegłym roku w zielonych szkołach, koloniach, obozach, zimowiskach, profilaktycznych turnusach leczniczych uczestniczyło 28 tysięcy dzieci. Przenaczyliśmy na ten cel blisko 6 mln złotych. W tym roku na profilaktykę zdrowotną czyli wyjazdy dzieci do czystych miejsc w kraju, połączone z edukacją zaplanowaliśmy 6,5 mln złotych.

Często bywam w terenie. Latem odwiedzam miejsca, w których najmłodszy odpoczywają aktywnie, uczą się ekologii, zdrowego odżywiania i wielu innych proekologicznych zachowań praktycznych. Cieszę się, gdy zaskakują mnie swoją wiedzą, pomysłami, kreatywnością, energią i radością z tego właśnie powodu.

Ostatnio odwiedziłem kolonie, organizowane m.in. w Istebnej przez Fundację na Rzecz Zdrowia Dzieci i Młodzieży Regionu Śląsko-Dąbrowskiego im. Grzegorza Kolosy. Dofinansujemy tę fundację od ponad 20 lat. Gości tam zawsze sporo dzieci z najuboższych rodzin. Serce rośnie, gdy się patrzy, jak bardzo cieszą je ekologiczne kolonie.

Przykładem atrakcyjnego, aktywnego i ekologicznego wypoczynku letniego, połączonego z niekonwencjonalną edukacją są od lat obozy np. w Harcerskim Ośrodku Wodnym w Poraju. Harcerze-ekolodzy, harcerze-wodniacy doskonalą swoje umiejętności w żeglowaniu, pływaniu, wędrowce. Uczą się zdrowego odżywiania (innego na obozie nie ma!), ale też sortują śmieci, wywożą je poza obręb lasu, oczyszczają zbiorniki wodne, uczestniczą w warsztatach, zawodach, spotkaniach i konkursach ekologicznych.

Edukacja, profilaktyka zdrowotna i promocja ekologii jest integralną częścią misji katowickiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. I naszej troski.

– Dziękuję za rozmowę.



Jest szansa na czystsze powietrze w województwie śląskim?



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Zdjęcia: Witold Kociński



Zbiornik zaporowy w Centurii, kiedyś zwany Parzochem

U źródeł Centurii

Jedną z najczęstszych tras wycieczkowych mieszkańców naszego regionu jest zaciszna, ale niezwykle malownicza Centuria, znana głównie jako harcerska baza sosnowieckiego hufca i wyjątkowo kojące Hutki-Kanki. W okalających drogę lasach poziomkowe i jagodowe pola zdają się nie mieć końca, grzybiarze są tu zawsze usatysfakcjonowani a miłośników wędkowania kuszą kręte zakola zbiornika zaporowego, kiedyś zwanego Parzochem, w którym zadomowił się m.in. bardzo rzadki minog strumieniowy. To właśnie tutaj, w tej niewielkiej osadzie bierze początek prawobrzeżny dopływ Białej Przemszy – Centuria. Jej źródła stanowią unikatowy zespół zachowanych w stanie naturalnym wypływów wód podziemnych. Źródła położone są na wysokości około 345 m n.p.m, w głębokiej na około 20 m dolinie porośniętej lasem sosnowym, która wiosną rozkwita błękitno fioletowymi zawilcami, wypełniając kwiecistym dywanem oba brzegi wgłębienia. Woda źródłana (w ilości 20–70 l/s) wypływa z grubej warstwy piasków, które są efektem zasypiania obniżeń u podłoża wapiennej kuesty w plejstocenie (cyt. za dr. A. Tycem, Uniwersytet Śląski, 2007 r.). Stąd rzeka Centuria wyrusza w podróż na południe.

Jeszcze do niedawna to dobrze ukryte wśród podmokłych, niewielkich rozlewisk miejsce, chronione prawem pomnika przyrody nieożywionej, zdawało się być niedostępne i bezpieczne. Dlatego też właśnie tutaj naukowcy z Uniwersytetu Ślą-

skiego z pomocą Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Katowicach postanowili przenieść unikatową w skali światowej warzuchę polską. Dotychczas zdobiła ona obszary źródłowe w rejonie Pustyni Błędowskiej i Olkusza, ale w wyniku prowadzonych tam przez Kopalnię Piasku Podsadzkiowego Maczki-Bór prac górniczych nastąpiło osuszenie terenów, co doprowadziłoby zapewne do całkowitej zagłady tej niezwykle rośliny. Na szczęście została ona w odpowiednim momencie introdukowana na stanowiskach zastępczych.

Jednym z nich były właśnie źródła Centurii, gdzie warzucha polska poczuła się znakomicie, o wiele lepiej niż na przykład w Złotym Potoku w pobliżu źródeł Elzbie-



Przydrożna murowana kapliczka

O urokach Jury Krakowsko-Częstochowskiej nie trzeba już nikogo przekonywać. Rozkwita sława Szlaku Orlich Gniazd, jego zamków, pałaców i ruin średniowiecznych warowni począwszy od magicznego Olsztyna pod Częstochową przez urokliwy Mirów i Bobolice, malowniczy Ogrodzieniec, odzyskujące swój blask Smoleń i Rabsztyn po osławione majestatyczne zamczysko w Pieskowej Skale, czyniąc z dawnych granic Królestwa Polskiego (za panowania Kazimierza Wielkiego) jedno z najpiękniejszych miejsc w Polsce. Historia przeplata się tutaj z niezwykłymi okazami, odkrywającymi minione epoki geologiczne. Nie brakuje tu także cudów natury, które błąkają się pośród niepowtarzalnych ostańców, zaskakując swą niezwykłą urodą a niejednokrotnie unikatowością.

ty i Zygmunta. Monitorowane przez wiele lat przez naukowców z UŚ stanowisko napawało dumą ich twórców. Radość nie trwała jednak długo. W lipcu 2013 r. pojawiło się zagrożenie, którego precyzyjna nauka nie była w stanie przewidzieć. Bezmyślna i zuchwała arogancja wszędobylskich amatorów quadów, którzy dla ułatwienia sobie przejazdu przez rozlewisko „uporządkowali” powalone gałęzie i konary, na których beztrudno rozmnażała się warzucha. Zniszczenia dopełnili pseudo-turyści, zdeptujący resztki rośliny, usiłując, ku radości swoich pociech, z pływaczki stworzyć zapory i tamy. Zniknęły krzewiaste wierzby, lany mięty długolistnej i wiele gatunków rzadkich mchów. Rośliny właśnie kończyły kwitnienie i zaczynały owocować...

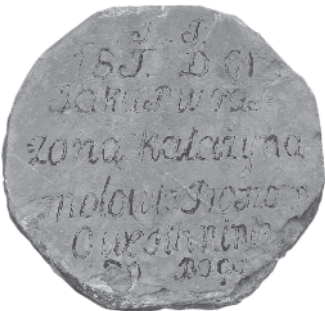
Quadry i rajdy motocyklowe są nie tylko utrapieniem dla wszystkich, którzy w poszukiwaniu spokoju wynajdują miejsca (zdawałoby się) niedostępne, stały się także zagrożeniem dla zwierząt leśnych i wędrujących szlakami turystów. Niestety doświadczyliśmy (i to niejednokrotnie) skutków tych szaleńczych rajdów, ratując się na wąskich ścieżkach ładowaniem w kolczastych jeżynach...

20 grudnia 2013 r. Rada Miejska w Łazach ustanowiła pomnik przyrody pod nazwą: „Zespół źródeł rzeki Centurii zlokalizowany w miejscowości Hutki-Kanki, Gmina Łazy”. Uchwała ukazała się w Dzienniku Urzędowym Województwa Śląskiego 31 grudnia 2013 r. Celem ustanowienia pomnika przyrody – jak piszą radni – jest ochrona i zachowanie stanowiska o szczególnej wartości przyrodniczej, krajobrazowej i dydaktycznej, między innymi ze względu na obecność endemitu warzuchy polskiej *Cochlearia polonica*. W obrębie pomnika przyrody

wprowadzono zakazy i ograniczenia. Czy to wystarczy?

Królestwo buków

Opuszczamy malowniczą Centurię i zmierzamy w kierunku jedynej w okolicy niewielkiego, porośniętego lasami wzgórza. To góra Chełm. Zanim jednak dobrniemy do zabudowań Hutek-Kanek, nie sposób pominąć przydrożną murowaną kapliczkę. Nad szklano-drewnianymi drzwiami uwagę przykuwa niezwykle napis na owalnej wapiennej tablicy:



J.J. 18 J.D. 61
Jakub w ras =
= żona katażyna
molowie proszom
O weschninie Do Boga

Ufundowali ją w 1861 r. Katarzyna i Jakub Molowie, właściciele młyna wodnego na rzece Centurii. Byliśmy w tym miejscu kilkadziesiąt razy. Kapliczka jest zawsze uporządkowana, przed drzwiami stoją kwiaty i znicze. Jeszcze kilka lat temu metalowa tablica, informująca, że jest to „obiekt zabytkowy. Pod ochroną Ministerstwa Kultury i Sztuki. 1969 i należy otoczyć go opieką”, widniała na bocznej ścianie kapliczki. Dziś spoczywa oparta na ziemi, zarzewiała, pocięta, z ledwo czytelnym napisem, niemo domaga się powrotu na swoje miejsce.

Hutki-Kanki (kiedyś: Chutki, Hutki, Kanki) pod koniec XVIII w. były własnością Kazimierza Szembeka, generała adiutanta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. W 1791 r. było tu 12 domów (w tym młyn) i 79 mieszkańców (43 kobiety). Dziś domów wprawdzie przybyło, ale w większości są to letniskowe dachy a rdzennych mieszkańców zdaje się być mniej niż w XVIII w. Pochodzenia nazwy wsi wiążano z kuźnicami, które nazywano niegdyś „hutkami”. Przed wejściem na szlak wiodący na szczyt góry Chełm (440 m n.p.m) wita turystów wielowiekowa lipa i umieszczona na niej drewniana kapliczka z figurką Maryi. Odbywają się tu nabożeństwa majowe, do kościoła w Chechle dzieli mieszkańców kilkanaście kilometrów jazdy samochodem. Pieszko, czerwonym szlakiem droga jest trzykrotnie krótsza. Urokliwa, piękna i malownicza. To część szlaku zwanego „Szwajcarią zagłębiowską”. Wiedzie on przełomem Białej Przemyszy. Biorąc początek u źródeł Centurii zmierza ku perle Jury – Pustyni Będowskiej, po drodze gości w niezwyklej dolinie w Okradzionowie, aby spocząć w urzekającym (szczególnie teraz, po renowacji) Sławkowie. Zachęcam wszystkich do tej pełnej niezapomnianych wrażeń i niepowtarzalnych widoków wycieczki.

Zatrzymajmy się jednak na dłuższą chwilę w utworzonym w 1957 r. rezerwacie „Góra Chełm”. Na dwunastu hektarach wapiennych wzgórz rozciąga się czarowny 200-letni las bukowy opasany stuletnim borem sosnowym. Zginąć tu nie sposób, zbrocze południowe i zachodnie jest jasne i przejrzyste, opanowała je bowiem buczyna naskalna, natomiast zbrocze północne – gęste, ciemne, wręcz ponure porasta zwarta buczyna sudecka, która dodaje gęstwinie nutę tajemniczości. Na szczycie wzniesienia zachwycają skałki o zaskakujących formach, poaranie szczelinami i spękaniem, godzinami można podziwiać zachowane ślady muszli czy glonów, przekroje talerzy gąbek...



Stąd rzeka Centuria wyrusza w podróż na południe

Siedem dużych i ponad dziesięć mniejszych ostańców malowniczo wtapia się w unikatowy krajobraz. Tutejsza roślinność to raj dla oczu laików a dla znawców prawdziwe eldorado. Stwierdzono tu występowanie 221 gatunków roślin naczyniowych, w tym 25 gatunków chronionych, m.in.: widłak goździsty, rojnik pospolity, bluszcz pospolity, paprotka zwyczajna, dziewięciśń beżłodygowy, śnieżyczka przebiśnieg, lilia złotogłów, wawrzynek wilczełyko i storczyki. Zachwycają majowe konwalie, różnorodne gatunki bluszczy, marzanka wonna, kalina koralowa, kopytnik pospolity...

Zwierzęta także czują się tu znakomicie, świadczą o tym m.in. liczne lisie nory. Zachowując obowiązującą w rezerwacie ciszę, można podglądać tu stada płochliwych saren, rozbawione zające, gromady jaszczurek zwinek a wysoko nad głowami uwijające się czarne dzięcioły, dudki, gołębie siniaki, szpaki, kawki, zięby, sikory, myszołowy a nawet puszczyki.

Podobnie jednak jak źródła Centurii i zadowoniona tam warzucha polska, rezerwat także przeżył swój dramat. Potężny pożar w 2003 r. strawił znaczną jego część, niszcząc mnóstwo gatunków ruina, w płomieniach zginęło wiele bezkręgowców, grzybów i mikroorganizmów, nie obronił się młody drzewostan. Wiele lat musi upłynąć, aby natura choć częściowo odrobiła straty.

Nie pomogą uchwały, przepisy, tablice i ostrzeżenia, jeśli zabraknie zdrowego rozsądku, dlatego tak bardzo powinniśmy dbać o edukację ekologiczną od najmłodszych lat, ucząc już od przedszkola szacunku i poszanowania dla natury, która dzieli się z nami swoimi dobrami bezinteresownie, zapewniając nam spokój, ukojenie i radość, wystarczy tę hojność odwzajemnić.

MARIA SZTUKA



Góra Chełm opasana stuletnim borem sosnowym



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Orle Gniazdo obok tajemnego zegara

Jeśli nie lubicie dzikich tłumów na szlakach a kochacie Jurę Krakowsko-Częstochowską z jej Orlimi Gniazdami i biejącymi w słońcu ostańcami, tworzącymi rozbudzące wyobraźnię skalnymi miasteczkami, bramami, oknami, tajemnymi przejściami, jaskiniami, lubicie wygodne siedziska i ostre kominy to musicie jechać do Smolenia, w pobliżu pięknie odnawianej Pilicy, a stamtąd już spacerem do jednego z najczarowniejszych miejsc na Jurze – do Zegarowych Skal w Dolinie Wodącej, jej nazwa sugeruje, że kiedyś musiała płynąć tutaj rzeka. Przekonacie się, że to raczej niemożliwe...

Trzeba się spieszyć, gdyż prace remontowo-konserwatorskie na wzgórzu zamkowym finiszują i we wrześniu smoleńska twierdza zostanie oddana we władanie turystom. Zjadą się tłumy, bo już prezentuje się rewelacyjnie i stanie się niewątpliwie konkurencją dla pobliskiego „Ogrodzieńca” w Podzamczu, z pewnością najpiękniejszego na Jurze, ale pozbawionego dawnego uroku przez nachalną komercjalizację...

Zamek w Smoleniu zbudowano w połowie XIV w., za czasów króla Kazimierza Wielkiego, który zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną. Fundatorem wiekowej budowli był najprawdopodobniej Otton z Pilczy herbu Topór. Pierwszy

zamek składał się z murów obwodowych biegnących wokół skalnej platformy, budynku mieszkalnego we wschodniej części i cylindrycznej wieży (stołpu). Wejście do stołpu znajdowało się na wysokości kilku metrów – dzisiejsze wejście na poziomie gruntu powstało znacznie później.

Następnie dobudowano zamek dolny. Wjeżdżało się do niego przez zachowaną do dzisiaj bramę, w której znajdują się widoczne wgłębienia służące do spuszczenia brony. Elżbieta Granowska (III żona króla Władysława Jagiełły) lub jej syn Jan, protoplasta rodu Pileckich dobudowali zachodnią część zamku dolnego połączoną z zamkiem górnym murem biegnącym po skale. Zachowały się pozostałości bu-

dynku mieszkalnego z oknami i bramą. Zwiedzając średniowieczne zabytki musimy pamiętać o tym, że przetrwały solidne mury, natomiast drewniane przejścia, schody, pomosty, dachy zamieniły się w pył. Niektóre z tych drewnianych elementów mniej lub bardziej udatnie odtworzono. Wzmocniono mury, podwyższono wieżę, z której będzie można podziwiać okolicę, w tym celu wybudowano schody, powstały krużganki od strony zachodniej. Zamek zaczyna przypominać czasy świetności, jak tu powiadają: wraca do łask. Pierwsza pewna wzmianka o dostojnej budowli pochodzi z roku 1394. Z bogatych dziejów zamku warto odnotować fakt, że w latach 1492–1515 przebywał tu Biernat z Lublina, który pełnił funkcję kapelana kaplicy zamkowej oraz prywatnego lekarza i sekretarza Jana Pileckiego. W listach bardzo chwalił pobyt tutaj i podziwiał bogactwo biblioteki zamkowej. Na początku XVII w. władarz zamczyska Wojciech Padniewski zamieszkał we dworze u stóp twierdzy, a następnie postanowił przenieść się (ok. 1610 r.) do Pilicy, gdzie wybudował nową, bardziej okazałą siedzibę, tym samym rozpoczął się koniec wspaniałości Smolenia. Jego los przypieczętowali Szwedzi – dewastując w 1655 r. tę perłę polskiej architektury.

Od dziecka darzyłem zamek w Smoleniu wielkim podziwem, przemawiał do młodej wyobraźni jak żadne inne Orle Gniazdo. Rodzice także pokochali to tajemnicze miejsce i często przyjeżdżaliśmy,

Zdjęcia: Witold Kociński



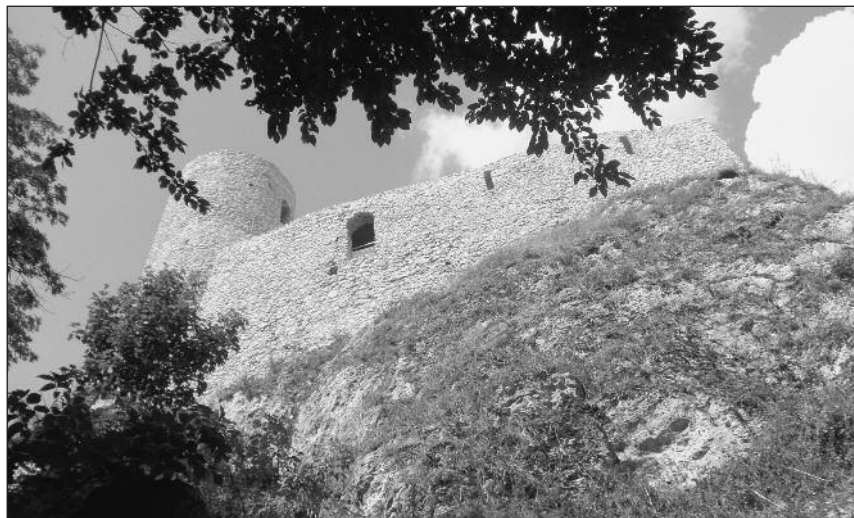
Zegarowe Skály pięknie jaśnieją w słońcu

zwłaszcza w maju, na pikniki (wówczas się nie zasmradzało okolicy grillowaniem) – obowiązkowo były jaja na twardo, suszona kiełbasa, pierwsze pomidory i masło w stoju z wodą! Pieczywo kupowało się po drodze, w jednej ze słynnych wówczas prywatnych piekarni, na przykład u Pichlaka w Siewierzu. Jeździło się wtedy przez Zawiercie, dzisiaj przez Niegowonice – trasa ładniejsza i spokojniejsza.

Najbardziej intrygowała mnie znajdująca się na zamkowym dziedzińcu studnia, którą wykuli ponoć jeńcy tatarscy. Jej głębokość miała wynosić według jednych źródeł 200 metrów a według innych – 100. Jaka jest prawda nie wiemy – możemy jedynie snuć domysły, obecnie studnia jest zasypana do głębokości 26 metrów. Tato opowiadał o lochach, o więźniach, których nigdy nie wyciągnięto na powierzchnię, o ukrytych w studni skarbach i zbójcach, którzy znajdowali w niej schronienie przed karzącym ramieniem sprawiedliwości... i o szkieletach tych, co chcieli te bogactwa wydobyć. Podobno do dzisiaj pilnują skarbów i odstraszają śmiałków dzwoniąc piszczelami. Były też opowieści o podziemnych przejściach łączących to miejsce z innymi warowniami na Szlaku Orlich Gniazd.

Wiele razy byłem na smoleńskim zamku, ale po raz pierwszy poszliśmy na piękny spacer do Doliny Wodącej. Już na początku wędrowki zajaśniały w słońcu Zegarowe Skały. Ich dostojenstwo, powalające piękno, genialnie wkomponowane Boską ręką w jurajski pejzaż, po prostu wzrusza. Podejście nie jest łatwe, ale trud opłaca się z nawiązką. Nie tylko skałki budzą zachwyt perfekcją „Rzeźbiarza”, ale i ukryte w nich jaskinie. Najślawniejsza z nich to Jaskinia Zegarowa (Zegar). W niej, w wigilię Bożego Narodzenia oraz w Noc Świętojańską, słychać bicie zegara, od którego pochodzi nazwa skał. Najwyższa z nich – Grodzisko Pańskie – ma wysokość ok. 480 m n.p.m. Na przełomie XIII–XIV wieku w obrębie skał istniał gród, którego mieszkańcy trudnili się metalurgią, kowalstwem i rogownictwem, gród ten ponoć został zniszczony w wyniku pożaru. Wiemy też, że w XVII wieku działała tu nielegalna mennica... Warto o tym pamiętać, kiedy przysiadzimy, by odpocząć w kręgu skał, tworzących naturalne fortyfikacje.

Wracając do Smolenia przytoczę słowa burmistrza Pilicy, Artura Janosika: *Prace na terenie zamku w Smoleniu trwają już od 2012 roku. Obecnie jest to czwarty, ostatni etap renowacji. W ramach niego tworzone są ścieżki oraz parking. Wstawione zostaną również kute bramy do zamku. Przyznajmy szczerze: do tej pory zamek w Smoleniu nie był przystosowany do turystycznego ruchu. Chociaż na terenie zamku w Smoleniu wszędzie witają nas zakazy wstępu, to nie zniechęcają one tu-*



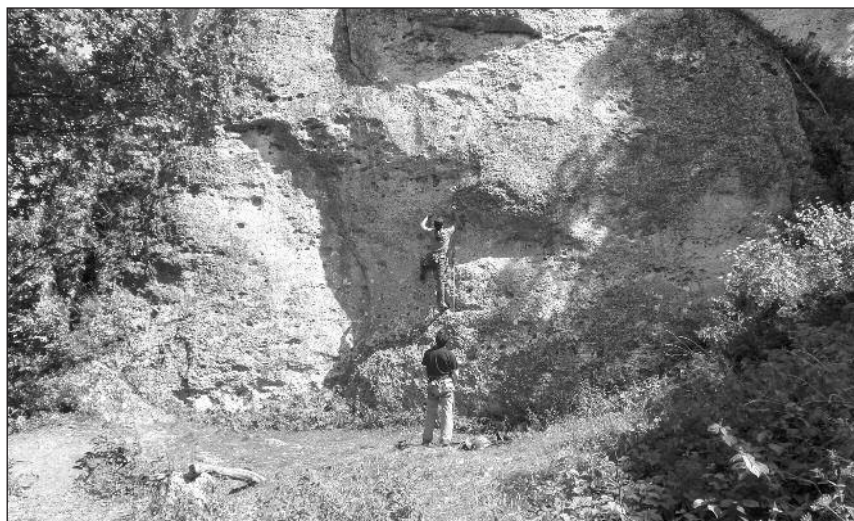
Zamek w Smoleniu zbudowano w połowie XIV w.

rystów do zwiedzania tego obiektu. W weekendy można tam spotkać sporo ludzi, którzy chcą zobaczyć zamek oraz skorzystać z jego największej atrakcji – punktu widokowego. Przypomnijmy jednak, że takie zwiedzanie jest nielegalne.

Ma też zamek w Smoleniu swoje jak najbardziej współczesne tajemnice. Rozwiązuje je prokuratura. Miało tu dojść, jak donosi Dziennik Zachodni, do niedopełnienia obowiązków przez pracowników Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Katowicach oraz Urzędu Miasta i Gminy w Pilicy, a chodzi w tym przypadku o możliwość nieprawidłowego nadzoru nad całą inwestycją i poświadczenia nieprawdy w dokumentacji odbioru prac konserwatorskich. Śledztwo ma również wyjaśnić czy firma, która realizowała prace konserwatorskie, dopuściła się oszustwa, przedstawiając nieprawdziwe dokumenty dotyczące kosztu realizacji prac. Burmistrz Pilicy Artur Janosik podkreśla, że do Urzędu Miasta i Gminy zwrócono

się o dokumenty dotyczące prac wykonanych w Smoleniu w latach 2012–2013. – Nie mam w tej chwili żadnych przesłanek, by wszcząć postępowanie wyjaśniające w urzędzie. O tej sprawie też niewiele mogę powiedzieć, ponieważ w poprzedniej kadencji nie byłem burmistrzem – przypomina Artur Janosik. Również były burmistrz Pilicy Michał Otrębski w rozmowie z Dziennikiem Zachodnim przyznaje, że jest zaskoczony całą sprawą. – O śledztwie dowiedziałem się przez przypadek, ponieważ nie pracuję już w Urzędzie Miasta i Gminy w Pilicy. Wiem, że CBA sprawdzało dokumenty dotyczące renowacji zamku w Smoleniu. Zdaję sobie sprawę z tego, że śledztwo dotyczy działań, które podejmowałem na stanowisku burmistrza, ale mam czyste sumienie – podkreśla Michał Otrębski. Oby tę niemiłą sprawę wyjaśniono i zamknięto jak najprędzej...

WITOLD KOCIŃSKI



Na skalną wspinaczkę trafili tu prosto z Hiszpanii



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Sezon ogórkowy – ciąg dalszy

KRZYSZTOF KOŚCIŃSKI

W poprzednim numerze wykorzystując prawa sezonu ogórkowego, pogrzebałem trochę w bazie Samorządowców 25-lecia, którą mam przyjemność tworzyć dla Śląskiego Związku Gmin i Powiatów. Dzisiaj ciąg dalszy, niestety – na początku – wcale nie będzie zabawnie...

Dramaty, tragedie, ale i komediodramaty...

Czasem to dramaty osobiste, czasem zakręty polskiej historii...

Aleksander Gądek, prezydent Tychów (1994 – 2000) został postawiony przed sądem, gdy prokuratura postawiła jemu (oraz trzem innym członkom ówczesnego zarządu miasta) zarzuty wyrządzenia szkód w wielkich rozmiarach. W 1997 r. władze miasta zdecydowały, że zbudują jeden z najnowszych kompleksów szkolnych w Polsce – ze szkołami, uczelnią, halą sportową, basenem i kinem. Planowany koszt miał wynieść 24 – 25 mln zł. Rzeczywisty sięgnął dwukrotności tej kwoty. Prace wstrzymano na etapie stanu surowego. Obiekt dokończono częściowo z osmiolatnim poślizgiem, oddając do użytku halę sportową. Po trwającym 11 lat procesie, oskarżeni zostali oczyszczeni ze wszystkich zarzutów!

W 2012 r. Izba Przemysłowo-Handlowa w Tychach uhonorowała go nagrodą specjalną – **statuetką Prometeusza** za wkład w rozwój gospodarczy miasta.

Andrzej Markowiak, prezydent Raciborza (1994 – 2001), potem poseł, w 2007 r. został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Ochrony Środowiska. 17 stycznia 2008 r. podał się do dymisji po ukazaniu się w lokalnej prasie publikacji, według której miał być tajnym współpracownikiem SB. W 2011 r. Sąd Okręgowy w Gliwicach uznał jego oświadczenie lustracyjne za zgodne z prawdą i oczyścił go z wszelkich zarzutów.

Media nie zostawiały suchej nitki na burmistrzu Sławkowa Bronisławie Goraju, który odpowiadał sądownie za dwukrotną jazdę pod wpływem alkoholu i kierowanie grózb karalnych pod adresem mieszkanki Sławkowa oraz funkcjonariuszy policji. W wyborach 2014 r. nie zamierzał startować i zapowiedział chęć dobrowolnego podda-

nia się karze. Nie zdążył. Zmarł w październiku 2014 roku.

Były pierwszy prezydent Zabrze Gerard Hajda powrócił na czołówki mediów w 2007 r., gdy zmarł na zawał serca w windzie. Jak donosił portal dziennik.pl:

Wsiadł do 40-letniej windy w swoim sześciopiętrowym bloku. Ten dźwиг ma drzwiczki, które trzeba domknąć, by winda ruszyła. Kiedy poczuł ból, upadł na kolana. Wtedy winda stanęła. Próbował wzywać pomocy, naciskał guzik alarmowy, krzychał. Na próżno. Mieszkańcy, przyzwyczajeni do tego, że winda często nie działa, nie zaalarmowali nikogo. 28 godzin leżał w niewielkiej żelaznej kłince. Znalazła go dopiero córka. Dzwoniła do ojca na komórkę i idąc po schodach, usłyszała dźwięk jego telefonu dobiegający z windy. Niestety, na ratunek było za późno. Lekarz stwierdził zgon.

Do dziś nie do końca jasne są okoliczności śmierci prezydenta Mysłowic Stanisława Padlewskiego. Wygrał wybory w 2002 r. Zaprzysiężony 18 listopada, dokładnie 10 dni później wypadł z okna swojego mieszkania na 10. piętrze. Prokurator ustalił, iż było to samobójstwo.

To były dramaty. Pora na zapowiadany komediodramat. Grzegorz Osyra regularnie gościł na czołówkach mediów. Po tragicznej śmierci Stanisława Padlewskiego został powołany przez premiera Leszka Millera na komisarycznego prezydenta do czasu przedterminowych wyborów. Przed tymi wyborami zgłosił policji, iż został napadnięty i zraniony nożem, niedaleko urzędu miasta. Rana okazała się powierzchowna. Osyra wybory wygrał i jako jedyny prezydent miasta w Polsce przez 3 lata z rządu nie dostał absolutorium za wykonanie budżetu gminy. W 2004 r. wystąpił z SLD. W 2006 r. został ponownie wybrany (pokonując obecnego prezydenta większością ok. 300 głosów). Wsławił się wyłączeniem światła na kilku dużych ulicach, co spowodowało wzrost przestępczości i wypadki drogowe. Swoją decyzję tłumaczył nieprzyznaniem przez radę wystarczających środków na oświetlenie uliczne. Przegrał wybory 2010 r. I wtedy też znalazła swój finał sprawa „nożownika” sprzed siedmiu lat. Sąd uznał go za winnego sfingowania napadu i skazał na 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu.

Przykrym epizodem w śląskim samorządzie była sprawa Jerzego Sochy, wójta gminy Konopiska przez trzy kadencje. W 2014 r. Sąd Apelacyjny podtrzymał orzeczenie sądu okręgowego, w świetle którego Jerzy Socha współpracował z SB i został uznany kłamcą lustracyjnym. Zgodnie z prawem nie mógł startować w wyborach 2014 r.

Z dziennikarskiego obowiązku, choć z ciężkim sercem muszę też odnotować jedną z najczarniejszych kart w historii śląskiego samorządu. To Jerzy Gołubowicz, prezydent Zabrze w latach 2002 – 2006. W 2009 roku został aresztowany pod zarzutem zabójstwa. Po trwającym ponad dwa lata procesie sąd skazał go na 25 lat pozbawienia wolności. Jerzy Gołubowicz nie przyznał się do popełnienia zbrodni. W 2014 roku Sąd Apelacyjny skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia uchylając wyrok I instancji z uwagi na ważne uchybienia w pierwszym procesie. Ciąg dalszy nastąpi...

Pora na powrót do uśmiechu

Zbierając materiały do bazy danych rozleciałem do byłych i obecnych samorządowców ankietę z pytaniami, m.in. o najważniejsze osiągnięcia, porażki, także o życiowe autorytety, rodzinę czy hobby. Szperałem także po archiwach prasowych.

Np. pytałem też o hobby. Takie, jak wędkarstwo raczej nie dziwi, ale w nawiasie wójt dopisał, że... ma własny staw, który sam zarzybia. Inny w wolnych chwilach słucha muzyki – głównie rockowej i metalowej ale także operowej. Co jeszcze wpisywali wójtowie, burmistrzowie i prezydenci?

- hodowla i użytkowanie koni (to „użytkowanie” właśnie nieco mnie zaintrygowało);
- gołębie i rower;
- podróże krajowe i zagraniczne, a także kibicowanie Górnikowi Zabrze;
- muzyka (gra na flecie) i słuchanie Mozarta (który nie lubił fletu);
- zainteresowania związane z górami: paralotniarstwo, narciarstwo oraz trekking.
- uprawa kwiatów, warzyw i ich przetwarzanie, czytanie książek romantycznych, historycznych, biograficznych czy sag rodzinnych;
- kolekcjonowanie wydań Biblii we wszystkich językach świata;
- zaawansowane majsterkowanie (jak dalece zaawansowane – nie wyjaśniono);
- nurkowanie techniczne (tak, Szanowni Czytelnicy: techniczne!).

W odpowiedzi na pytanie o największe osiągnięcia najczęściej wyliczano najważniejsze inwestycje, ale i tutaj chwilami czułem się zaskoczony:

- „Największym sukcesem było odmienienie Zielonej. Dzielnica odżyła jako miejsce rekreacji. Sporo udało się tam zrobić bez dużych pieniędzy, w czynie społecznym (!);
- wzruszyła mnie odpowiedź: „najważniejsze osiągnięcie: zaufanie mieszkańców Gminy Godów”;
- w 2002 r. za sukces uznawano coś, co dzisiaj jest standardem: „w ramach programu Transparentna Gmina organizowano sesje Rady otwarte dla publiczności w godzinach popołudniowych. Ostatni punkt porządku obrad zawsze umożliwiał wypowiedzi obywatelskie”;
- na kolana jednak powaliło mnie swoją szczerością takie oto wyznanie: „Nie przypominam sobie swoich osiągnięć w czasie pełnienia funkcji Przewodniczącego Rady Miejskiej, z powodów zawodowych

po niespełna dwóch latach zrezygnowałem z funkcji”.

A największe niepowodzenia i porażki? Tu z kolei przeważały inwestycje, na które np. zabrakło pieniędzy. Ale nie tylko:

– „Największe rozczarowanie – położenie geograficzne i brak znaczących ciągów komunikacyjnych zniechęcają inwestorów do lokowania firm” (można by odnieść wrażenie, że startując do wyborów wójt nie do końca wiedział, gdzie na mapie jest jego gmina);

– „Napotykałam na trudności ze strony niektórych mieszkańców”;

– a to wyznanie szczerze aż do bólu: „Największe niepowodzenie: odwołanie z funkcji Przewodniczącego Rady Gminy”.

Jakie motto życiowe obrali sobie samorządowcy? Oto próbka:

– motto życiowe: *dotrzymywać słowa;*

– motto życiowe: „*należy być pogodnym, jutro będzie lepiej*”.

– motto takie bardziej wyborcze: *Samorządowa gospodarność gwarantem dobrobytu mieszkańców naszej gminy;*

– *Ludzie budują za dużo murów, a za mało mostów /Isaac Newton/;*

– mnie osobiście najbardziej zaskoczyło takie oto motto: „*Nikt nie może umrzeć z głodu, z zimna i przepracowania*”. Nie wiem, czy dotyczy ono głównie samego wójta gminy, czy jej mieszkańców, ale... popieram!

Pytanie o rodzinę skutkowało najczęściej prostą odpowiedzią dotyczącą współmałżonka i dzieci (czasem wnuków). Ale niektórzy uznali za potrzebne informacje bardziej szczegółowe:

– *Rodzina pełna i stabilna (i tu dopiero wyliczenie jej członków);*

– *Rodzina: wnuki pozwalają żyć w nadziei na tzw. „ciągłość rodu”;*

– *Rodzina: z mężem Franciszkiem – muzykiem, kapelmistrzem Orkiestry Dętej;*

– *Mąż jest zawodowym kierowcą i prowadzi działalność gospodarczą „Usługi transportowe”;*

– *Córka, która ukończyła WSP jest sekretarką w Zespole Szkół.*

Prosiłem też o wspomnienia, które na zawsze zapadły w pamięć (najbardziej dramatyczne lub najzabawniejsze). Dwa wątki powtarzały się. Ci, których dotknął kataklizm, pisali o katastrofalnej powodzi 1997 r. Trudno się dziwić tej traumie. W gminach nadgranicznych z kolei wciąż wspominają dzień (a raczej noc) wejścia w życie układu Schengen i otwarcie granic.

A co poza tym?

„*W 2014 roku zostały oddane do użytku 22 kilometry szlaków pieszo-rowerowych. Jestem zapałym rowerzystą i byłem inicjatorem ich powstania. Z nowych ścieżek korzystałem tak intensywnie, iż w pewną niedzielę wjechałem pod auto. Straciłem przytomność i wylądowałem w szpitalu. Skutki tego zdarzenia mogłyby być tragiczne, gdyby nie kask na mojej głowie*”.

„*Kiedy nastala moda na współpracę z miastami tzw. „partnerskiemi”, podpisaliśmy umowę m.in. z czeskim Unicovem. Po naszej wizycie czekaliśmy na rewizję. Czekamy, pełna gala, a tu telefon z Opolszczyzny, że jakaś delegacja krąży po ich terenie. Okazało się, że na Opolszczyźnie jest wieś Łędziny. Dobrze, że nie w mazursko-warminskim...*”

„*Podczas prowadzenia obrad Rady Gminy otrzymałem wiadomość, że właśnie włamano się do mojego domu i nas okradziono*”.

„*Zabawne zdarzenie, kiedy przy rozwiązywaniu problemu radni z zastępcą wójta zaczęli wymyślać sobie od buraków*”.

„*Pamiętam moment z początku kadencji, kiedy to radni wystąpili z wnioskiem, by przysługujące im diety przekazać na cele społeczne. Po latach usłyszałem o naszej kadencji opinie, że „zachowywali się jak harcerze*”.

Dwaj samorządowcy zapamiętali na zawsze wydarzenia z wielkiego świata:

– *spotkanie świąteczno-noworoczne w grudniu 2010 r. z Prezydentem RP Bronisławem Komorowskim w jego rezydencji – Zamczku w Wiśle;*

– *udział w delegacji zagranicznej z Prezydentem RP Bronisławem Komorowskim do Chin, wraz z przedstawicielami polskiego biznesu i wielu urzędów państwowych.*

Przypominam, że odpowiedzi te były udzielane PRZED niedawnymi wyborami... Natomiast jeden z prezydentów (nota bene – z SLD), napisał: „*zaszczyt powitania Jana Pawła II na ziemi zagłębiowskiej 14 czerwca 1999 roku*”.

Coś, co miało być tylko formalnością...

Nazwa komitetu wyborczego – cóż w niej może być ciekawego, nieprawdaz? Pytałem o nią gwoli pewnej historycznej formalności. Samo pytanie zresztą wydawało mi się najprostsze w świecie do momentu, gdy zacząłem masowo otrzymywać odpowiedzi: „*A wie Pan... nie pamiętam*”. Nie było problemów tam, gdzie komitet był partyjny. Ich nazwy ustalane były na szczeblu krajowym. A w komitetach lokalnych? Nie da się ukryć, że prym wiodą nazwy niezbyt wymyślne, a jeszcze mniej mówiące o charakterze komitetu: jakaś „*Koalicja Samorządowa*”, jakieś „*Porozumienie dla Rozwoju*” czy ulubione przez wielu „*Forum Samorządowe*”... W wielu wiejskich gminach znaczącą siłą „*polityczną*” są ochotnicze straże pożarne, których kandydaci wielokrotnie wybory wygrywali. Najczęściej taki komitet nazywa się KW OSP... i tu nazwa gminy, ale też spotkałem się z absolutnie skróconą nazwą: Komitet Wyborczy „*Strażak*” albo bardziej poetycką: KWW „*Druhowie Strażacy*”.

Tam, gdzie do wyborów szli kandydaci, którzy uważali, że są znani i uznani, najczęściej komitety przyjmowały nazwę: Komitet Wyborczy Wyborców... (tu imię i nazwisko).

Niektórzy jednak do nazwy przywiązuja chyba wielką wagę. I wtedy pojawia sięzysta poezja. Bo jak inaczej określić takie nazwy, jak: *Trafny Wybór – Twoja Przyszłość, Wspólnota i Postęp, Naprzód Gmino!, Wspólne Dobro, Razem Łatwiej, Razem do Gminy, Odmieńmy Gminę albo moje ulubione: Rośnijmy Razem?*

Ciekawy zabieg przeprowadziła kandydatka na wójta gminy Wyrzy, która swój komitet nazwała po prostu „*Gmina Wyrzy*”, ale dodając na końcu rok, np. „*Gmina Wyrzy 2010*”. To jednak nie był rok wyborów, tylko... końca kadencji. Okazało się to skuteczne. W wyborach 2006 wygrała jako kandydatka komitetu „*Gmina Wyrzy 2010*”, w roku 2010 startowała z komitetem „*Gmina Wyrzy 2014*”, a w 2014 roku... I tu zaskoczenie! Komitet nazywał się tym razem „*Gmina Wyrzy 2020*”! Czy to pomyłka w rachunkach, czy celowy zabieg – nie wiem, ale tak czy owak skuteczny, bo wygrała po raz trzeci...

Czasem zmiana nazwy komitetu wydaje się celowo zaplanowana. W jednej z gmin

wygrał wybory kandydat Komitetu Przyjaciół Mniejszości Niemieckiej, ale później startował już pod szyldem „*Wspólnie dla Naszych Mieszkańców*”.

Nie ukrywam, że jako człowiek trochę starej daty, skrzywiłem się nieco widząc Komitet Wyborczy Krzysztofa Turzańskiego i Sławy Umińskiej-Duraj. Jak to? Kobieta na drugim miejscu, za mężczyzną? Jeszcze bardziej się zdziwiłem, gdy okazało się, że to właśnie Pani kandydowała na stanowisko prezydenta miasta, a Pan – „tylko” skromnego radnego (dopiero po wyborach został mianowany wiceprezydentem). Ale przestałem się dziwić, gdy kobieta wygrała (i to z jednym z najdłuższych panujących prezydentów). Widocznie taka kolejność nazwisk w nazwie komitetu została uznana za bardziej „nośną” w kampanii wyborczej... Skutecznie, jak widać...

Ale dla mnie absolutnym hitem kampanii samorządowych jest i pozostanie komitet wyborczy... „*Kozianie dla Kóz*”. Oczywiście wszyscy się domyślili, że chodzi tylko i wyłącznie o gminę pod tą wdzięczną nazwą?

W poszukiwaniu pointy

Każdy szanujący się artykuł powinien zawierać jakąś pointę, która z jednej strony może wzbudzić uśmiech, a z drugiej może (i powinna) skłaniać do jakiejś refleksji... Przy takiej jednak różnorodności, jaką są samorządy w naszych miastach i wsiach, gminach i powiatach, absolutnie nie mogę się zdecydować... Co wybrać?

Pointa nr 1. Uśmiechnąłem się np., gdy jedna z pań w swoim życiorysie napisała: „*Byłam radną od 1984 do 2010 (na podstawie legitymacji)*”. Cóż urząd ma swoje prawa i powinien być „urzędowy”. Na szczęście ta Pani nie uznała za konieczne przesłać mi kserokopii owej legitymacji z pieczęcią i podpisem „za zgodność”... Zwyciężyła ludzka twarz samorządu...

Pointa nr 2. Nawet tak zniechawiona przez samorządowców instytucja jak referendum odwołujące, może mieć swoje **bardzo ludzkie oblicze**. Gdy w 1999 r. Rada Gminy Ślemień odwołała ze stanowiska wójta Andrzeja Bacę, stało się to impulsem do protestu mieszkańców, którzy stanęli murem za swoim wójtem i... doprowadzili do referendum ws. odwołania rady! Rada Gminy została odwołana przy rekordowej, jak na referenda, frekwencji 46,98%.

Pointa nr 3. – moja ulubiona. W ankiecie, którą rozsyłałem, na końcu była rubryka: „*Wszelkie inne informacje, uwagi, które chciałby Pan (i), żeby znalazły się w notce biograficznej*”. Najczęściej ta rubryka pozostawała pusta, niewypieliona. Ale znalazł się wyjątek, Pani burmistrz napisała: *Inne informacje: skoczowianka, matka i babcia, a także burmistrz Skoczowa*. I teraz już wiecie jaka powinna być hierarchia i **co** tak naprawdę w życiu jest najważniejsze? ■

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.

PS. Baza danych „Samorządowcy 25-lecia”: www.samorzadowcy.org.pl.

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Raciborzu

Biblioteka wobec wyzwań teraźniejszości

Skończyły się czasy bibliotek, w których głośno rozbrzmiewało tykanie zegara, czytelnicy chodzili między regałami na paluszkach, a bibliotekarki siedziały przy ladzie z nosem w książce. Biblioteki musiały się zmienić, by dotrzeć do krowu pędzącemu światu, a przede wszystkim – by wyjść naprzeciw oczekiwaniom użytkowników. To wyzwanie podjęła także Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Raciborzu.

Najważniejsze, a zarazem najtrudniejsze jest utrzymanie równowagi między tradycją a nowoczesnością. Raciborska księżnica pragnie czerpać z możliwości współczesnego świata, z nowinek technicznych, a jednocześnie nie chce zatracić swojej tożsamości, którą przez wiele lat kształtowali jej pracownicy. Ten szacunek do przeszłości symbolizuje nazwa księżnicy, której nadano imię jej wieloletniego dyrektora – Ryszarda Kincla. Jednocześnie obecność MiPBP w mediach społecznościowych, aktywny udział w różnego rodzaju projektach i ciągle uatrakcyjnianie oferty czytelniczej (zakup zbiorów audiowizualnych – płyty z muzyką, filmy, audiobooki – oraz gier planszowych) pokazują, że idziemy z duchem czasu.

Wciąż największą wagę przykładają się do liczby czytelników (12 844 osób) oraz wypożyczeń (ponad 325 000 rocznie – dane z grudnia 2014 roku), jednak w statystykach coraz częściej pojawia się liczba zorganizowanych imprez i lekcji bibliotecznych (475; 203) oraz ich uczestników (ponad 10 400 osób; 4 095 uczniów). Biblioteka w Raciborzu – oprócz wypełniania podstawowych zadań, takich jak udostępnianie zbiorów – oferuje mieszkańcom całego powiatu szereg przedsięwzięć kulturalno-edukacyjnych, skierowanych zarówno do dzieci, jak i dorosłych. Znaczna część działań skupia się na tzw. grupach wykluczonych, czyli m.in. na osobach niepełnosprawnych czy pensjonariuszach domu pomocy społecznej. Biblioteka współpracuje także z raciborskim Zespołem Szkół Specjalnych oraz ze Specjalnym Ośrodkiem Szkolno-Wychowawczym dla Niesłyszących i Słabosłyszących w Raciborzu, organizując m.in. wystawy prac plastycznych ich wychowanków. Podczas spotkań w Domu Pomocy Społecznej św. Notburgi w Raciborzu pensjonariusze, w większości niepełnosprawni intelektualnie, mają okazję zapoznać się o swoich problemach, biorąc udział w tematycznych zajęciach, dotyczących np. Japonii czy Świąt Wielkanocnych.

Pracownicy raciborskiej księżnicy wierzą, że biblioteka to nie cztery ściany wypełnione re-

gałami z książkami, lecz instytucja, która powinna pomagać okolicznym mieszkańcom rozwijać swoje pasje i zdolności. Dlatego raciborscy seniorzy mają okazję zdobywać nowe umiejętności w zakresie obsługi komputera. W kursie Internet 55+ wzięło już udział około 300 osób. Bibliotekarki przekazują wiedzę w sposób prosty i zrozumiały, pamiętają także, by uczulić seniorów na niebezpieczeństwa czyhające w sieci.

Miłośnicy pisania mogą podzielić się swoim talentem podczas Przeglądu Twórczości Literackiej Debiuty. W 2012 roku biblioteka wydała tomik *Debiuty 2012. Po prostu bądź sobą!*, w którym zamieszczono prace z trzech edycji Przeglądu (2010–2012). Także konkurs literacki „Racibórz prozą zaczarowany” pozwala twórcom wyrazić siebie. Nie liczy się wiek ani doświadczenie, a jedynie lekkie pióro oraz pomysł na interesującą i oryginalną fabułę związaną z Raciborzem.

Nie bez powodu tematyka tego konkursu oscyluje wokół miasta, które jest dla mieszkańców ziemi raciborskiej centrum kulturalnym i społecznym, ich własną małą ojczyzną. Raciborskie bibliotekarki uważają, że poczucie przynależności i zakorzenienia jest wbrew pozorom równie ważne dzisiaj, jak kiedyś. Dlatego organizują liczne wydarzenia, które mają na celu integrację lo-

kalnego środowiska. Są to np. spotkania dyskusyjnych klubów książki czy Klubu Przyjaciół Biblioteki na Ostrogu, podczas których rozmawia się o literaturze, o bibliotece, ale i o codziennym życiu. Także zorganizowana po raz pierwszy w tym roku debata „Kompetencje przyszłości – jak rozwinąć nasze skrzydła?” (z udziałem przedstawicieli władz samorządowych oraz raciborskich przedsiębiorców) pozwoliła wspólnie zastanowić się nad kondycją Raciborza i możliwymi drogami rozwoju miasta i lokalnej społeczności.

Niezwykle ważną jest także dobra komunikacja między czytelnikami a bibliotekarzami. Podczas święta Subregionu Zachodniego na Zamku Piastowskim w Raciborzu bibliotekarki pokazały, że są otwarte na czytelników i gotowe wyjść poza mury księżnicy. Budowaniu wzajemnych relacji służą cykliczne imprezy – mające swoich stałych bywalców, ale z roku na rok przyciągające coraz więcej nowych osób. Szczególnie dzieci i młodzież chętnie zgłaszają się do udziału w Nocy z *Andersemem*, Urodzinach Kubusia Puchatka, Lecie z Biblioteką (w ubiegłym roku padła rekordowa liczba uczestników w jednym dniu – 90 dzieci

wspólnie bawiło się podczas Latinoamerykańskiego Lata w Bibliotece). Dla dorosłych organizowana jest m.in. Noc z Biblioteką, która co roku ma inny charakter i temat przewodni.

Imprezy cykliczne to również Tydzień Bibliotek, obfitujący w nietuzinkowe przedsięwzięcia. W 2014 roku pomysłowość bibliotekarek MiPBP w Raciborzu, które zorganizowały wyjątkową Herbatkę na Zielonym Wzgórzu, została doceniona w konkursie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich na najbardziej oryginalne wydarzenie realizowane w ramach Tygodnia. Biletom wstępu było posiadanie eleganckiego nakrycia głowy, a uczestników wydarzenia powitały bibliotekarki ucharakteryzowane na postaci z powieści Lucy M. Montgomery. Dzięki temu spotkanie zrobiło się nastrojowe, a czas zatrzymał się gdzieś tam na Zielonym Wzgórzu.

Czas w pewnym sensie zatrzymał się także w raciborskiej księżnicy – bibliotekarki wciąż udostępniają mieszkańcom książkę, muzykę, filmy... A jednocześnie zmieniło się wiele, a minuty i godziny płyną tak szybko, iż nie sposób zrealizować wszystkich pomysłów, które rodzą się w bibliotece.

KAMILA BUSZKA
MAŁGORZATA MICHALCZYK
MAŁGORZATA SZCZYGIELSKA



Akcja promująca czytanie. Święto Subregionu Zachodniego na Zamku Piastowskim w Raciborzu (2015)

Zdjęcia z archiwum MiPBP w Raciborzu



Kurs Internet 55+ to propozycja, którą chętnie wybierają raciborscy seniorzy



Latinoamerykańskie Lato z Biblioteką – przedstawienie



Art Naif Festiwal

Już po raz ósmy Nikiszowcem zawładnął zaczarowany świat malarzy naiwnych, którego tym razem motywem przewodnim była Skandynawia. Otwarcie Art Naif Festiwalu (12 czerwca, Galeria Szyb Wilson) upłynęło w klimacie szwedzkiej nocy świętojańskiej. Ponad 300 artystów (malarzy, rzeźbiarzy, ceramików...) z blisko czterdziestu krajów oczarowało widzów feerią barw i urzekających fantazji. 12 lipca podczas spotkania z Festiwałem na rynku w Nikiszowcu królowała, ciesząc się zasłużoną popularnością ArtJarmark, którym (jak zwykle) zawładnęły... anioły i koty. 100 stoisk kusilo unikatowymi rękodzielami (biżuteria, zabawki, ozdoby, ceramiki, obrazy, wyroby ze szkła...). Nie zabrakło oczywiście atrakcji dla smakoszy śląskiej kuchni.

Patronat honorowy nad VIII Art Naif Festiwałem objęli: Ambasador Danii, Ambasador Finlandii, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Marszałek Województwa Śląskiego oraz Prezydent Katowic.

Znaki i twarze
miasta



KATOWICE
dla odmiany



Zdjęcia Witold Kociński



Richard Moon (USA)



Josif Bobentschik (Rosja)



Dorota Falkowska-Adamiec (Bytom)

III Międzynarodowy
Plener
Malarski

Opole 2015



Henryk Bzdok (Katowice)

Opolskie inspiracje

Moje drogi na północ i zachód prawie zawsze wiodły przez to miasto. To linią kolejową, to samochodem, przejeżdżałem częściej, niż się tu zatrzymywałem.

Kiedy jeszcze duża część zabudowy blisko dworca leżała w ruinie, w roku 1951 kupowałem tu moje pierwsze bakelitowe wieczne pióro, w kolorze zgniłej pomarańczy.

Przyjechałem po nie pociągami, który miał doczepione dodatkowe „towusy” – towarowo-osobowe wagony bydłce, przystosowane do przewozu ludzi, takimi dojeżdżałem codziennie do liceum, pamiętam je także z czasów wojny, kiedy wiozły na wschód, „podludzi” machających z zadrutowanego okienka...

Kiedy dziś idę przez Opole (wolno – by je nie za szybko przejść), rozglądając się za miejscami, których już nie ma, odkrywam wiele nowych ciekawych obiektów. Filharmonia Opolska, oszklony wielościan z nałożonym elementem antycznej fasady, Miejska Biblioteka Publiczna z tekstem wiersza na fasadzie, Bulwary Nadodrzańskie z siłownią – fit bez karnetu, jest i Bulwar nad Młynówką po wyspę Bolko, w cisy mknąca ścieżka wśród drzew i kwiatów.

Ze wody tu dosyć, to jeszcze i Staw Zamkowy z fontannami i ławkami.

Nie ma już kina „Odra” przy Ozimskiej, Domu Towarowego przy Rynku, ani Klubu Książki i Prasy – odeszły z tamtymi dawnymi czasami.

Jest za to nietrafiony obiekt architektoniczny piramidopodobny, inspirowany natchnieniem czerpanym z ekierki i psującym panoramę z Ratuszem, widzianą z placu Wolności.

Także na Odrze cisza, nic nie mąci wody, ni ryba ni statek, zamarł całkowicie tak niegdyś gęsty transport wodny.

To wszystko i jeszcze dużo więcej w polskim czerwcowym San Remo, dziś zaś stanowiącym lokum dla III Międzynarodowego Malarskiego Pleneru Opole 2015. Zjechali artyści (w kolejności alfabetycznej): z Bytomia, Częstochowy, Katowic, Kudowy, Nysy, Opola, Rosji, Stanów Zjednoczonych, Ukrainy i Węgier.

Dla Amerykanów – nieliczny angielski, Rosjanie przyzwyczaili się rozumieć polski, z Ukrainką po rosyjsku, bo ukraiński dla nas obcy, z Węgrem – problem, bo on ani nas, ani my jego – „Nem tudom”... Lubimy tego Madziara o twarzy El Greka, pojejdącymi niemiarkami słowami coś nam próbuje przekazać... rozumiemy się bez słów. Organizatorzy oczekują twórców

III Międzynarodowy Plener Malarski Opole 2015 rozpoczął się 3 lipca, zakończył go wernisaż poplenerowy 11 lipca. Każdy z dwunastu artystów znalazł swój temat, swoje ulubione miejsce w malowniczym grodzie nad Odrą. Jednych inspirowała urokliwa architektura, innych barwni mieszkańcy, współtworzący niepowtarzalną atmosferę miasta, artystę z Wirginii zafascynował most na Odrze i zawieszane na nim kłódki, symbole miłości po wsze czasy, wieczne ślady złożonych tu wyznań miłosnych.

Organizatorem pleneru był Związek Polskich Artystów Plastyków Okręg Opolski i Urząd Miasta Opole.



Zdjęcia: Henryk Bzdok

Artystów Opole zachwyciło, inspirowała ich architektura, ludzie, mosty, mury, kościoły, urokliwe zakątki...

malujących w plenerze, na pokaz. Trójka wolontariuszy godzi się na tworzenie w kadry przed kamerą, będą w opolskiej telewizji.

Tworzenie to jednakże proces intymny lepiej udający się w pracowni, to też wychodzimy jedynie na łapanie tematów, na piwo i po inspirację...

Upały, leniwie podążamy na obiad, dzbanki z wodą i cytryną w plastrach podają jako pierwsze, na prośbę o jeszcze wody, odzew: „Limit wody wyczerpany”... Poczulem się na Saharze.

Jutro koniec pleneru, wystawa, dzieła dobre i lepsze jak to na plenerach, dzisiaj w piątek mamy wolne. W sobotni wieczór

uroczyste otwarcie (bez Osobistości), przemówienie, wino, rozmowy o wszystkim.

Jest i para, która chce zgłębić wiedzę o malarstwie, są pytania i odpowiedzi... fajnie trafić na takich, którzy się czegoś na wernisażu dowiedzą, są ciekawi jak to się robi.

Fajnie i dla siebie, to miłe mieć świadomość, że zrobiło się coś, co zaciekawia.

Podchodzi pani, mówi że zna mnie ze „Śląska”, pochodzi z bliskich mi okolic. Rozmawiamy, potem prosi – niech pan napisze „pozdrowienia dla Ślązaczki”, będę wiedziała, że to dla mnie.

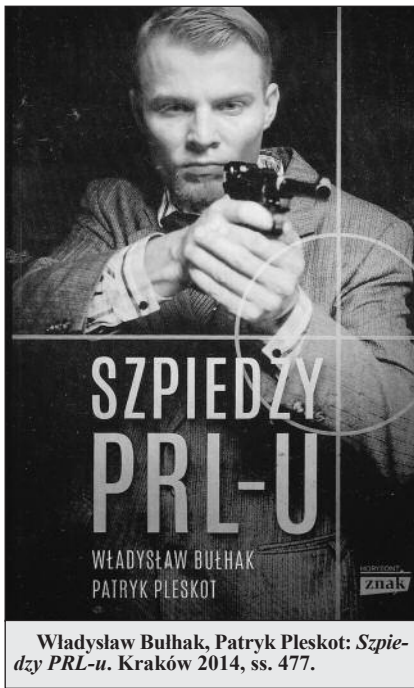
Czynię to z przyjemnością – Leśniczanko...



Wystawa poplenerowa



Wernisaż 11 lipca w Galerii ZPAP w Opole



Władysław Bułhak, Patryk Pleskot: *Szpie-dzy PRL-u*. Kraków 2014, ss. 477.

Krety

Władysław Bułhak i Patryk Pleskot, historycy z Instytutu Pamięci Narodowej, przedstawili dziesięć wybranych portretów szpiegów komunistycznych tajnych służb. Ich pasjonująca książka oparta jest przede wszystkim na dokumentach wywiadu PRL przechowywanych w archiwum IPN. Przejęcie przez Instytut i udostępnienie do badań naukowych dokumentów pozostałych po komunistycznym aparacie represji otworzyło niewątpliwie nowy etap w badaniach nad najnowszą historią Polski. To dzięki „teczkom” historycy mogli poznać nieznane fakty i odsłonić kulisy wielu wydarzeń.

Tych kilka opisanych przez Bułhaka i Pleskota historii pokazuje jak złożone, nierzadko zagmatwane, ale przez to tym bardziej interesujące były to sprawy. Nie w każdym przypadku autorzy mogli nawet jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, komu tak naprawdę służyli bohaterowie ich książki. Jeden z nich, jeszcze przed II wojną, swoje usługi oferował polskiej „dwójce”, później jako agent Gestapo pracował w AK, następnie szpiegował dla sowieckiego wywiadu i kontrwywiadu, rodzima „bezpieka” wysłała go nad Ren, gdzie prawdopodobnie został przewerbowany przez służby zachodniemieckie. Inny na zlecenie KGB miał pozorować współpracę z CIA, równocześnie współpracował z SB. Przez ponad dwadzieścia lat pisał raporty dla jednych, drugich i trzecich. Ostatecznie został uznany przez komunistyczne służby za zdrajcę. Czy rzeczywiście

z komunistycznego szpiega, mającego infiltrować amerykańskie służby, stał się kapitalistycznym agentem? W PRL w 1982 r. skazano go na 25 lat więzienia. Trzy lata później wraz z kilkunastoma innymi agentami zachodnich wywiadów został wymieniony na szpiegów komunistycznych służb złapanych przez Amerykanów.

Najbardziej znanymi osobami opisanymi przez Bułhaka i Pleskota są Andrzej Czechowicz i Marian Zacharski. Obaj zostali szpiegami poniekąd przypadku. Obaj nie byli też kadrowymi oficerami wywiadu. Karierę rozpoczynali jako agenci tajnych służb i dopiero w trakcie swej pracy dla wywiadu przechodzili przeszkolenie, a jeszcze później zostali „ukadrowieni”, czyli mianowani na oficerskie stopnie i zatrudnieni w MSW. Kapitańskie szlify Czechowicz otrzymał, gdy po siedmiu latach szpiegowania w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa powrócił do kraju. Zacharski został oficerem wywiadu, gdy siedział już w amerykańskim więzieniu.

Czechowicz, niedoszły historyk po Uniwersytecie Warszawskim, nie widząc przed sobą perspektyw zawodowych, w 1963 r. nie wrócił do kraju z wakacyjnego wyjazdu do Wielkiej Brytanii. Niebawem wyjechał do RFN, gdzie uzyskał azyl polityczny. Uciekając z PRL, z pewnością nie myślał o szpiegowskiej karierze. Miał nadzieję, że na Zachodzie będzie mu się zwyczajnie lepiej żyło. W obozie przejściowym pod Norymbergą poznał korespondenta Wolnej Europy, który zarekomendował uchodźcę zza żelaznej kurtyny do pracy w monachijskiej rozgłośni. Na wolny etat Czechowicz musiał jednak czekać wiele miesięcy. W tym czasie rozpyływały się jego nadzieje na odmianę losu.

Rozgoryczony uciekinier zamierzał już wrócić do ludowej ojczyzny. Nie chciał trafić za kraty, więc wysłał list do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim, w którym kajał się za swoje „grzechy”. Niebawem nadeszła jednak wyczekiwana wiadomość o możliwości zatrudnienia go w RWE. Gdy pracował już w monachijskiej rozgłośni, do jego mieszkania zapukał funkcjonariusz wywiadu PRL i pod groźbą ujawnienia feralnego pisma do Misji Wojskowej zwerbował go do współpracy. I tak narodził się przyszyły as komunistycznych służb specjalnych.

Zgodnie z oficjalną legendą jako rzekomy oficer tajnych służb miał przeniknąć do Wolnej Europy, gdzie zdobył najtajniejsze materiały tej „amerykańskiej szkieletki”. W rzeczywistości polski James Bond nie zaliczał się do grona najważniejszych pracowników RWE. Nie występował przed mikrofonem, nie miał też żadnego wpływu na linię programową monachijskiej

rozgłośni. Jako *researcher* opracowywał wycinki prasowe i pomagał przygotowywać materiały do audycji. Udało mu się jednak wykraść kilkadziesiąt tysięcy stron najróżniejszych materiałów, także tych uznawanych za poufne czy tajne. W ciągu siedmiu lat pobytu w Monachium niewątpliwie dobrze poznał też pracowników polskiej sekcji RWE. Po wykonaniu zadania w 1971 r. „kapitan” w świetle fleszy powrócił do kraju. Propaganda PRL wykreowała go na super-szpiega.

Autorzy książki zaznaczyli, że wyrezyserowane „spalenie” własnego agenta, wbrew regułom obowiązującym w tajnych służbach, było decyzją zdumiewającą. Jaka była tego przyczyna? Niewątpliwie w Warszawie (albo Moskwie?) uznano, że propagandowa korzyść wynikająca ze zdekonspirowania użytecznego agenta będzie ważniejsza niż jego dalsze wykorzystywanie operacyjne. Bułhak i Pleskot rozważając różne powody nieoczekiwanego ściągnięcia Czechowicza do kraju sugerują, że mógł on być „ofiara nie do końca rozszyfrowanych dziś przetasowań kadrowych na szczytach władzy”. Nie można i tego wykluczyć, ale wydaje się, że przyczyny należy szukać gdzie indziej. Obaj historycy nie zauważyli, że powrót Czechowicza zbiegł się (zapewne nieprzypadkowo) z nagłośnieniem za oceanem sprawy tajnego finansowania RWE przez CIA. Ściągając Czechowicza do kraju, chodziło przede wszystkim o skompromitowanie monachijskiej rozgłośni w oczach Amerykanów, dostarczając argumentów zwolennikom likwidacji rozgłośni jako instytucji spenetrowanej przez komunistyczne służby specjalne. W tym samym czasie wywiad PRL kuśił też innych wysoko postawionych pracowników sekcji polskiej (wicedyrektorów Tadeusza Żenczykowskiego i Pawła Zarembe) do powrotu do kraju. „Gra” Czechowiczem miała też osłabić pozycję Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który go zatrudnił oraz pogłębić nastroje niepewności w monachijskim zespole. Na wewnątrz-krajowy użytek eksponowano zaś skuteczność tajnych służb, które potrafiły umieścić swojego szpiega w „centrali” wroga.

Dla czytelnika nieobeznanego ze specyficznym językiem tajnych służb przydatny będzie zamieszczony na końcu książki minisłownik terminologii używanej w wywiadzie cywilnym PRL. Można się z niego dowiedzieć kogo perełowskie służby specjalne określały mianem defektora, kim był figurant, jaka była różnica między typownikiem, werbowanikiem i wtórnikiem, co to była kombinacja operacyjna czy żywa skrzynka, na czym polegało kapturowe wykorzystanie osób.

Według zapewnień Juliusza Wątroby, zamieszczonych na okładce jego najnowszego zbioru fraszek, wiersze zaczął pisać już w przedszkolu po wstrząsie psychicznym, jakim było umieszczenie go za karę w ciemnej piwnicy w towarzystwie ziemniaków, buraków i dorodnych szcurków. Swój udział w narodzinach poetyckiego talentu autora miała także jego siostrzyczka, która zdzieliła go cegłą w łebek. „Gdy odzyskałem przytomność, widziałem świat kolorowo, a słowa same układały się w wierszyki” – pisze przewrotnie poeta. Jednak trudno potraktować te wyznania na serio, bo napisany przez autora życiorys niewiele ma wspólnego z solidnym curriculum vitae przedkładanym w procesie korporacyjnej rekrutacji, bardziej jest kontynuacją jego fraszkopisarstwa drwiącego na potęgę z tak zwanej poważnej rzeczywistości, która w opisie Juliusza Wątroby wcale nie skrzeczy, bo nie pozwala na to poczucie humoru poety.

Faktem niezaprzeczalnym jest jednak liryczny debiut Juliusza Wątroby w „Radarze” w 1977 roku i prawie równoczesna satyryczna publikacja w „Szpilkach”. Widocznie od początku pociągała autora poezja na serio i jej bardziej dowcipna odmiana. Właśnie sięgnięcie po bardziej frywolne gatunki poetyckie pozwoliło urodzonemu w 1954 roku w Rudzicy absolwentowi Politechniki Łódzkiej uniknąć losu wielu jego rówieśników zaliczonych do pokolenia Nowej Prywatności, którzy po debiucie ugrzęźli w nijakim pozycjonowaniu. Wkrótce po opublikowaniu pierwszej książki w 1983 roku w Wydawnictwie Śląsk częściej jego satyryczne teksty można było przeczytać w „Szpilkach” czy „Karuzeli” niż w poważnych czasopiśmie literackich. Znany stał się zwłaszcza dzięki współpracy w latach 1989-2004 z kabaretem Długi, w którego radiowych audycjach jego fraszki czytali znani aktorzy. Obecnie ma w dorobku 35 książek i – jak żartobliwie zdradza w swoim życiorysie – może pisać, kiedy chce i wygłupiać się w kabarecie TON, kiedy pozostali chcą, oraz „cieszyć się radością wiosennego wróbla, który ćwierka jak szalony, bo jest wolny”.

Ogrom tego wolnościowego szaleństwa Juliusza Wątroby zawarty jest w jego fraszkach zebranych w tomie *Turkucie spod lądki* wydanym przez Gminny Ośrodek Kultury w Jasienicy. Odrobiny obłądnego dowcipu dodają utworom rysunki znanego grafika Andrzeja Czeczota. Mamy zatem do czynienia z żartami słownymi i plastycznymi. Ale myliłby się każdy, kto potraktowałby ten zbiór fraszek i rycin jako publikację wydaną jedynie ku rozweseleniu serc. Bowiemy fraszka to taki znany od stuleci gatunek wierszowany, który oprócz śmiechu wywołuje

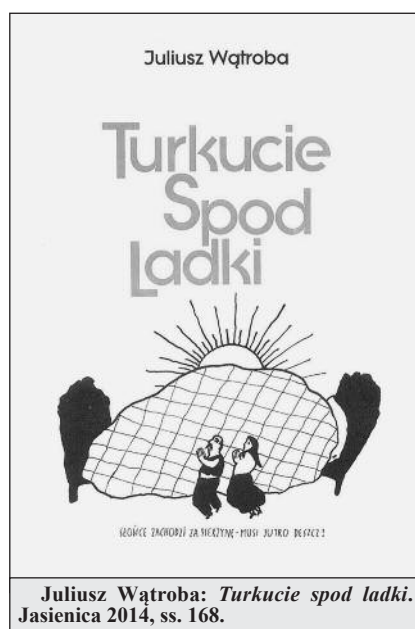
je także refleksję nad marnością tego świata, nad podłością ludzką i wielkością sztuki słowa.

Nie dziwią zatem liczne wtręty autotematyczne, w których autor roztrząsa kwestie, skąd biorą się jego fraszki, jaką pełnią rolę w życiu poety i innych ludzi. Wątroba z jednej strony traktuje swoje figlarne wierszyki – składające się niekiedy zaledwie z dwóch, ale najczęściej czterech wersów, na ogół z prostymi rymami parzystymi – jako teksty powstałe z kaprysu i służące zabawie oraz rozweseleniu duszy. Z drugiej strony nie brak w poecie wiary, że dzięki moralizowaniu i krytyce złych zachowań społecznych może wpłynąć na przemianę bestii w człowieka. Dlatego nie od rzeczy deklaruje, że: „Fraszkopisarz to ssak mały / co ssie z piersi Muz morafy”. Nie brak mu zatem wiary w sprawczą moc poetyckich słów.

Warto także zwrócić uwagę na sposób tworzenia fraszek przez poetę. Sięga bowiem nie do klasycznej tradycji wywodzącej się w prostej linii z fraszkopisarstwa Jana Kochanowskiego. Nie opisuje zabawnych sytuacji, nie puentuje. Raczej bliższy jest mu sposób pisania znany z twórczości Jana Sztaudyngera czy Stanisława Jerzego Leca, czyli operowanie słownym dowcipem, sięganie po utarte zwroty z języka potocznego i wydobywanie z nich komizmu, który zawiera elementy satyrycznej krytyki i wołania o naprawę ludzkości. Weźmy choćby taki pierwszy lepszy epigram zwierzęcy, których sporo w najnowszym książce Wątroby: „Na psy zesłi ludzie / Przyjdzie nam żyć w budzie” – konstataje poeta. I temu skundlaniu człowieka poświęca kolejne fraszki, jakby chciał wybawić go z pieskiego świata: „Kundel tyle ras / ma w sobie / ile wad / skundlony człowiek”. Ale nie brak i w zbiorze fraszek ptasich – o kurze, strusiu, kaczątku i takich zabawnych w swojej obyczajowej drwinie jak ta o kogucie: „Kur nie goni / i nie pieje / bo jest gejem”.

Ale nie byłby sobą poeta, gdyby nie sięgnął i po temat erotyczny, jakże wdzięczny do wykpienia i żartowania. Przypnać trzeba, że dość udanie balansuje autor na cienkiej granicy pomiędzy trywialnością i rubasnością, bo opisywanie spraw damsko-męskich nader często kończy się upadkiem w wulgarność. I choć autor nie unika seksualnej frywolności i zwrotów z rubasnego słownika erotomanów, jego fraszki nadal pozostają śmieszne i nie zbrukane ordynarnością. Tak zabawnie pisze przykładowo o starych pannach: „Tak mi jest żal starych panien / z których łez są morza wanien / i gdybym mógł – moi drodzy – / to bym pannom tym dogodził”.

Najbardziej dostaje się jednak w tomie politykom i ludziom żądnym wszelkiej władzy. Czemu dziwić się nie można, bo dając do stołków we wsze-

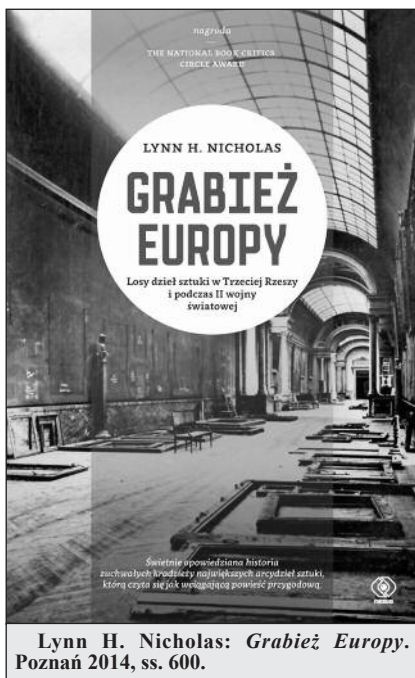


Fraszki z bożej łaski

lakich urzędach, politycy obnażają swoje najgorsze cechy. Poza tym, mimo że wszyscy pożądamy władzy, jakoś nadzwyczaj łatwo lubimy z niej kpić, jakby zazdroszcząc tym wywyższonym przez wyborców. A może dlatego, że na świeczniku lepiej widać wszelkie ludzkie przywary. Może dlatego chłoszcząc batem satyry, poeta nie oszczędza nikogo w swoich fraszkach politycznych. Biczuje jednakowo wybrańców, jak i wyborców, nadając im cechy nierozgarniętych zwierząt, jak we fraszce *Donos*: „Dzisiaj prasa nam doniosła: / osły znów wybrały osła!”. I jakoś czytając te inwektywy, nie sposób się obrazić na poetę, bo uświadamia czytelnikowi prawdy dość oczywiste, że sami jesteśmy winni, iż świat ma takie matołkowate oblicze. Wszakże sami zgadzamy się na fiskalny ucisk, na nierówność społeczne i na to, że rządzą nami „zwykle zboje”. I nie brak w tych fraszkach o polityce aktualnych odniesień do inwazji obcego kapitału, unijnych europejskich problemów, ale także patriotycznego zaśpiewu. Jakże bowiem gorzko brzmią słowa przekształconej *Roty* czy narodowego hymnu.

Czytając te fraszki, ma się przed oczami postać zaszepionego Stańczyka z obrazu Jana Matejki, który nie zbauił świata żartami. Juliusz Wątroba – mimo tej świadomości – próbuje drwinami ratować najcenniejsze wartości ludzkie.

RYSZARD BEDNARCZYK



Lynn H. Nicholas: *Grabież Europy*. Poznań 2014, ss. 600.

Z miłości do sztuki

W iadomo, że z miłości popełniamy różne szaleństwa, a nawet posuwamy się do zbrodni. Zdarza się jednak, że zbrodnie i przestępstwa, raczej odrażające w swej istocie, usiłujemy usprawiedliwić miłością. Takie postępowanie, to próba dowartościowania się, podejmowana zwłaszcza wtedy, gdy w zbrodni zamieszane są większe grupy uczestników. Tak już jest, że prowodyrzy chcą uchodzić za osoby o nieco bardziej szlachetnym charakterze, czy też subtelniejszej osobowości niż pozostali, czyli tło. Nie inaczej było z czołowymi nazistami w okresie poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej czy też podczas samej wojny. Sztukę, podobnie jak inne dziedziny życia, należało zawłaszczyć, oddzielić ziarno od plew, a następnie wprząc do rydwanu galopującego przez umysły ideologii. Niejako przy okazji można było stworzyć kilka prywatnych kolekcji, by dać przykład zdrowego gustu.

Kryteria były dość oczywiste: najpierw sztuka zdegenerowana, potem wytwory podstępnej żydowskiej wyobraźni w Niemczech, a po 1939 roku na wszystkich podbijanych terenach. Co zostało? Dawne dzieła, wśród których absolutny priorytet miały style i kierunki, dające się w jakikolwiek sposób połączyć z wpływami niemieckimi czy choćby noszące jakiś ślad pokrewieństwa. Gotyk *über alles*. Ale i renesans, w każdym razie jego część, która wy-

rosła pod chłodnym niebem północnej Europy. Jednak – jak pisze w swej arcyciekawej książce *Grabież Europy* amerykańska pisarka i działaczka ruchu na rzecz odzyskania skarbów kultury w czasie drugiej wojny, Lynn H. Nicholas – sprawa nie była prosta. Hitler, Himmler i inni promineneci nazizmu mieli o historii sztuki pojęcie raczej zielone, a gust, delikatnie mówiąc, dość osobliwy (wyjątkiem był Göring). Musieli korzystać z wielkiego grona doradców i ekspertów, którzy pomagali stworzyć zarówno historyczny profil sztuki godnej Tysiącletniej Rzeszy, jak i wytyczne dla żyjących i tworzących artystów. Oczywiście aryjskich. Żydzi oraz nieodpowiadający temu profilowi zostali wyeliminowani. Żydzi w sposób prosty, natomiast tych pozostałych objęto zakazem malowania i rzeźbienia. Bez stosownego dokumentu nie mogli nabyć odpowiednich materiałów, a o wystawianiu, nawet w przestrzeni półprywatnej czy prywatnej, w ogóle nie było mowy. Odpowiednie służby przeprowadzały kontrole i rewizje w mieszkaniach i wystarczył sam zapach terpentyny, żeby narazić się na bolesne konsekwencje.

Tak było w Rzeszy. Sytuacja skomplikowała się nieco po 1939 roku. Regiony podbitych krajów włączonych do nazistowskiego państwa poddane były jego prawom, natomiast to, co działo się w krajach będących pod niemieckim zarządem okupacyjnym, przypomina fabułę czarnego kryminału, w którym występuje bolesny deficyt pozytywnych postaci. O ile rabunek w tej pierwszej kategorii terenów odbywał się w stosunkowo prosty sposób, o tyle w pozostałych stosowano bardziej wyszukane metody. Jedną z nich był nacisk wywierany na posiadaczy wielkich kolekcji. Do najskuteczniejszych sposobów należało aresztowanie właściciela upatrzonych obrazów i przedstawienie mu propozycji nie do odrzucenia. Naziści czynili wszelkie starania, aby transakcjom nadać pozory legalności o dobrowolności. Tu głównym koordynatorem był częstokroć sam Joseph Goebbels, który wiedział, gdzie i na co można było sobie pozwolić.

Autorka opisuje nazistowskie grabieże, a także działania podejmowane przez aliantów jeszcze podczas wojny i zaraz po jej zakończeniu w sposób, w jaki pisze się powieści sensacyjnej, co z pewnością podnosi wartość tej książki w oczach przeciętnego czytelnika. Materiału jej nie zabrakło. Warto jednak zaznaczyć, iż wszystkie fakty są bardzo rzetelnie udokumentowane. W umiejętny sposób wplata w losy obrazów i innych dzieł sztuki losy ludzi, którzy byli z nimi związani. Opisuje zarówno wydarzenia dotyczące najwarteściowszych dzieł, takich jak ołtarz Gandawskich czy ołtarz Wita Stwosza, jak i losy mniej znanych kolekcji czy

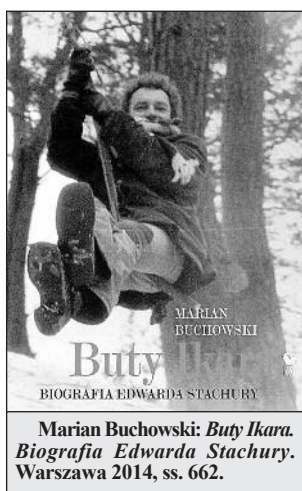
objets d'art. Opisuje tragedie żydowskich kolekcjonerów i marszandów, a także działania hien i spekulantów, dla których postępowanie nazistów stworzyło, nie tylko w Europie, prawdziwe eldorado. Pokazuje także z obiektywnym postawą prawdziwych miłośników sztuki i zabytków, których nie zabrakło po obu stronach linii frontu.

Prawdziwie sensacyjnym tworzywem jest relacja z działalności tzw. oficerów od zabytków w armiach amerykańskiej i brytyjskiej. Ludzie ci, mieszając często sztuki dowódców taktycznych związków, ratowali przed zniszczeniem bezcenne zabytki architektury, a po przejściu frontu tropili z wielkim zapamiętaniem zabytki i dzieła zagrabione. Cytując materiały propagandowe obu stron (któż chciałby uchodzić za świadomego barbarzyńcę), powołuje się nieraz na dokumenty, nad którymi trudno się nie uśmiechnąć, jak choćby rysunek komentujący wywóz części włoskich zabytków sztuki po kapitulacji państwa Mussoliniego: dwóch oficerów SS stoi przed posągiem Mojżesza, a jeden z nich mówi – „tego to prosto do Dachau”.

Warto tu dodać, że proces odzyskiwania zagarniętych dóbr właściwie trwa do dziś. Los wielu wspaniałych zabytków, jak legendarna Bursztynowa Komnata nadal pozostaje zagadką. Inne dzieła sztuki „wypływają” przy okazji różnych aukcji czy transakcji, często opiewających na wielomilionowe sumy. Smutne jest to, iż wielokrotnie prawowici właściciele czy ich spadkobiercy nie są w stanie ich odzyskać w inny sposób, niż tylko odkupując je od aktualnego właściciela, ponieważ sytuacja prawna tych przedmiotów jest tak zmatowana, iż nie sposób udowodnić, że zostały nabyte w złej wierze. O ile większość państw Europy Zachodniej i USA podejmowały i nadal podejmują wysiłki w celu umożliwienia poszkodowanym odzyskania swojej własności, o tyle dość dwuznaczne stanowisko zajmuje Szwajcaria. Natomiast to, co działo się z zabytkami niemieckimi czy też zagarniętymi przez Niemców w sowieckiej strefie wpływów na ogół do dziś okryte jest mgłą tajemnicy.

Można powiedzieć, że historie opisane przez Nicholas, *nota bene* laureatkę nagrody Amicis Poloniae, nie mają szczęśliwego zakończenia. Pocięszające jest jednak to, że jest to także, jak do tej pory, historia w ogóle bez zakończenia. Wciąż mamy do czynienia z nowymi wydarzeniami, jak choćby ostatnio odkryta w Niemczech prywatna kolekcja dzieł nabywanych na zlecenie nazistów. Jest więc jeszcze nadzieja i jest wspaniała książka, którą polecam wszystkim miłośnikom sztuki i zabytków, ale także miłośnikom dobrej sensacji.

WITOLD TURANT



Biografia z cudnych manowców

Gdyby Wydawnictwo Iskry opublikowało biografię Edwarda Stachury *Buty Ikara*, którą napisał związany z Opolszczyzną poeta i dziennikarz Marian Buchowski, jakieś trzydzieści lat temu, książka ta byłaby bestsellerem. Z wypiekami na twarzy czytałoby ją tysiące stachuromaniaków. Na pewno wywołałaby też niekończące się dyskusje o życiu i twórczości uwielbianego wówczas Steda. Dziś zainteresuje jedynie literaturoznawców, może jeszcze garstkę podstarzałych wielbicieli talentu tego tragicznie zmarłego poety, prozaika.

Do miłośników twórczości Stachury zalicza się także zapewne Buchowski, który miał przyjemność osobiście go poznać, bo bez fascynacji postacią poety nie chciałoby mu się jeździć jego śladami, zbierać relacje znajomych i przypadkowych świadków jego bytowania oraz przedzierać się przez gąszcz dokumentów, książek i czasopism, żeby ujawnić prawdę o fenomenie życiopisania, ale także nagłej popularności twórczości pisarza po jego śmierci.

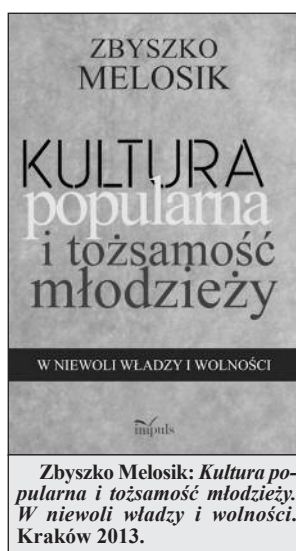
Podziwiać trzeba nie tylko ogrom trudu Buchowskiego, ale i jego docieklivość nieskazitelną mitotwórstwem. Zmierzyć się bowiem musiał z legendą otaczającą poetę, z ludźmi, którzy na popularności Stachury chcieli upiec swoje pieczenie. Wszelkie fałszywe tego rodzaju autor biografii trafnie wychwytyje i w miarę obiektywnie opisuje, co wyraźnie widoczne jest w ocenie opiekowania się przez Martę Kucharską mocno już chorym poetą. Obnaża Buchowski także liczne

tajemnice związane ze związkami Stachury z kobietami. Analizuje, jak wielki wpływ miało na życie poety jego małżeństwo z Zytą Oryszyn. Dociera nawet do platonicznej fascynacji Steda Anną Dziego i istoty jego romanisu z Danutą Pawłowską. Właśnie kobiety były najbliższymi świadkami popadania pisarza w obłąd i nie były w stanie zapobiec najpierw jego rzuceniu się pod koła lokomotywy, a następnie późniejszemu samobójstwu poprzez zadziergnięcie, jak to pisze się w policyjnych aktach.

Zatem, jeżeli ktoś poszukuje wątków miłosnych, to je w biografii Buchowskiego znajdzie. Dowie się również sporo o rodzinie pisarza, jego dzieciństwie we Francji oraz dojrzewaniu do tworzenia. Stara się biograf rzetelnie przedstawić twórczą drogę prozaika i pisarzy czy redaktorów, którzy wspierali go w karierze. Przy czym autor nie szczędzi uwag o doskonałym wpaśowaniu się Stachury w istniejący w Polsce Ludowej system wsparcia dla literatów. Liczne spotkania autorskie, konkursy literackie, stypendia twórcze pozwalały pisarzowi na nieskrępowaną twórczość i wyjazdy zagraniczne. Warunkiem była akceptacja socjalizmu i nienaradzanie się władzy. Właśnie te kwestie szczególnie wnikliwie analizuje Buchowski. Zastanawia się nad apolitycznością wierszy i opowiadań czy powieści Steda. Wreszcie zgłębia wręcz sakralne zainteresowanie twórczością Stachury po jego samobójstwie i trzeba przyznać, że nie znajduje zadawalającego wyjaśnienia tego fenomenu.

Biograf interesująco też zagadnienia interpretowania życia i twórczości Stachury. Na wiele sposobów roztrząsa kwestie terminu „życiopisania” wymyślane przez Henryka Berezę, nie decydując się na ostateczne odrzucenie tego tropu jako fałszywego. Wiele miejsca poświęca Buchowski na twórcze fascynacje prozaika i poety filozofią Zen czy naukowymi przemyśleniami Barbary Czochralskiej. Jest i miejsce na objaśnienie przemiany poety w barda niezbyt udanie śpiewającego własne wiersze przy akompaniamentem gitary. U podłoża tych estradowych popisów Stachury – według biograf – leżała chęć zarobienia większych honorariów. W podobny sposób Buchowski odbiera postać Steda, gdy opisuje jego pokerowe wyczyny. Poeta jako karciany hazardzista potrafił wygrać i przegrać kwoty przewyższające jego miesięczne stypendium twórcze. Wszakże człowiekiem był Stachura złożonym nie tylko z niebiańskiej muzyki i poezji.

RYSZARD
BEDNARCZYK



Globalny nastolatek

Kultura popularna, choć towarzyszy nam na co dzień i traktujemy ją jak coś oczywistego, w rzeczywistości jest zjawiskiem złożonym. Zasady nią rządzące są na tyle skomplikowane i nieprzewidywalne, że naukowy dyskurs jej poświęcany staje się coraz bardziej rozbudowany. To, co dla przeciętnego użytkownika popkultury jest oczywiste, dla badacza kultury jest zaczątkiem rozważań i refleksji opartych na licznych odwołaniach do innych myślicieli.

Kultura popularna i tożsamość młodzieży Melosika podejmuje niełatwe wyzwanie opisanie współczesnego stanu popkultury (a raczej jednego z etapów rozwoju ciągle zmieniającej się przecieć kultury) w kontekście próby zdefiniowania, kim jest obecna młodzież.

Dawniej kategoria młodzieży była łatwa do zdefiniowania. Co więcej, młodzież wyraźnie odróżniała się od dorosłych i dzieci. Charakteryzował ją przede wszystkim bunt wobec zastanej kultury i obyczajowości. Poza tym młodzi ludzie jednoczyli się w grupy o podobnych poglądach. Nosili charakterystyczne stroje, słuchali określonej muzyki, definiowali siebie

w opozycji do innych grup. Byli zdefiniowani i konkretni.

Obecni nastolatki są bardziej rozmyci, mniej konkretni. Nie grupują się w jasno określone subkultury. Co więcej – nigdy nie przestają być młodzieżą. Jeszcze pod koniec XX wieku znalezienie pracy i założenie rodziny stanowiło koniec młodości, zaczynała się dorosłość związana z odpowiedzialnością. Teraz to się zmienia. Obecni trzydziestolatkowie, choć utrzymują rodziny, nie rezygnują z młodzieńczych pasji.

Melosik zwraca uwagę na coraz popularniejszą w badaniach kulturowych kategorię „globalnego nastolatka”. Jego tożsamość nie jest związana z narodowością, co raczej z kulturą masową. Na tym obszarze globalny nastolatek znajduje porozumienie z innym globalnym nastolatkiem z odległego kulturowo kraju. Są w stanie się „dogadać” językiem YouTube’a, Facebooka czy muzycznych stacji telewizyjnych. Różnice nie mają dla nich znaczenia, pod warunkiem, że nie dotyczą gustów.

To, co podobać się może w książce Melosika to umiejętność płynnego przechodzenia od dyskursu naukowego do analiz takich fenomenów kultury popularnej, jak Hello Kitty, wczasy *all inclusive* czy przyjmowanie za oczywistość istnienia restauracji szybkiej obsługi. Książkę podzielono na trzy części. Pierwsza, dotyczy globalnych i popkulturowych prób zdefiniowania tożsamości młodzieży w kontekście globalizacji i wszechobecności kultury popularnej. W drugiej autor przedstawia najbardziej charakterystyczne przykłady przejawów kultury popularnej. Trzecia część skupia się na wolności i kontroli jako mniej lub bardziej subtelnych sposobach manipulacji.

Tom stanowi doskonałe kompendium wiedzy o najnowszej kulturze bez ostatecznych definicji. Zmusza do myślenia i głębszej refleksji, a przy tym jest fascynującą lekturą.

KATARZYNA KRZAN

Zaranie Śląskie. Seria druga. Nr 1 (1/2015), Wyd. „Śląsk” Sp. z o.o. Katowice 2015, s. 108.

Z wielkim zadowoleniem powitałem ukazanie się po latach przerwy *Zarania Śląskiego*. To czasopiśmo – jak napisał prof. Jan Malicki we wstępie – „ma naturę feniksową”. Narodziło się w Cieszynie w roku 1907, potem ukazywało się z dość długimi czasami przerwami do roku 1992. Teraz wraca, ale pod tytułem *Seria druga* wyraźnie zaznaczono, że nie będzie to tylko prosta kontynuacja. W nowej formule *Zaranie* związane jest z Instytutem Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej i stawia sobie za cel prezentację najnowszych badań naukowców zajmujących się województwem śląskim w zakresie nauk humanistycznych i społecznych. Jednocześnie ma być także swego rodzaju forum dyskusyjnym dla całego środowiska naukowego. W pierwszym numerze znajdujemy historię periodyku oraz związanych z nim placówek naukowych (w tym i tej najnowszej – Instytutu Badań Regionalnych). To pozytywne przypomnienie. Jednak dla mnie osobiście najciekawszy był artykuł prof. Ryszarda Kaczmarka *Górny Śląsk na skrzyżowaniu polskiej, niemieckiej i czeskiej tradycji historycznej*. Dzięki lekturze tego tekstu zetknąłem się z pojęciem „historia skrzyżowana”. Konsekwencje przyjęcia zasad takiej koncepcji zmieniają ogłód dziejów, pozwalają poszerzyć zakres badań poprzez rozbudowanie kontekstu wydarzeń, procesów i przemian społecznych, politycznych i cywilizacyjnych. Takie podejście w odniesieniu do Górnego Śląska byłoby bardzo wskazane, gdyż dotychczasowe opisy tego regionu w Polsce, Niemczech i Czechach – wcześniej Czechosłowacji – są jednostronne i stereotypowe. Autor zauważa: „Szokujące jest, że z perspektywy Warszawy, Berlina i Pragi dla świadomości historycznej nie są ważne tak dokładnie opisane zjawiska o charakterze ogólnoeuropejskim, przebiegające inaczej na Górnym Śląsku jak: konfesyonalizacja w XVI-XVIII wieku, prekursorska i innowacyjna rola industrializacji na Górnym Śląsku, oryginalny dorobek artystyczny (...), historia Żydów.” Przez to obraz regionu w dalszym ciągu jest budowany w oparciu o archaiczne stereotypy, które powstały w okresie konfliktów narodowościowych na przełomie XIX i XX wieku. Można to zmienić. Jak? O tym prof. Kaczmarek pisze w zakończeniu swojego artykułu.

Sylwester Rodkiewicz: *Columba gemens et dolens albo Gołębica stękająca i bolejąca Bolesna Pana Maryja*. Wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2014, s. 90.

Rodkiewicz pochodził z rodu, który do Polski przybył z Litwy. Urodził się około roku 1660, co można wywnioskować z zachowanych dat przyjęcia przez niego wyższych święceń kapłańskich i uzyskania bakalearatu. Był członkiem zakonu kanoników regularnych od pokuty, nazywanych markami od krakowskiego kościoła pw. św. Marka. Był człowiekiem wykształconym, w swoim zakonie pełnił wiele ważnych funkcji, a dzięki swojej pracowitości pozostawił po sobie także pisma, w tym kazanie *Columba gemens...* Te informacje można znaleźć we wstępie Jana Barona, który również dzieło krakowskiego kanonika opracował. Książka jest prawdziwym rarytatem dla miłośników siedemnastowiecznej polszczyzny. Trzeba pamiętać, że uczono w tamtych czasach retoryki, kazanie zostało więc napisane z myślą o wygłoszeniu, stąd kunsztowny język, rozbudowane zdania wielokrotnie złożone, szerokie używanie porównań, przede wszystkim zaś rytm tej prozy, którą najlepiej się delektować czytając na głos.

Krystian Gałuszka: *Modre ajnfarty*. Wyd. „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2015, s. 60.

Do czego nadaje się gwara, dialekt, etnolekt, czy – jak chcą niektórzy – język śląski? Oczywiście do codziennej komunikacji „między nami tubylcami”, „łosprawiano” wiców, ewentualnie zapisywania ludowych pieśni i legend. Tu się „godo” krótko i konkretnie. To rzadko kojarzy się z liryką. A jednak w posłowie do tomiku *Modre ajnfarty* Maciej Szczawiński zapewnia dość kategorycznie: „Śląski język, śląska gwara, śląski etnolekt uwierzytelnia w tym cyklu swoją możliwość wyrażania treści duchowych, metafizycznych i głębokich. Stoimy zatem przed kwestią potencjału samej mowy. Jej sprawności i ekspresji. A sama poezja? Proszę przeczytać i zobaczyć, jak bardzo jest na swoim miejscu w tej twardej i szorstkiej przestrzeni.” Muszę się zgodzić, że da się gwara wyrazić miłość, tęsknotę, przemijanie, „śląską duszę”. Osobiście przekadzały mi w lekturze tylko te liryki „o” ze znaczkami, wolę prosty, fonetyczny, choć może nie do końca wierny zasadom współczesnych językoznawców zapis Ligonina.

Grażyna Janota: *Stany skupienia*. Wyd. Mysłowicki Ośrodek Kultury, Mysłowice 2015, s. 72.

To debiutancki tomik, choć autorka pisze „od ponad 30 lat” (w radiowej „Trójce” utwory myślowickiej nastolatki zaprezentowano w roku 1987). Książeczka *Stany skupienia* składa się z dwóch części: *stany wrażliwości* i *ogród. OGRÓDECZEK*. Dziś nadużywa się słowa „wrażliwość”, kiedy jednak przeczytałem wiersze zawarte w tomie, te zapisy „stanów wrażliwości” wydały mi się całkiem na miejscu. Poetka pisze „z natury”, „z obserwacji” a jest spostrzegawcza, dzięki czemu powstają bardzo sugestywne obrazy będące nie tylko rejestracją rzeczywistości, ale też aktualnych emocji i nastrojów. *ogród*, kojarzący się z rajem, przez dodanie zdrobnienia OGRÓDECZEK (wersalikami), wcale nie staje się sielski – pod owocowymi drzewami są groby psów, kotów, kanarków, w powietrzu czasem pojawia się strach. W wierszu *2012* Janota wspomina: „urodziłam się w pięknym kraju/ dzieciństwo było prawdziwe”, co zostaje zderzone z konstatacją: „moje dzieci już widziały/ choć nie powinny zły przykład z góry”. Poezja bez złudzeń, ale dobra.

Zdenek Sverak: *Butelki zwrotne. Literacki scenariusz filmowy* [Tłum. Tomasz Grabiński]. Wyd. Agora SA, Warszawa 2011, s. 116.

Opowiadania Sveraka rekomendowałem czytelnikom miesiąc temu, teraz polecam (ze sporym opóźnieniem, ale dopiero w nowo otwartej księgarni trafiłem na tę książkę), jego nowelę filmową, która jest tylko jedną z części serii literacko-filmowej prezentującej czeską – że użyję takiego określenia – „klasykę gatunku”. Na każdą publikację składa się książka oraz płytka DVD ze sfilmowaną wersją utworu. *Butelki zwrotne* to historia emerytowanego nauczyciela, który jednak ma jeszcze zajęcia w szkole, chce bowiem bardzo przybliżyć młodzieży np. poezję Vrhlickiego. Jednak wkrótce zdaje sobie sprawę, że to zajęcie dzisiaj bezsensowne, bo zmienił się świat a i sami uczniowie nie chcą czytać, zwłaszcza wierszy. Nauczyciel odchodzi z zawodu i próbuje być potrzebny w innej dziedzinie. Jeżeli ktoś – jak ja – nie widział filmu, radzę zacząć od lektury. Stosuję zawsze taką kolejność, bo to zmusza do pracy wyobraźnię. Inaczej człowiekowi trudno się przebić przez gotową wizję reżysera.



Apollon Musagète

W nazwie kwartetu Apollon Musagète kryje się podwójna aluzja: do greckiego Boga opiekuna muz i do baletu Strawińskiego pod tymże tytułem. Obie aluzje trafnie określają emploty działającego w Wiedniu zespołu, który tworzą czterej młodzi muzycy polskiego pochodzenia: Paweł Zalejski, Bartosz Zachłód, Piotr Szumieł i Piotr Skweres. Kwartet, działający od 2006 roku, uhonorowany wieloma ważnymi nagrodami (z artystycznych m.in. pierwszą lokatą na konkursie ARD w Monachium, z dziennikarskich – chociażby Paszportem „Polityki” przyznany w 2014 roku) cechują bowiem dwie rzeczy: kluczowa dla stylistyki kwartetowej koncentracja na doskonałości wykonania oraz predylekcja do wykonywania dzieł muzyki XX wieku. Na program koncertu, jaki dał Apollon Musagète Quartet w Katowicach (na zakończenie Nosprowskiej serii Recitale Mistrzowskie, 28 czerwca) złożyły się dwa ważne utwory XX-wieczne: *Langsamer Satz* (wolna część z nieukończonego kwartetu) Antona Weberna, napisana w 1905 roku, oraz *III Kwartet smyczkowy* Mieczysława Wajnerberga (z 1944 roku), a ponadto pozycja z żelaznego repertuaru kameralnego – *XI Kwartet smyczkowy C-dur* Antonina Dwořaka. Znawcy muzyki Weberna dopatrują się w jego młodzieńczym fragmencie kwartetowym zapowiedzi późniejszego stylu kompozytora. Zwykle poszukuje się ich w sferze melodyki (linearyzm) oraz faktury (rzekomo zapowiadającej ideę „absolutnego kontrpunktu”). Innym pomysłem na interpretację genezy tego utworu jest przypomnienie o fascynacji młodego Weberna Mahlerem. Wydaje mi się, że ten drugi trop jest właściwy – nie sposób bowiem nie dostrzec w *Langsamer Satz* śladów charakterystycznej Mahlerowskiej śpiewności i nostalgii oraz charakterystycznej dla tego twórcy rozrzutności w sferze pomysłów brzmieniowych (diametralnie przeciwnej od „abstrakcjonizmu” dojrzałego Weberna). „Trop Mahlerowski” jest też ważny dla wszystkich, którzy usiłują zrozumieć, jak to się stało, że zaiste nieprzyjemna, obca, nie mająca nic wspólnego z tradycyjnym pięknem muzycznym muzyka dodekafonistów nie tylko zaistniała, ale wprost zrobiła furorę w c. k. Wiedniu, dotąd określonym estetycznie poprzez architektoniczny kicz habsburski, wytworzony w XIX wieku kult tzw. klasyków wiedeńskich i salonowy walc? Wspomniany trop prowadzi właśnie do Mahlera, który, jako główny dyrygent opery cesarskiej praktycznie rządził życiem muzycznym Wiednia przełomu stuleci, przy wydatnej pomocy wspomagających go krytyków, na czele z recenzentem potężnej „Neue Freie Presse” Julusem Korngoldem (oj-

cem Ericha, sławnego kompozytora muzyki filmowej). Mahler, Korngold i jawnie popierany przez ich obu Schönberg stworzyli w Wiedniu opiniotwórczy triumwirat, który tak skutecznie wziął pod swoje skrzydła pozostających „atonalistów” – uczniów Schönberga, Berga i Weberna, że w krótkim czasie ich muzyka nie tylko rozgościła się w kręgu niemieckojęzycznym, ale i dotarła pod polskie, czeskie i rosyjskie strzechy. Wykonanie utworu przez Apollon Musagète Quartet było znakomite, wypracowane w szczegółach, imponujące zwłaszcza jeśli chodzi o niuansowanie wolumenu brzmienia.

Świetnie poradzili sobie także wiedeńscy kwarteciści z utworem Mieczysława Wajnerberga – kompozytorem żydowskiego pochodzenia wykształconym w Warszawie, a działającym w ZSRR. Moda na Wajnerberga, która wybuchła po wykonaniu opery *Pasażerka*, nagraniu przez NOSPRA jego symfonii oraz opublikowaniu przez Danutę Gwidziałankę biografii kompozytora, nie jest jedynie rezultatem akcji promocyjnych, ani też pracowitego „wykopaliskowego” rzemiosła uprawianego przez nie mających lepszego zajęcia muzykologów. W przeciwieństwie do wielopłytowych edycji dawnych (przeważnie XVIII-wiecznych) utworów zalegających różne archiwa klasztorne, które jakoś nie zdołały przebić się do słuchacza, nagrania utworów Wajnerberga stały się częścią żywego repertuaru, gdyż są

to (jakie to proste!) utwory wartościowe. Świetnie napisane, pełne pomysłów i oryginalne. Zwykle porównuje się je z kwartetami Szostakowicza, należącymi do tego samego nurtu XX-wiecznej kameralistyki – łączącej rysy romantyczne (monumentalizm formy, tradycjonalizm melodyki i harmoniki, kontynuacja idei kwartetu jako dialogu czterech instrumentów) i nowoczesne (żywołowość rytmu, elementy gry stylami, a w szczególności obecność rysów ironii i groteski). Niewątpliwie muzyka Wajnerberga jest w pewien oczywisty sposób rosyjska – szostakowiczowska, ale także prokofiewowska, jeśli wziąć pod uwagę późną muzykę Prokofiewa, np. jego sonaty fortepianowe. Zupełnie nie przypomina polskiej, co jest dość zaskakujące, jeśli zważywszy, że kompozytor przeszedł pełny kurs nauki w warszawskim konserwatorium, ledwo co opuszczonym przez Karola Szymanowskiego.

Na koniec Dwořak. Tu mieli artyści możliwość zaprezentowania pełni klasycznych kwartetowych problemów, dotyczących proporcji brzmienia, rozplanowania formy oraz koncepcji wyrazowej całości. Pójść na słowiańską „szczerocę”, grać wylewnie, nie szczędząc retoryki, czy też trzymać się niemieckich reguł „wewnętrzności”, równowagi i dystansu? Na te pytania musiał sobie dać odpowiedź sam Dwořak, kiedy pisał swój utwór, przeznaczony w pierwszym rzędzie dla wykonawców i publiczności wiedeńskiej. Odpowiedź (dźwiękowa oczywiście) brzmiała: „i to, i tamto”. Bowiem w „uczonych”, dosyć powściągliwych, jak na Dwořaka splotach linii melodycznych i skomplikowanych pochodach harmonicznym „zaklął” kompozytor melancholijnego czeskiego ducha; ożywia on utwór w tak oczywisty sposób, że wystarczy nawet biernie poddać się biegowi dźwięków, by go dostrzec. Może dlatego interpretacja *XI Kwartetu* w wykonaniu polsko-wiedeńskiego zespołu wydawała się naturalna i spontaniczna, chociaż w rzeczywistości kosztowała zdaje się muzyków sporo pracy. Tu także zaprezentowali się muzycy jako mistrzowie szczegółów, odkrywcy „smakowitych” niuansów narracji muzycznej, faktury i brzmienia.

Recital mistrzowski Apollon Musagète Quartet w pełni zasługiwał na swą nazwę. Muzycy wybrali do jego programu utwory rzadkie i trudne i dołożyli wszelkich starań, aby je starannie i mądrze zinterpretować. Były to ponadto interpretacje dojrzałe, na pewno nie szkolne, a gdzieś tam ożywiłone niesfornym plomykiem wirtuozowskiej werwy.

MAGDALENA DZIADEK

Dźwięki i obrazy w Bibliotece Śląskiej

Sezon ogórkowy? Nie w Bibliotece Śląskiej! Choć w czasie wakacyjnym mniejszy jest ruch w czytelniach i wypożyczalni, zawsze coś ciekawego się tu dzieje. W lipcu fonograficzne zbiory wzbogaciły się o kolekcję ponad 120 przedwojennych płyt szelakowych, przekazanych przez wybitnego Śląskiego architekta Jerzego Gottfrieda i jego siostrę. W podarowanym zbiorze reprezentowane są znaczące przedwojenne firmy fonograficzne, zarówno polskie, jak i zagraniczne, takie jak: Gramophone Company, His Master's Voice, Odeon, Electrola, Columbia czy Syrena Record. Na szczególną uwagę zasługują najstarsze płyty z nagraniami arii operowych w wykonaniu Enrica Caruso, wybitnego włoskiego śpiewaka, „króla tenorów”. Płyty te wydane pomiędzy 1906 a 1920 rokiem przez niemiecką filię wytwórni Gramophone Record stanowią gratkę dla miłośników dawnych nagrań. Są wśród nich aż trzy niezwykle cenne, bardzo rzadkie obecnie na rynku antykwarycznym, jednostronnie tłoczone płyty, tzw. berlinerki, na których ścieżka dźwiękowa z nagraniem utworu znajduje się tylko po jednej stronie krążka.

Przeważająca część przekazanego zbioru to płyty wydane w latach 30. XX wieku z nagraniami kompozycji Johanna Sebastiana Bacha, Ludwiga van Beethovena, Johannesa Brahmsa w wykonaniu wybitnych solistów i zespołów orkiestrowych, m.in. Dawida Ojstracha, Leopolda Godowskiego, symfoniaków berlińskich i filadelfijskich pod dyrekcją Herberta von Karajana, Leopolda Stokowskiego czy Artura Toscaniniego.

Z wydawnictw polskich szczególnie cenne jest nagranie arii z opery „Madame Butterfly” Giacoma Pucciniego i pieśni „Gdym rannym słonkiem” z „Halki” Stanisława Moniuszki w wykonaniu wybitnej polskiej sopranistki z przełomu XIX i XX wieku Janiny Korolewicz-Waydowej, wydane w 1913 roku na płycie warszawskiej wytwórni Syrena Record.

W kalendarzu wystawowym Biblioteki również mają miejsce rzeczy ważne. Z okazji Roku Witkiewiczów w galerii holu głównego można było oglądać wystawę prezentującą dokonania i najważniejsze poglądy twórców, także komentarze i opinie przyjaciół na temat ich twórczości, a także filozofów, pisarzy i krytyków.

Z kolei do końca września udostępnioma będzie wystawa prac Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza współtwórców grupy artystycznej ST-53. Wystawa ta (jedna z trzech) związana jest z projektem zatytułowanym „Badania nad zwiększeniem kompetencji młodych ludzi z rejonu Śląska do odbioru sztuki najnowszej z kompleksowym kształceniem kadr animatorów kultury” realizowanym przez Bibliotekę Śląską oraz Instytucję kultur Ars Cameralis i ASP w Katowicach.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

Formy i struktury na MTG 2015

Prezentacja grafik pięciu artystów ze Śląska pt. „Formy i struktury”: Roksanę Gołębiowskiej, Tomasza Jędrzejki, Olgi Pałka-Słaskiej, Sybilla Skałuby, Macieja Zdanowicza będzie wystawą towarzyszącą Międzynarodowego Triennale Grafiki (MTG) 2015 odbywającemu się w Krakowie na przełomie sierpnia i września.

Wernisaż odbędzie się 28 sierpnia w Międzynarodowym Centrum Kultury, w Krakowie. Wystawę można oglądać do 13 września. Partnerem wystawy jest KBF Krakowskie Biuro Festiwalowe.

Roksana Gołębiowska. W latach 1989-1994 studia na Wydziale Grafiki ASP w Krakowie. Dyplom w 1994 roku w Pracowni Plakatu prof. Piotra Kuncze. Doktorat ze sztuki w 2013 r. na Wydziale Grafiki i Malarstwa ASP w Łodzi. Uprawia grafikę, fotografię, malarstwo. Prace eksponowane w Polsce (m.in. Częstochowa, Kielce, Kraków, Gdynia, Łomża, Warszawa) oraz za granicą w Danii, Niemczech, Słowacji i na Węgrzech. Zorganizowała 7 wystaw indywidualnych i brała udział w 24 wystawach grupowych w kraju i za granicą. Jest kuratorem wystaw.

Tomasz Jędrzejko. W latach 2000-2005 studiował w ASP w Łodzi, którą ukończył z wyróżnieniem w Pracowni Grafiki Wydawniczej prof. S. Łabęckiego, Pracowni Sitodruku prof. A. Smoczyńskiego oraz Pracowni Malarstwa prof. R. Hungera. W latach 2005-2008 r. asystent w Pracowni Malarstwa prof. R. Hungera. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2009 r. W 2011 r. uzyskał stopień naukowy doktora sztuki na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Obecnie nauczyciel akademicki w Uniwersytecie Śląskim oraz w Wyższej Szkole Technicznej w Katowicach. Laureat kilku nagród i wyróżnień w polskich i międzynarodowych konkursach. Zdobył m.in.: Nagrodę Rektora ASP w Łodzi w XXI Konkursie im. Wł. Strzemińskiego (2004); dyplom I stopnia na I Międzynarodowej Wystawie Grafiki ART-LINIA; (2008, Mińsk, Białoruś) oraz II Nagrodę w Zamkniętym Konkursie na Plakat promujący IX Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga (2011, Katowice). Miał 20 wystaw indywidualnych i brał udział w 90 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. W swej twórczości koncentruje się na rozwijaniu zagadnień związanych z op-artem, minimal-artem i abstrakcją geometryczną.

Olga Pałka-Słaska. W latach 1999-2004 studia na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach zakończone dyplomem magistra sztuki z wyróżnieniem, zrealizowanym w pracowni druku wkleśłego prof. Jana Szmatocha. Dziewięć wystaw indywidualnych, udział w kilkudziesięciu wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Ważniejsze nagrody: 2009 – Nagroda Regulaminowa Między-

narodowego Triennale Grafiki w Krakowie, 2015 – Nagroda Międzynarodowego Biennale Grafiki w Guanlan, Chiny. Prace w zbiorach muzealnych i prywatnych w kraju i za granicą. Zatrudniona od 2006 w macierzystej uczelni w charakterze nauczyciela akademickiego w Katedrze Grafiki na Wydziale Artystycznym.

Sybilla Skałuba Dyplom główny – Wydział Grafiki Warsztatowej w Pracowni Wypukłodruku prof. S. Kluski. Dyplom dodatkowy w Pracowni Malarstwa prof. J. Rykały na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach – 2003. Obecnie samodzielny wykładowca i asystent w Pracowni Wypukłodruku prof. M. Pałki – Wydział Grafiki Warsztatowej na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Wiceprezes Stowarzyszenia Przyjaciół Ronda Sztuki. Koordynator Akademii Weekendowej na ASP w Katowicach. Członek Rady Wydziału Artystycznego ASP w Katowicach

Maciej Zdanowicz. Twórca intermedialny, również teoretyk i historyk sztuki działający na pograniczu sztuk wizualnych i muzyki, w obszarze sound artu. Interesuje go zagadnienie korespondencji i integracja sztuk, kwestia przekładalności dźwięku na obraz, zagadnienie percepcji wzrokowej, słuchowej, konwergencji zmysłowej. Jest pracownikiem naukowo-dydaktycznym Wydziału Sztuk Wizualnych ASP w Łodzi, doktorantem w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie (na kierunku Historia sztuki) oraz w Instytucie Sztuk Pięknych UJK w Kielcach (na kierunku Sztuki piękne). Prowadzi indywidualną działalność wystawienniczą, jest kuratorem wystaw i projektów artystycznych, publikuje teksty o charakterze naukowym i krytycznym.

MTG
2015

KRA
KOW
krakow.pl

Master Sponsor SMTG

KÄRCHER®

Katowice w obiektywie 2015

Pod hasłem „Świętujemy 150 lat” już po raz szósty katowicki magistrat wraz ze śląskim okręgiem Związku Polskich Artystów Fotografików ogłasza konkurs fotograficzny „Katowice w Obiektywie 2015”. Nagrodami są: udział w wystawie, publikacja na kartach kalendarza, profesjonalne warsztaty fotograficzne, a także tablety multimedialne i czytnik do e-booków.

Prace można przysyłać do 29 września.

Podobnie jak w ubiegłym roku spośród zgłoszonych do konkursu fotografii komisja, składająca się z przedstawicieli Związku Polskich Artystów Fotografików oraz Wydziału Promocji Urzędu Miasta, zakwalifikuje 60 zdjęć, a następnie wybierze z nich 40, które jako wyróżnione pojawią się na grudniowej wystawie w należącej do Związku Galerii „Katowice” i które zostaną opublikowane na stronie www.katowice.eu. Dwanaście wybranych zdjęć, jako nagroda główna, wejdzie w skład kalendarza miejskiego na 2016 rok. Jurorzy wskażą również trzy fotografie, których autorzy otrzyma-

Jednym zdaniem

■ Od 3 do 5 lipca w katowickim Kinoteatrze Rialto odbywał się Festiwal AfryKamera 2015 prezentujący najlepsze filmy warszawskiej edycji Festiwalu Filmów Afrykańskich AfryKamera.

■ Muzeum Śląskie od 4 lipca zaprasza do plenerowego kina „Kuźnia” na terenie muzeum, w którym można oglądać arcydzieła sztuki filmowej, takie jak: „General” z 1926 w reż. Bustera Keatona, „Głowa do wycierania” (reż. David Lynch, Billy Elliot (reż. Stephen Daldry – „Dzisiejsze czasy” (reż. Charles Cha-

plin, 1936. Współorganizator: Stowarzyszenie Inicjatywa

■ W ramach letniej oferty edukacyjnej Muzeum Śląskie proponuje zajęcia podczas których dzieci dowiedzą się jak wygląda pocztówka z Muzeum, jaki motyw malarski jest największym wyzwaniem. A dla dorosłych wakacyjne plenery filmowe z przymysłem w tle.

■ Od początku lipca na turystów i mieszkańców miasta w Centrum Informacji Kulturalnej i Turystycznej w kinie Bajka oraz w Centrum Informacji Kulturalnej i Edukacji Regionalnej

ją nagrody specjalne: tablety multimedialne i czynniki do e-booków.

Podczas grudniowego wernisażu wręczona zostanie także nagroda dodatkowa ZPAF. Autor wybranych zdjęć weźmie udział w profesjonalnych warsztatach fotograficznych prowadzonych przez Związek.

Lista zwycięzców konkursu zostanie zamieszczona w grudniu na stronie www.katowice.eu oraz na łamach informatora miejskiego „Nasze Katowice”. Regulamin konkursu wraz z oświadczeniem jest dostępny na stronie www.katowice.eu oraz w Centrum Informacji Turystycznej przy ul. Rynek 13.

Apel Muzeum Miejskiego W Tychach

Muzeum Miejskie w Tychach poszukuje zdjęć dokumentujących prace rolne na obszarze: Tychów, powiatów: pszczyńskiego, mikolowskiego, bieruńsko-łędzińskiego, południowych dzielnic Katowic oraz Mysłowic.

Poszukiwane są fotografie z sianokosów, żniw, wykopów i innych prac rolnych. Muzeum prosi o ich udostępnienie na potrzeby wystawy „Rok gospodarki na ziemi pszczyńskiej”. Zdjęcia mogą być archiwalne i współczesne.

Każde wypożyczenie potwierdzone zostanie dokumentem sporządzonym w Muzeum z informacją o terminie zwrotu. Muzeum jest również zainteresowane przyjęciem fotografii do zbiorów własnych w darze, a w przypadku dużej wartości zdjęcia – jego zakupem.

Muzeum poszukuje także gospodarstw, w których moglibyśmy wykonać dokumentację fotograficzną współczesnego życia gospodarskiego.

Szczegółowych informacji udziela: Agnieszka Szymula, Dział Etnologii tel. 32 327 18 20-22, wew. 24, tel. kom. 500 492 464, e-mail: a.szymula@muzeum.tychy.pl



Oranie pola w Wągorzeli (Tychy), 1936 rok.

Wybory i referenda w PRL w gliwickim Muzeum

Wystawę „Wybory i referenda w PRL w latach 1946–1989” proponuje zwiedzić w Radiostacji Muzeum w Gliwicach. Będzie dostępna do 30 września 2015.

Autorem wystawy jest dr Sebastian Ligarski, przy współpracy Marcina Ozgi i Pawła Miedzińskiego, a organizatorem IPN Oddział w Szczecinie i Muzeum w Gliwicach

Ekspozycja pokazuje jak przebiegały i jaki charakter miały wybory w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. O zmianie przedwojennego parlamentu składającego się z sejmu i senatu na jednoizbowy – sejm – przesądziły w czerwcu 1946 roku wyniki sfałszowanego referendum. W czasach Władysława Gomułki głosowano bez skreśleń oraz zrezygnowano z tajności. Ekspozycja „Wybory i referenda

w PRL w latach 1946–1989” ukazuje wybory w PRL w możliwie szerokim ujęciu – jako akt historyczno-polityczny, ale też nakreślając ich społeczny i kulturowy kontekst.

Do 1980 r. wszelkie protesty dotyczące wyborów miały charakter jednostkowy i rozproszony. Były jedynie sygnałem niezadowolenia z władzy i ustroju. Sygnały poważniejszych zmian pojawiły się podczas wyborów do rad narodowych w 1984 r., a szczególnie po październikowych wyborach do sejmu w 1985 r.

Wybory z 4 czerwca 1989 r., choć były wynikiem kontraktu zawartego między umiarkowaną częścią obozu solidarnościowego, a władzami otwały nowy etap polskiego parlamentaryzmu.

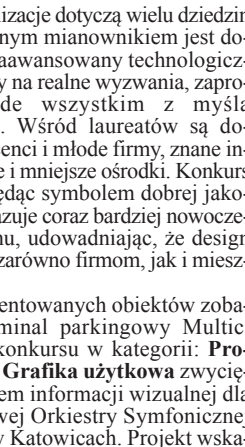
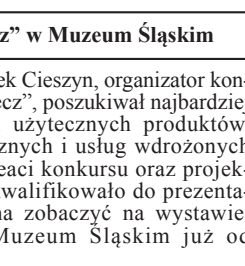
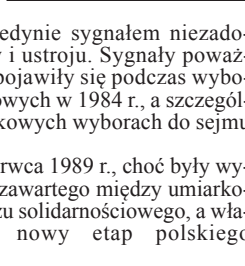
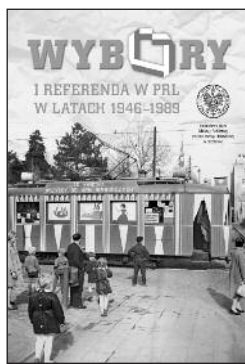
„Śląska Rzecz” w Muzeum Śląskim

Po raz 10. Zamek Cieszyn, organizator konkursu „Śląska Rzecz”, poszukiwał najbardziej innowacyjnych i użytecznych produktów, projektów graficznych i usług wdrożonych w regionie. Laureaci konkursu oraz projekty, które jury zakwalifikowało do prezentacji, będzie można zobaczyć na wystawie, goszczącej w Muzeum Śląskim już od 1 sierpnia.

Nagrodzone realizacje dotyczą wielu dziedzin życia, a ich wspólnym mianownikiem jest dobry design, czyli zaawansowany technologicznie, odpowiadający na realne wyzwania, zaprojektowany przede wszystkim z myślą o użytkownikach. Wśród laureatów są doświadczeni producenci i młode firmy, znane instytucje kultury, ale i mniejsze ośrodki. Konkurs „Śląska Rzecz” będąc symbolem dobrej jakości, kolejny raz ukazuje coraz bardziej nowoczesne oblicze regionu, udowadniając, że design przynosi korzyści zarówno firmom, jak i mieszkańcom Śląska.

Spośród zaprezentowanych obiektów zobaczymy m.in. terminal parkingowy Multic, czyli zwyciężąc konkursu w kategorii: **Produkt**. W kategorii **Grafika użytkowa** zwycięski projekt to system informacji wizualnej dla budynku Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. Projekt wskazuje na modelową współpracę projektanta z architektem. W kategorii **Usługa** wyróżniono projekt aktywizujący społeczność, inspirowany sztuką ludową *Dizajn ze sznurka*.

Inne produkty i projekty, które zostały wyróżnione nagrodami specjalnymi, to



m.in. kolekcja mebli wykorzystująca technologię giętej sklejk, trzewiki ochronne „Starr up” z zastosowaniem nowych technologii i materiałów uwzględniających jednocześnie przepisy BHP, oraz nominowane do nagrody m.in. hamak turystyczny, kurtka puchowa dla dzieci, klocek „Górnik i inni”. Nominację uzyskał również nowy logotyp Muzeum Śląskiego, nawiązujący do architektury jego nowej siedziby oraz do poprzednich znaków graficznych tej instytucji.

Ekspozycja jest sposobem całościowego ukazania dizajnu wraz z ich wdrożeniami, jakie miały miejsce w ostatnim roku w województwie śląskim.

Zmarł wybitny architekt Henryk Buszko (1924-2015)

Henryk B. Buszko urodził się 3 września 1924 r. we Lwowie. W latach 1949-1958 pracował w biurze architektonicznym Miastoprojekt Katowice we współpracy z wybitnymi architektami Aleksandrem Frantą i Jerzym Gottfriedem. Od 1958 r. współprowadził z Frantą Pracownię Projektów Budownictwa Ogólnego (PPBO) w Katowicach.

W Katowicach obaj architekci projektowali osiedla Tysiąclecia (z Marianem Dziewińskim i Tadeuszem Szewczykiem) oraz Różdziańskiego, których budynki mieszkańcy regionu określają jako „kukurydze” i „gwiazdy”.

Do innych najbardziej znanych projektów Buszki i Franty należą: gmach Okręgowego Rady Związków Zawodowych w Katowicach i Teatr Ziemi Rybnickiej (oba razem z Gottfriedem), kościół Podwyższenia Krzyża Świętego przy osiedlu Tysiąclecia (z Lidią Baron), Pałac Słubów w Chorzowie, sanatorium w Szczawnicy czy przeznaczony dla 3,5 tys. kuracjuszy uzdrowisko Ustroń-Zawodzie, w skład którego wchodzi m.in. domy czasowe w kształcie piramid, tak też nazywane od momentu ich powstania.

Buszko wykładał również na Politechnice Śląskiej. Był prezesem zarządu głównego Stowarzyszenia Architektów Polskich. Przyczynił się m.in. do ustanowienia Honorowej Nagrody SARP. W marcu br. w katowickiej Galerii Architektury SARP prezentowana była wystawa poświęcona jego twórczości (w ramach cyklu Twórcy Śląskiej Architektury).

Henryk Buszko zmarł 31 lipca. Nabożeństwo żałobne odbyło się 5 sierpnia w Katowicach-Brynowie, a pogrzeb dzień później – w Zakopanem.

Zmarły Henryk Buszko wielokrotnie był gościem redakcyjnych debat „Śląska” o architekturze i sztuce krajobrazu miasta, a także bierał głos na te tematy na łamach naszego miesięcznika. W najbliższym wydaniu „Śląska” przypomnimy postaci i dokonania tego wybitnego budowniczego nowoczesnych Katowic i Śląska.



Fot. z arch. Biblioteki Śląskiej

Fot. ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Tychach

Fot. Dominik Gajda

w Zamku Piastowskim czekają elektroniczne audio-przewodniki z trasami opisanymi w trzech wersjach językowych: polskiej, angielskiej i niemieckiej.

■ Do 31 sierpnia w siedzibie Muzeum Miejskiego w Tychach w Dawnej Młotowni można oglądać wystawę „Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta”.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej BWA Katowice prezentowana jest wystawa „Mocne stąpanie po ziemi – wystawa główna projektu Rezerwat”, w której udział biorą następujący artyści: Alicja Boncel, Jakub Czyszczoń, Magdalena Franczak, Michał Gayer, Justyna Gruszczyk, Kornel Janczy, Weronika Ka-

spryż, Magdalena Lazar, Krzysztof Maniak, Angelika Markul, Justyna Mędrala, Gizela Mickiewicz, Mateusz Sadowski, Michał Smandek, Magdalena Starska, Paweł Szeibel, Mikołaj Szpaczyński, Alex Urso, Bartosz Zaskórski. Kuratorką wystawy jest Marta Lisok. Wystawę można oglądać do 6 września br.

■ Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszają na prezentację fotografii „CYBER-FOTO 2015”.

■ Na spektakl „Drzewo” Wiesława Myślińskiego w reżyserii Stefana Szmidta, w wykonaniu Teatru

w Zagrodzie zaprasza Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny” w Chorzowie.

■ W siedzibie Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im Stanisława Hadyny odbywały się warsztaty muzyki barokowej przygotowane wraz z Arcadia Music Academy.

■ Z okazji 160-lecia miasta, na Placu Kwiatowym w Katowicach otwarta została wystawa prezentująca stare, katowickie pocztówki pochodzące w większości ze zbiorów Marka Wójcika. Organizatorem przedsięwzięcia jest „Gazeta Wyborcza”, współorganizatorem miasto Katowice.

Malowanie oddechem

Z zaoceanicznych wojaży wróciła na dłuższy urlop do Polski Agnieszka Nowińska, która wiosną 2015 r. wystawiała z powodzeniem swe prace w prywatnych galeriach Luizjany na zaproszenie tamtejszych marszałków. Artystka na co dzień mieszka w Luizjanie, na Florydzie lub w Nowym Jorku i w ostatnich latach brała udział w wielu ekspozycjach w USA i Kolumbii. 6 sierpnia odbył się jej wernisaż w Galerii Bielskiej BWA.

Malarka jest bielszczanką, absolwentką klasy wystawiennictwa bielskiego „Plastyka”. Po ukończeniu ASP w Krakowie w 1998 r. działała we Francji i Hiszpanii. Jej projekt dyplomowy „Podróż do wnętrza Ziemi” na podstawie książki Juliusza Verne’a zaprezentowano na wystawie „European Way of Life” w Galerii Carrousel w 2001 r. w paryskim Luwrze. W 2002 r. otrzymała stypendium naukowe Ministerstwa Kultury i Sztuki w Madrycie. Doktorat artystyczny związany ze sztuką Tybetu obroniła z wyróżnieniem w ASP w Walencji (2006).

Pod wpływem hiszpańskiego słońca i eksplozji kolorów zmieniła punkt widzenia na malarstwo. Odtąd „łowi światło”, aby móc nim oddychać nie tylko w życiu, ale i w sztuce. Inspirowane się głównie przyrodą, więc często podróżuje, ostatnio po krajach tropiku. Twierdzi, że musiała wyjechać z Polski, żeby odkryć, iż to, co w niej tkwi, jest kolorowe. Dotąd tworzyła raczej ponure, monochromatyczne, oszczędne kompozycje. Wiele z nich powstało pod wpływem luminarzysty mrocznej europejskiej literatury – Franza Kafki czy Teodora Dostojewskiego. Uważa, że zawsze była energetycznym człowiekiem, ale dopiero w Hiszpanii zaczęła doświadczać nieskrępowanego ujścia jej słonecznej energii w malarstwie. Powiada, że pod tym wpływem zaczęła używać jasnych i mocnych kolorów. Nie maluje obecnie pędzlem, lecz wodą i oddechem. Wydmuchuje cząstki farby i formuje na płaszczyźnie laguny stalaktytów bądź nadaje pracy inny zamierzony kształt. Po trzech latach spędzonych w ASP w Walencji nauczyła się kontrolować ten sposób tworzenia. „Malowanie oddechem” ma dla Agnieszki Nowińskiej także wymiar terapeutyczny. Wzmacnia bowiem swój oddech, nadwątlony w dzieciństwie przez gruźlicę, która zniszczyła jej płuca.

Zdaniem Agnieszki Nowińskiej takie malarstwo ma inną energię i charakter, niż wcześniej szkicowane czy zaprojektowane prace. W ten sposób powstaje tło, na którym czasami poprzestaje. Z takich dzieł emanuje wielobarwna słoneczna energia, która daje największą radość. A. Nowińską w pewnej mierze można uważać za kolorystkę, ale pierwszorzędne znaczenie koloru w malarstwie kompozycji nie osłabia w jej płótnach znaczenia linii, a przede wszystkim formy. W innym rodzaju prac erupcję barw uzupełnia bowiem o ulubione motywy antropomorficzne, zwierzęce czy kulturowe, z których czerpie od ponad 20 lat. W ten sposób powstają jej kolaże i inne formy techniki mieszanej. Emanuje z nich fantastyczny obraz świata z odwiecznymi, naturalnymi cyklami życia i śmierci. Artystka powiada, że jej prace rodzą się samoczynnie, w czym przypomina twórców Dalekiego Wschodu, wyznawców buddyzmu. W filozofii malarstwa bielska artystka kieruje się m.in. słowami Joana Miró, dla którego nie istnieją formy abstrakcyjne, gdyż każda coś symbolizuje, a każdy kształt czy kolor pochodzi z elementu rzeczywistości. Pojęcia takie jak „czysta forma” lub „czysty kolor” nic nie znaczą. Ważniejszy od dzieła jest efekt, jaki ono wywołuje. Sztuka może umrzeć, obraz może ulec zniszczeniu. Istotne jest ziarno, które zostało zasiane. Agnieszka Nowińska zasiała już wiele wielobarwnych, radosnych, kielkujących w człowieku dobrych ziaren.

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Ludowo w salonie

24 lipca w Galerii Bielskiej BWA otwarto wystawę pn. „Dwa światy”. Jej bohaterami są Józef Hulka z Lękawicy i Antoni Toborowicz z Woli Libertowskiej – twórcy, których korzenie sięgają sztuki ludowej, ale dokonania wskazują, że nie można ich kojarzyć tylko z artystami dnia siódmego. Jak twierdzi kurator ekspozycji Zbigniew Micherdziński z Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej, ich światy są bardzo różne, chociaż ukazują to samo – wizerunki Jezusa, Matki Boskiej, aniołów i świętych oraz muzykantów ludowych i zwierzęta domowe... W rzeźbie i malarstwie J. Hulki dominuje tematyka sakralna. Jest jednym z ostatnich przedstawicieli autentycznej sztuki ludowej w Beskidach.



Józef Hulka (z prawej) i kurator Zbigniew Micherdziński podczas wernisażu „Dwa światy” 24 lipca br.

Zdaniem Z. Micherdzińskiego Antoni Toborowicz korzysta z dorobku tradycyjnej sztuki ludowej w sposób twórczy. Rzeźbi baśniowe wizerunki zwierząt i roślin. Artysta pracuje głównie w drewnie, chętnie włącza do swoich kompozycji elementy skórzane i wiklinowe. Jego dzieła zachwycają majestatem i powściągliwością. Ekspozycja potrwa do 30 sierpnia br.

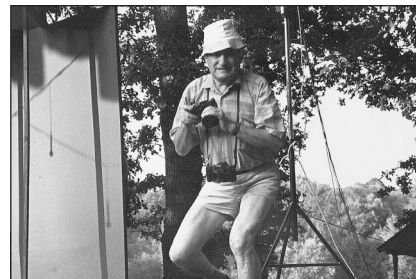


Antoni Toborowicz na wystawie „Dwa światy”

Zmarł legendarny fotografik

30 lipca 2015 r. w Bielsku-Białej zmarł Marian Koim (ur. 8 sierpnia 1931 r. w Bielanych k. Kęt). Był absolwentem pierwszego rocznika, który

w 1952 r. ukończył Państwowe Liceum Techniki Plastycznych w Bielsku-Białej. Bielski „Plastyk” ukształtował wiele pokoleń beskidzkich twórców. Marian Koim był wspaniałym gawędziarzem i potrafił barwnie opowiadać o szkolnych latach. Pierwszy dyrektor, historyk sztuki Stanisław Oczko zgromadził tam same legendy artystyczne. Rzeźby uczył Edward Piwowarski (ojciec Radosława), o którym poeta, polonista i animator turystyki Zygmunt Lubertowicz napisał fraszkę: *Mistrz Piwowar z żółtej gliny/ rzeźbi baby jak pierzyny*. Rysunek i malarstwo prowadził Jerzy Zitzman, a literaturoznawstwo uczył również Franciszek Śuknarowski. Śpiewu nauczał Władysław Koterbski, ojciec Marii. Wuefistą był Adam Bukietyński, mąż słynnej śpiewaczki Poli Bukietyńskiej. Przystosowaniem wojskowym zajmował się legendarny partyzant, dowódca „Sosiemek” Jan Wawrzyczek. Recytacje do spektakli w Teatrze Polskim przygotowywała świetna aktorka Maria Malicka... Gruntowna edukacja kulturalna, którą Marian Koim otrzymał w „Plastyku”, zaważyła na jego losach. Sam stał się już pod koniec minionego wieku żywą legendą beskidzkiej fotografii i filmu. Jego film pt. „Romanza ludzika” otrzymał m.in. I nagrodę w kategorii filmu animowanego i nagrodę za reżyserię na XII OKFA (Lublin 1964) oraz I nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych „Amatrik” w Lidicach (1981). Marian Koim był przez wiele lat jedynym w Beskidach instruktorem filmu i fotografii z kategorią „S”; pracował w placówkach kultury, wykładał, współtworzył amatorski ruch filmowy, m.in. AKF Bielsko, AKF Chemik w Oświęcimiu, DKF Kogucik w Bielsku-Białej. Wychował kilka pokoleń amatorów filmu i fotografii. Współpracował także z naszym miesięcznikiem. W 2012 roku otrzymał brązowy medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Będzie go bardzo brakowało.



Marian Koim

Początek epoki

„Secesja – początek nowej epoki” to tytuł wystawy w Muzeum Śląska Cieszyńskiego, która potrwa od 18 czerwca do 27 września. Secesja przejawiała się w rzemiośle artystycznym, architekturze, architekturze wnętrz, rzeźbie i grafice. Jak twierdzi dyr. cieszyńskiej placówki Marian Dembiniok, na ekspozycję składają się rekwizyty głównie z prywatnej kolekcji – wysokiej klasy czeskie i francuskie szkło artystyczne, niemieckie i austriackie wyroby metalowe, a także ekskluzywne wyroby z drewna palisandrowego z mosiężną inkrustacją. Organizatorzy wystawy przypominają, że znakomite wyroby rzemieślnicze, również w postaci przedmiotów codziennego użytku, ich piękno i szlachetny materiał miały na powrót przybliżyć XIX-wiecznemu industrialnemu społeczeństwu przyrodę.

Jednym zdaniem

■ Piosenkarze Bielskiej Piwnicy Artystycznej wystąpili 13 lipca w klubie Klimat z koncertem na urodziny Marii Koterbskiej pn. „Młodszy jestes o wiele lat”.

■ 23 lipca w klubokawiarni Aquarium w Galerii Bielskiej BWA koncertował zespół trzech bielskich muzyków o prowizorycznej nazwie „Szewczuga/Kokoszewski/Broszczakowski”.

■ W lipcu w klubokawiarni Aquarium powstały dwa murale wykonane przez Pracownię Pan Bon Ton oraz Beatę Owczarek.

■ W Galerii Fotografii B&B w lipcu wystawiano plon IX Ogólnopolskiego Biennale Fotografii „Kochać Człowieka”.

■ W lipcu i sierpniu w Galerii PPP w Bielsku-Białej wystawia swe prace laureatka nagrody ZPAP III Bielskiego Festiwalu Sztuk Wizualnych Joanna Zochowska.

■ „Poważnie Niepoważny” to tytuł lipcowej wystawy rysunków Bronisława Liberdy z Zaolzia w Książnicy Beskidzkiej.

■ Od 3 do 6 lipca Wyższobramski Chór Kameralny Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Cieszynie pod dyr. Piotra Sikory bawił na Schwabacher Musiktage w Niemczech.

■ Od 29 lipca do 24 sierpnia potrwa w Cieszynie XXV Letnia Szkoła Języka i Kultury Polskiej organizowana przez tamtejszy UŚ.

Miesiąc częstochowskich artystów

Miejska Galeria Sztuki na przełomie czerwca i lipca przygotowała wystawy artystów-częstochowian, różniących się zainteresowaniami, preferowaną techniką oraz doświadczeniem zawodowym. Dwoje z nich: Krystyna Szwałkowska (dyplom z grafiki artystycznej u prof. Ryszarda Osadczego w WSP w Częstochowie) i Tomasz Man (pracownik MGS), to artyści znani i rozpoznawalni, aktywni w środowisku, trzecia – Agata Marcinkowska, to studentka Międzywydziałowych Studiów Doktoranckich w Katedrze Ceramiki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu oraz stypendystka Prezydenta Miasta Częstochowy.

Krok pierwszy – Sala Śląska – grafiki Krystyny Szwałkowskiej z najnowszych cyklu „Struktury życia”, powstającego od 2013 r. Prace oddziałują na odbiorcę barwą, kształtem oraz sposobem wypełniania płaszczyzny, to motywy przyrody oraz zapętlone ciągi słów, które jednorazowo komunikat skierowany do ty (np. „Wsluchaj się w swoje wewnętrzne odgłosy”) albo osobiste wyznanie (np. „To nie moja wina, że zawsze chciałam rysować jak nikt inny i być tylko sobą”) przekształcają w strukturę budującą jednostkową biografię. Na wystawie pojawiły się również tak kiedys charakterystyczne dla Szwałkowskiej motywy amonitów, np. w „Jurajskim spleenie”.

Krok drugi – Sala Poplenerowa. I tu zaskoczenie – Tomasz Man zamiast uroklivych pejzaży zaproponował wybór fotografii. „Stawanie się świata”, wystawa, której kuratorem była Barbara Major, to nie tylko efekt utrwalenia chwili, ale również opowieść o jej przekształcaniu w obiekt do kontemplacji, które na wystawie dodatkowo zaczęły odbiorcę słowem, cytatem z Heraklita z Efezu, J.J. Rousseau, M. Gogola, G.B. Shawa, S.J. Leca lub zdaniem zaszywanym, a może nawet wymyślonym, np. „Uśmiechnij się, jutro możeś nie mieć zębów”. Wybrane zdjęcia podejmują różnorodną tematykę – to chodniki, kaluże, różnego rodzaju odbicia, zdjęcia mierzące się z zagadnieniami religijnymi (od motywów architektonicznych do deklarowanego przez postacie ateizmu), zwierzęta i ludzie (sąsiedzi albo osoby napotkane w czasie egzotycznych podróży), środki lokomocji.

Krok trzeci – tym razem trzeba wejść po schodach – „Dialogi formalne” Agaty Marcinkowskiej, gdy ceramika staje się przestrzenią animacji.

Natomiast w muzycznym życiu Częstochowy 25-lecie świętował Habakuk podczas koncertu finałowego Festiwalu Reggae On 18 lipca. Zespół powstał z połączenia częstochowskiego Engaddi (z Wojciechem „Brodą” Turbiarzem) oraz będińskiego Samuela (z Jackiem i Mariuszem Karolewskimi). Zaczynali w akademiku Herkules (1991 „Party”), potem grywali w klubie Rywal, by wreszcie zaistnieć na scenie ogólnopolskiej (Festiwal Reggae pod Warszawą, Festiwal Tam Gdzie Biją Źródła, Regalowisko k/Bielawy). Przez lata zmieniał się skład zespołu oraz repertuar; śpiewali m.in. piosenki Marka Grechuty, Dżemu czy Jacka Kaczmarskiego („A ty siej”); występowali z Munkiem Staszczykiem i Renatą Przemyską.

Podczas urodzinowego koncertu oprócz jubilatów zagrali muzycy ze starego składu (Krzysztof Niedźwiecki oraz Jacek Karolewski) oraz goście, m.in.: Renata Przemyska, Wojciech Mazolewski, Maciej Kurowicki (Hurt), Monika Biczysko (z Bakshish), Drake oraz Kalokagathos (w czerwcu br. ukazała się ich wspólna płyta „Odrosty”).

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA & NÓTATNIK KULTURALNY

Haśka. Kolejna odsłona

Od marca w Częstochowie z okazji 80-lecia urodzin Haliny Poświatowskiej trwa projekt *Haśka. Poświatowska in art*. 19 czerwca w Regionalnym Ośrodku Kultury Częstochowski Teatr Tańca Włodzimierza Kucy razem z Teatrem Trybik, działającym przy Politechnice Częstochowskiej pod kierunkiem Mariana Florka, przygotowali opowieść biograficzną o Halinie Poświatowskiej oraz wieczór jej poezji. Krucha i filigranowa aktorka wcieliła się poetkę z powiatowego wówczas miasta, zmagającą się z chorobą i nieustannie otoczoną przez mężczyzn.

Przez ciemny tunel wchodziliśmy niemal po omacku do sali ROK, co odważniejsi przemierzali się w głąb sali, opuszczając bezpieczne miejsce przy drzwiach. Dopiero po chwili w ledach głośników i blasku świec ustawionych na fortepianie (akompaniował Andrzej Młodkowski) można było dostrzec cztery postacie, stojące na miniscenach w czterech rogach. To była prawdziwa poezja tańca – dziewczęzyny, wydobywane z mroku przez kolorowe światło, tańczyły w rytm muzyki oraz poezji. Widowisko przepełnione emocjami młodych wykonawców i zgromadzonych widzów, korzystało z rozmaitych form teatralnych, w tym również z teatru cieni.

W finale Haśkę wyprowadził z sali niewidomy. Nie był to jednak Ireneusz Morawski, adresat autobiograficznej *Opowieści dla przyjaciela*, ale przewodnik, który zniekształconym głosem zachęcał ją do przejścia na drugą stronę...

Mały jubileusz Frytki

Już po raz piąty w połowie czerwca (19–20) na ul. J. Piłsudskiego, tuż za Dworcem PKP, odbył się Festiwal Kultury Alternatywnej Frytki OFF, a program wypełniły projekty muzyczne, teatralne, plastyczne i filmowe. Jak przekonuje główny organizator, Urząd Miasta Częstochowy, założeniem spotkania jest tworzenie interdyscyplinarnej przestrzeni dla rozmaitych działań młodych twórców poszukujących i wciąż czekających na promocję; to także okazja do pozyskania nowych odbiorców w przestrzeni miejskiej.

Od 2011 r. na scenie wystąpiło prawie 500 artystów, m.in. Lao Che, Mela Koteluk Brodka czy Maria Peszek oraz wielu gości zagranicznych. W tym roku gwiazdą był Artur Rojek, ale na scenie pojawili się też artyści z projektu *Nowe Sytuacje* (Tymon Tymański wraz z zespołem Republika wspomnienie o Grzegorz Cichowskim), Fisz Emade Tworzywo, Iza Lach, Muchy, Coals, The Dumplings; Rangleklods z Danii oraz Rados in Motion (z Częstochowy). Nie zabrakło propozycji dla teatromanów: *Święto kucharza* Teatru Nicoli, *Saga* Teatru Te-

Jednym
zdaniem

■ Zagrali: Cafe 29 – Anna Andrzejewska, Justyna Królak; OPK „Gaude Mater” – Breakmaszyna; plac Biegańskiego – Yves; cafe Belg – Bobb The Unicorn.

■ Spotkania literackie: w Odwachu – Andrzej Ziemiński, Anna Janko, Anna Kańtoch; Cafe Belg – Aleksander Wierny.

■ Na zakończenie sezonu artystycznego Filharmonia Częstochowska pod dyrekcją Adama Klocka przygotowała utwory Gustawa Mahlera.

-O-Ka Projekt3, *Graal* Sceny Kalejdoskop i *Pieśń Bugajów* Teatru Avatar.

Imprezami towarzyszącymi były warsztaty śpiewu peformatywnego (w CPM-ie), warsztaty filmowe organizowane przez Multimedia OFF czy kontener Red Bulla z muzyką dj-ów. Oczywiście, jedną z głównych atrakcji była też Wielka Parada Frytkowa przemierzająca się w rytm bębnow zespołu L’Ombelico del Mondo oraz oświetlana przez Stowarzyszenie CZ-Art. W pochodzie można było zobaczyć papierowe głowy Kaliny Jedrusik, Muńka Staszczyka, a także Lwa i Kruka z herbu miasta.

Moda na międzywojnie

Najpierw na początku lipca przy Cafe&Restaurant Dobry Rok przygotowano koncert *Piosenki polskiego 20-lecia międzywojennego*, a dziesięć dni później już po raz drugi na placu Biegańskiego odbył się Festiwal Retro. W tym roku dedykowany był Henrykowi Warsowi, którego piosenki brzmiały ze sceny, a na ekranie wyświetlano fragmenty filmów z jego muzyką, m.in. *Piętro wyżej* (1937) w reżyserii Leona Trystana.

Publiczność bawili częstochowski zespół Makabunda oraz zaproszeni goście – Jan Nowicki, Czesław Mozil (jako Stefan Wons), Krystyna Tkacz, Marika, Mariusz Kiljan, Adam Łoniewski z synem Antosiem, trupa dworsko-podwórzowa PompaDur, Warszawski Combo Taneczne pod kierunkiem Janka Młynarskiego, Ifie Ude, Justyna Krysiak oraz aktorzy wrocławskiego teatru Capitol. Wyświetlano takie przeboje, jak: *Na pierwszy znak*, *Tylko we Lwowie*, *Sexappeal*, *Miłość Ci wszystko wybaczy*. Koncert prowadzili Wojciech Kowalski oraz Jan Nowicki.

W klimat czasów międzywojnia wprowadzały grupy rekonstrukcyjne, był także jarmark staroci, pokaz zabytkowych samochodów oraz wiele innych atrakcji (można było sobie np. zrobić zdjęcie w boa z piór albo dawnym nakryciu głowy); w klubie Tori ALEgancKA KAPELA animowała zabawę.

Pożegnanie znawczyni jasnogórskich zabytków

4 lipca zmarła w wieku 85 lat profesor Zofia Rożanow, historyk sztuki, badaczka dziejów sztuki jasnogórskiej, specjalistka od analizy rękopisu. Do Częstochowy przyjechała wraz z rodziną z Polesia tuż po II wojnie światowej. Stąd wyjechała do Krakowa na studia (historia sztuki), a następnie do Warszawy (do pracy w Bibliotece Narodowej w dziale zbiorów specjalnych, a następnie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk). Wróciła do miasta w 1968 r. na prośbę kardynała Stefana Wyszyńskiego, by zintensyfikować zbiory jasnogórskie. Zresztą już pierwsza praca dyplomowa dotyczyła gotyckiej architektury klasztoru. Badaczka powróciła do Częstochowy na emeryturze w 1991 roku; nadal prowadziła badania, a od 2006 r. nagrywała dla Radia Jasna Góra audycje z cyklu *Tajemnice świętej twierdzy*.

Mieszkańcy miasta pożegnali ją 8 lipca, w Bazylice Jasnogórskiej odprawiono mszę świętą, a pogrzeb odbył się na cmentarzu Kule.

■ W czerwcu w Teatrze from Poland odbywał się II Peron Częstochowa – były murale, malarsstwo, fotografia koncertowa, instalacje, koncerty.

■ 5 lipca Miejski Dom Kultury oraz Regionalny Ośrodek Kultury przygotowały Etnostradę 2015.

■ 3-5 lipca odbywał się w Zespole Szkół Technicznych konwent miłośników fantastyki, mangi i anime *Medalikon*.

Lifting zagłębiowskich parków

Dolina Przemyszy i Brynicy znalazła się w centrum zainteresowania aż siedmiu włodarzy, którzy postanowili utworzyć Zagłębiowski Park Linearny. Przed rokiem reprezentanci samorządów terytorialnych: Dąbrowy Górniczej (lidera projektu), Sosnowca, Będzina, Siewierza, Psar, Sławkowa i Powiatu Będzińskiego podjęli się rewitalizacji i ochrony zagłębiowskich terenów zielonych. Projekt będzie realizowany w ramach wdrażanego przez Ministerstwo Infrastruktury i Rozwoju Programu Regionalnego „Rozwój miast poprzez wzmocnienie kompetencji jednostek samorządu terytorialnego, dialog społeczny oraz współpracy z przedstawicielami społeczeństwa obywatelskiego”. Jego podstawowym celem jest zmiana wizerunku przemysłowego obszaru Zagłębia Dąbrowskiego. Najważniejszym jednak rezultatem jest podjęcie dialogu społecznego (konsultacje z mieszkańcami poszczególnych miast) i konsolidacja działań partnerskich samorządów.

W czerwcu tego roku został rozstrzygnięty konkurs. Zwyciężyła firma ARUP sp. z o.o. z siedzibą w Krakowie, która realizować będzie koncepcję urbanistyczno-architektoniczną Zagłębiowskiego Parku Linearnego. O wyborze firmy zdecydowało atrakcyjne połączenie elementów przyrodniczych i kulturowych, pomysły wykorzystania nieczynnych tras kolejowych, efektywnie zaprojektowane piesze i rowerowe trasy, dostępne nie tylko dla posiadaczy samochodów, ale także turystów korzystających z komunikacji autobusowej i kolejowej. Interesujące są także propozycje dotyczące rozmieszczenia punktów obsługowych i wypoczynkowych, pomysłodawcy pragną zagospodarować wiele nieczynnych obiektów technicznych. Czego więc możemy się spodziewać? Prace w Dąbrowie Górniczej skupią się wokół parku „Zielona”, którego ozdobić ma nowy plac z fontanną i pawilonami, powstaną także nowe ścieżki rowerowe i rekreacyjne. Park im. L. Kruczkowskiego w Sosnowcu czeka największa inwestycja, to renowacja, przebudowa i nowe obiekty w Egzotarium, wokół którego planowane jest stworzenie Pinarium, ogrodu botanicznego z okazami wielu gatunków sosen z całego świata. W części południowej wzdłuż Brynicy przewidziano skatepark. I to jest chyba najmniej ciesząca mieszkańców pobliskiego osiedla Piastów zmiana. Czy piękne aleje spacerowe będą nadal miejscem ciszy i relaksu? Sporty ekstremalne raczej temu nie sprzyjają.

Rozkwitną błonia w parku Rozkówka w Będzinie. Głównym elementem kompozycyjnym ma być labirynt wśród łąk i pól, z wielką wieżą widokową, drewnianym ekopłacem zabaw, boiskami, ściankami wspinaczkowymi i dużą polaną piknikową. Także Małpi Gaj i teren nadrzeczny Brzozowica w Będzinie przeobrażą się w teren rekreacyjny z miejscami piknikowymi. Siewierz czeka budowa nasypu turystyczno-widokowego przy Zamku oraz stworzenie nowego parku miejskiego. Na grzbiecie wzniesienia Góry Siewierskiej powstanie Centrum Edukacji Ekologicznej i Meteorologicznej. W Sławkowie przewidziano udrożnienie i zaadaptowanie dawnego kanału oraz stworzenie ścieżek podążających śladami starorzeczka Białej Przemszy.

Kiedy ruszymy ścieżkami Zagłębiowskiego Parku Linearnego? Podobno najpóźniej w 2019 roku. Trzymamy kciuki.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Spacer przez Zagłębie

Dla miłośników historii regionalnej „Teka graficzna Zagłębia Dąbrowskiego Feliksa Szczęsnego Kwarty. Kolekcja Dariusza Kmiołka” to nie lada gratka. Wydana w 1931 r. nakładem Towarzystwa Naukowego Zagłębia Dąbrowskiego w Sosnowcu „Tekę...” można oglądać w Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamku Sieleckim, zawiera ona 12 prac Feliksa Szczęsnego Kwarty. Te unikatowe akwaforty upamiętniają najbardziej charakterystyczne obiekty regionu. Jak zapewnia kurator wystawy Rafał Bryła, to mało znane dzieło jest pod każdym względem wyjątkowe, wiele przedstawionych obiektów już nie istnieje lub całkowicie zmieniło swoje oblicze. Wernisaż (17 lipca) wzbogacił wykład kuratora zatytułowany „Spacer przez Zagłębie – wirtualna wycieczka po okolicy”.

Literackie lato

Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu przygotowała ofertę dla dzieci i młodzieży spędzających wakacje w mieście. Na program zatytułowany „Literackie lato grozy na wesoło” złożyły się wycieczki, konkursy, zajęcia świetlicowe, warsztaty. Projekt został dofinansowany ze Środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Operacyjnego „Promocja literatury i czytelnictwa”. W dwudziestu filiach MBP odbywały się m.in. spotkania literacko-przygodowe, podczas których uczestnicy mieli okazję nie tylko poznać przygody ulubionych bohaterów, ale także nauczyć się opanowywania strachu i radzenia sobie z emocjami. Nie zabrakło lekcji tolerancji, współpracy i przyjaźni. Letnią akcją objął honorowym pa-

tronatem prezydent Miasta Sosnowca – Arkadiusz Chęciński.

Kolekcja Stanisława Trefonia w „Elektrowni”

2 lipca w Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi, w ramach ósmej edycji Art Naif Festiwal 2015 została otwarta wystawa wystawa zatytułowana „Sztuka nieprofesjonalna ze zbiorów Stanisława Trefonia”. Wśród przedstawionych dzieł znalazły się prace: Janusza Bartosza, Józefa Kandziora, Andrzeja Marcola, Marzeny Siemiątkowskiej, Stanisławy Wojtyny, Floriana Zajęca, Czesława Fojcika, Janiny Motyki, Rudolfa Riedela, Jana Śliżewskiego, Franciszka Burzyka, Grzegorza Haiskiego, Aleksandra Malinowskiego, Jerzego Koziołka, Andrzeja Karpińskiego, Jerzego Bernackiego. Stanisław Gerard Trefon, rudzki kolekcjoner twórczości amatorskiej zgromadził około 3 tysięcy dzieł, które prezentuje w zorganizowanej we własnym domu w Halembie galerii „Barwy Śląska”.

Rura na fotografiach

23 lipca w Muzeum Miejskim „Sztysgarca” w Dąbrowie Górniczej odbył się wernisaż fotografii Krzysztofa Raconia zatytułowanej „Rura”. Dokumentalista jest absolutnym kulturoznawstwem na Uniwersytecie Jagiellońskim, Uniwersytecie Ekonomicznego w Krakowie i Akademii Fotografii w Krakowie. Dwukrotnie był nagradzany w konkursach Ministerstwa Spraw Zagranicznych (2010 r. i 2013 r.) i National Geographic. W 2013 r. jego projekt o Strzemieszycach Małych zdobył pierwszą nagrodę w międzynarodowym konkursie fotografii dokumentalnej Vienna International Photo Awards oraz International Photo Awards. W 2015 r. Krzysztof Racon został laureatem Kolga Tbilisi Photoawards i BZ WBK Press Foto za projekt o jeziorach Rożnowskim i Czchowskim.

„Bohaterem” wystawy jest tytułowa rura, kilkumetrowy tłamociąg Huty Katowice, który nie tylko zmienił krajobraz położonych pod nim niegdyś sielskich pól, lasów i małych miasteczek, dokonał także wielu zniszczeń, dając początek ekspansji potężnych zakładów.

Jednym zdaniem

■ We wszystkie niedziele lipca w parku „Zielona” w Dąbrowie Górniczej odbywały się koncerty Sojka Band.

■ 12 lipca w Sali Kameralnej im. Michała Spisaka Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej koncertowali Monika Rosca i Krzysztof Woźniczko.

■ W Galerii Ośrodka Kultury w Będzinie w lipcu z cyklu „Obrazy mistrzów” gościła wystawa Edwarda Dwurnika nazywanego „polskim Picassom”.

■ W Będzinie 5 lipca zainaugurowano cykl niedzielnych koncertów pod tytułem „Wakacje wspomnień”, miejscem spotkań miłośników przebojów lat 70., 80., 90. były m.in. parki w Będzinie: na Warpiu, przy Pałacu Mieroszewskich, w Łągiszy, Grodźcu.

■ Na zamkowym dziedzińcu i na bliższych siewierskiego zamku od 3 do 5 lipca

trwała III edycja międzynarodowego festiwalu „Blues na siewierskim zamku”.

■ Wakacyjny cykl koncertów „Muzyczne lato wokół Pustyni Błędowskiej” w lipcu gościł w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, w kościele pw. Michała Archanioła i Macierzyństwa NMP w Bolesławiu, Zespole Szkół im. Jana Pawła II w Sławkowie. Koncerty będą kontynuowane w sierpniu, m.in. pod Zamkiem Ogrodzienieckim w Podzamczu, w kościele pw. Narodzenia NMP w Chechle, DK „Papiernik” w Kluczach, klasztorze w Imbramowicach i w Olkuszku.

■ 18 lipca na Zamku Ogrodzienieckim w Podzamczu odbył się Maraton Zumba Fitness. We wszystkie piątki wakacji w ramach „Wieczorów z duchami” odbywały się podróże po zamkowych murach i zakamarkach.

Putzlacher i Lipus znów ponadgranicznie

Pod koniec wakacji, 26 sierpnia, w zabytkowym klasztorze Benedyktynów w Broumowie odbędzie się premiera spektaklu muzycznego „HRA-NIC-e”. Choć to miasto leży w Czechach wschodnich, w Sudetach, premiera będzie miała sporo... zaolziańskich akcentów”. Autorką scenariusza jest bowiem poetka Renata Putzlacher z Czeskiego Cieszyna, reżyserem natomiast pochodzący z Bystrzycy Radovan Lipus, z którym poetka współpracowała podczas wielu projektów. Kolejnym cieszyniakiem jest o. Petr Prokop Siostrzonek, opat klasztoru Benedyktynów w Pradze-Brzewnowie, który zarządza broumowskim klaszto-rem.

– Nie będę tu wspominać o mniejszych projektach. Ale „HRA-NIC-e” można potraktować jako trzecią część naszej wspólnej trylogii dotyczącej polsko-czeskiego pogranicza, jego mieszkańców, ich losów – powiedziała zaolziańskiemu „Głosowi Ludu” Renata Putzlacher. – Pierwsze było „Těšńské nebo – Cieszyńskie nebe”, drugą częścią zaś spektakl „Dom dzienny, dom nocny”, którego scenariusz napisałam na podstawie powieści Olgi Tokarczuk, wystawiony przez aktorów teatru Slovácké divadlo w Uherskim Hradziszczu. Obecna, broumowska część zrodziła się po jednym spotkaniu z opatem Siostrzonekiem. Mówił on zawsze, iż jest wielkim fanem „Cieszyńskiego nieba”, i zapewnił, że nas dobrze zna i że na pewno jesteśmy z Radkiem w stanie taki projekt przygotować – uściłiła poetka.

Dlaczego Broumow? – Przede wszystkim dlatego, że miasto to też leży na polsko-czeskim pograniczu. Tamtejszy klasztor, pochodzący z XIII wieku i przebudowany w stylu barokowym w XVIII wieku, w okresie rządów komunistycznych został prawie kompletnie zrujnowany. Dopiero w latach 90. ubiegłego wieku rozpoczęła się jego rewitalizacja, a po odnowie klasztor jest nie tylko miejscem sakralnym ale też ośrodkiem kulturalno-oświatowym. I o tym klasztorze, o mieście i regionie będzie nasz muzyczny spektakl. Będzie opowiadać o potrzebie własnego zakorzenienia, a także o granicach geograficznych i tych w ludzkich sercach. Będzie to także próba spojrzenia na przeszłość z nostalgii i humorem – wyjaśnia Renata Putzlacher.

Autorem oprawy plastycznej przedstawienia będzie scenograf Šimon Caban, znany ze współpracy z Teatrem Narodowym w Pradze i Międzynarodowym Festiwałem Filmowym w Karlowych Warach. Oprócz utworów z różnych epok zabrzmią na scenie również piosenki autorstwa Jiřego Pavlıcy i Karla Plıhala. W spektaklu zaś zagrają z miejscowymi amatorami zawodowi aktorzy, w tym związani wcześniej lub dzisiaj z Teatrem Cieszyńskim: Barbara Humel (obecnie Divadlo Drak Hradec Králové), Zbigniew Kalina (obecnie Městská divadla pražská) i Patrycja Sikora (Scena Polska TC).

– Podczas przedstawienia zabrzmi jednak nie tylko język czeski. Broumow leży blisko polskiej granicy, będą więc też polskie pieśni. Przez długi czas teren ten zamieszkiwała ludność niemiecka, więc będą i teksty niemieckie, a ponieważ pojawią się i mnisi, zabrzmi też łacina. Będzie więc wielojęzyczne, jak w poprzednich projektach. Miejmy nadzieję, że i to przedstawienie spodoba się widzom – dodała Renata Putzlacher.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

„Hutnik” śpiewał w Koszalinie

Polski Zespół Śpiewaczy „Hutnik” z Trzyna reprezentował Zaolzie na XV Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie. Polonijne spotkanie chórzystów, które zorganizowały Polonijna Akademia Chóralna oraz Koło Terytorialne Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Koszalinie, odbywało się nad Bałtykiem 11-20 lipca.

W polonijnym festiwalu wzięło udział 160 śpiewaków. – W tym roku chórów było mniej, bo tylko sześć – mówi prezes „Hutnika”, Anna Kornuta. – Dwa kameralne zespoły przyjechały z Ukrainy: „Cantica Anima” z Baru i Polski Amatorski Chór Kameralny im. Juliusza Zarębskiego z Zytomierza, ze Stanów Zjednoczonych przyleciał Chór Reprezentacyjny Związku Śpiewaków Polskich w Ameryce z Nowego Jorku, my byliśmy z Zaolzia. Poza tym zaprezentowały się dwa zespoły „okazyjne”. Pierwszy to Chór Warsztatowy „Repetitio”, który powstał dla potrzeb koszalińskiego Studium Dyrygentów Polonijnych i śpiewają w nim studenci uczelni w Poznaniu, Bydgoszczy i Wrocławiu. Drugi zaś to Chór „Ojczyzna” złożony z dyrygentów-słuchaczy wspomnianego Studium – uściłiła prezes „Hutnika”.

„Hutnik” wzięła w koszalińskim festiwalu udział już po raz trzynasty. Dziesięć festiwalowych dni chórzyci spędzili bardzo pracowicie. Było nie tylko wspólne koncertowanie, ale również próby i warsztaty, podczas których śpiewacy ćwiczyli pod okiem wybitnych specjalistów.

„Prawy prosty”, czyli ballada o chłopcu z nad Olzy

Urodził się w Suchej Górnej, większość życia spędził w Cieszynie oraz Ustroniu. Był mistrzem bokserskim wagi ciężkiej, żołnierzem – walczył pod Monte Cassino. Był działaczem sportowym, który przez kilkadziesiąt lat organizował życie sportowe w regionie. Dziś, w 23 lata po śmierci, Adolf „Bolko” Kantor przez część mieszkańców regionu wspomniany jest jako człowiek-instytucja, człowiek legenda, ale i jako postać kontrowersyjna. Teraz jest szansa, by go sobie przypomnieć, oglądając film „Bolko Kantor: Prawy prosty”.

Dokument wyreżyserował pochodzący z Ustronia Andrzej Duda, który napisał scenariusz wspólnie z dziennikarzem Andrzejem Drobnikiem. Mieszkańcy całego regionu mogli go obejrzeć 9 lipca

■ Od 1 lipca do 2 sierpnia Zaolziacy bawili się w Jabłonkowie na 68. Gorolskim Święcie. Oprócz góralskich zespołów z obu brzegów Olzy wystąpiły m.in. zespoły z Turcji, Brazylii, Słowacji oraz polonijny zespół z Kanady.

■ Wspieranie przez Rząd Republiki Czeskiej oraz Urzędy Pracy migracji zarobkowej w regionie z najwyższą stopą bezrobocia, planowana przez gabinet Bohuslava Sobotki podwyżka pensji minimalnej czy wcześniejsze emerytury dla hutników – m.in. te tematy były poruszane 28 lipca podczas wizyty ministra Michaela Marksovej-Tominovej na Zaolziu.

■ Ku czci św. Anny odbyło się w ostatni weekend lipca kilka odpustów. Tę popularną na Śląsku świętą przypominano m.in. przy kaplicy na Kozubowej oraz w Karwinie-Raju, gdzie działał Miejsceowego Kola PZKO od lat organizują odpust w przedostatnią niedzielę lipca.

■ To był udany sezon dla Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego: 109 spektakli, 7 premier, 30 760 widzów. Wyprzedane bilety, zadowoleni widzowie i usatysfakcjonowani twórcy – oceniła sezon 2014/2015 kierownik literacka zespołu, Joanna Wania. Aktorzy powrócą do teatru po wakacjach w ostatnim dniu sierpnia.

■ Ponad setka pańników wzięła udział w 25. Pieszej Pielgrzymce Zaolzie – Jasna Góra. Do Częstochowy pańnicy dotarli w czwartek 23

lipca, a na Jasnej Górze dołączyli do nich uczestnicy 13. zaolziańskiej pielgrzymki rowerowej i 23. autokarowej

■ Radni w Mostach koło Jabłonkowa zdecydowali o przyznaniu Miejscowemu Kolu PZKO dotacji inwestycyjnej w wysokości 1,2 mln koron. Pieniądze przeznaczone będą na pokrycie części kosztów remontu dachu Domu PZKO.

■ Obaj Cieszyni będą jednymi z bohaterów nowego teledysku do utworu „Ludzie”, który znajdzie się na najnowszej płycie gdańskiej kapeli rockowej Lipali. Płytę tę zespół, którego liderem jest wokalista i gitarzysta Tomasz „Lipa” Lipnicki, nagrywał od 31 czerwca w studio nagraniowym w Wiśle.

■ Az do końca wakacji w mosteckiej Drzewiwnie „Na Fojstwiu” można na wystawie oglądać rzeźby, które wyszły spod dłuta mosteckiego rzeźbiarza Pawła Kufy, a także mieszkających w Łomnej Dolnej: Bronisława Procnera i Ludwika Jurzykowskiego.

■ Na placu przed Domem Kultury „Trisia” w ramach wakacyjnej akcji Trzyńskie Lato Kulturalne odbyła się 12 lipca dziesiąta już edycja Przeglądu Kultury Mniejszości Narodowych. Polską mniejszość reprezentował zespół „Oldrychowice” oraz finaliści tegorocznej edycji Festiwalu Piosenki Dziecięcej: Agata i Dorota Bartnickie, Szymon Kraina oraz Bogdan Pyszko.

Na czwartym tomie się nie skończy

Gotowe są cztery tomy „Leksykonu Polaków w Republice Czeskiej i Republice Słowackiej”. Realizowany przez kilka lat ambitny projekt podsumował 15 lipca na konferencji naukowej w Bystrzycy prof. Zenon Jasiński, który wraz z prof. Bogdanem Cimałą stał na czele redakcji tego encyklopedycznego dzieła. Obaj naukowcy są pracownikami Uniwersytetu Opolskiego.

W dwudniowej konferencji naukowej pt. „Miejsce regionalizmu w zachowaniu dziedzictwa kulturowego”, odbywającej się w Domu PZKO w Bystrzycy, wzięli udział naukowcy z uczelni w Opolu, Cieszynie i Ostrawie. Obecni byli również przedstawiciele Kongresu Polaków w RC na czele z jego prezesem Józefem Szymeczkiem. Wśród obecnych było wielu współautorów leksykonu. Jasiński poinformował, że ważnymi skarbnicami informacji źródłowych był Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków oraz Archiwum Zarządu Głównego PZKO i podkreślił wkład Mariana Steffka prowadzącego obie te placówki.

Profesor przypomniał, że prace nad leksykonem trwały od wielu lat, lecz zielone światło dla jego wydania zapaliło się dopiero w 2010 r., kiedy to w Polsce został ogłoszony Narodowy Program Rozwoju Humanistyki. Projekt złożony przez prof. Jasińskiego został zaakceptowany i zdobył dofinansowanie. Dzięki temu udało się wydać cztery tomy „Leksykonu Polaków w Republice Czeskiej i Republice Słowackiej” oraz płytę DVD zawierającą hasła z wszystkich czterech części oraz bibliografię. Ostatni, czwarty tom, opuścił drukarnię w lipcu. – Program oficjalnie się kończy, podsumowujemy więc to, co zostało zrobione, co wcale nie oznacza, że chcemy zakończyć realizację tego ambitnego zadania – stwierdził Jasiński. Wyraził nadzieję, że uda się zdobyć fundusze na wydanie piątego tomu.

Ponikać, zanikać, wynikać

Przypominanie słów, które wychodzą z użycia to nader przyjemne zajęcie. Ostatnio miałam okazję wyjaśniać pochodzenie wyrazu *ponik* dziennikarce „Gazety Krakowskiej. Małopolska Zachodnia”, która postanowiła napisać artykuł o ul. Ponikowskiej w Olkuszu i zwróciła się z zapytaniem do naszej Poradni.

Rzeczownik *ponik* był znany w polszczyźnie od XV wieku, odnotowywał go XVII-wieczny słownik Grzegorza Knapskiego *The-saurus Polonolatinograecus* (Kraków 1643–1644) obok czasownika *ponikać*, który był jego podstawą. Dziś mamy w polszczyźnie podobnie utworzone formy czasowników: *z-nikać*, *za-nikać*, *prze-nikać*, *w-nikać*, *wy-nikać*. Od niektórych z nich utworzono formy rzeczownikowe: *zanikać* dało *zanik*, *wynikać* – *wynik*, *unikać* – *unik*, podobnie jak wcześniej od czasownika *ponikać* powstał rzeczownik *ponik*. Forma czasownika z przedrostkiem *po-* wyszła z użycia w języku ogólnopolskim, jest odnotowana w starszych słownikach, np. w *Słowniku języka polskiego PAN* pod red. Witolda Doroszewskiego (Warszawa 1958–1969) z definicją odnoszącą się do wody: ‘zanikać na jakiś czas, uciekać, wsiąkać’. Słowa *ponikać* i *ponik* do naszych czasów zachowały się dzięki trwałym nazwom miejscowym, takim jak *Ponik*, *Ponikwa*, *Ponikiew*, *Ponikwoda*, a także nazwiskom *Ponikowski*, *Ponikiewski*, *Ponikwia*.

Ponik oznaczał ‘miejsce, gdzie woda bieżąca uchodzi pod ziemię’ (Andrzej Bańkowski *Etymologiczny słownik języka polskiego*, Warszawa 2000). Aleksander Brückner w swoim słowniku etymo-

logicznym (Kraków 1927) podawał też definicję pochodnego od niego słowa *ponikwa*: ‘o rzece, co w ziemi ginie, by dalej znowu wytrysnąć’. W słowniku Samuela Bogumiła Lindego (Lwów 1807–1814) znajdujemy następującą definicję rzeczownika *ponik*: ‘promyk wody spod ziemi wynikający’. Słowo to odnosiło się zatem do drobnych cieków wodnych, które spod ziemi wypływały w jednym miejscu, a w innym w ziemi znikają.

Rzeczownik *ponik* pochodzi więc od czasownika *ponikać*, a ten od prasłowiańskiego czasownika **poniknati* utworzonego od **niknati* za pomocą przedrostka *po-* (zob. Max Vasmer *Etimologičeskij slovar russkogo jazyka*, Moskwa 1986). Prasłowiańskie **niknati* – jak podaje Wiesław Boryś w *Słowniku etymologicznym języka polskiego* (Kraków 2005) – oznaczało ‘schylać się, pochylać, znikać, ginąć’ i pochodził od **nikati* ‘chylić się, pochylać’, co pozwala przypuszczać, że znikanie początkowo miało odniesienie do postawy ciała przyjmowanej przez człowieka, który – pochylony – stawał się niewidoczny. Materiał zgromadzony we wspomnianym wyżej słowniku pozwala wskazać związek znikania ze staropolskim rzeczownikiem *nice*, który od XVI wieku występował w wyrażeniu *na nice* w znaczeniu ‘na lewą, odwrotną stronę materiału’ (stąd czasowniki *nicować*, *przenicować*, obecnie rzadko używane: ‘przerabiać, odnawiać jakąś część garderoby, odwracając tkaninę na lewą stronę’). Starocerkiewny przymiotnik *nicy* ‘nachylony do przodu’ pochodził od prasłowiańskiego **nicy* (a ten od **niky*) ‘przygięty, pochylony; nachylony twarzą ku ziemi’, który ostatecznie wywodzi się z praindoeuropejskiego rdzenia **ni-* o znaczeniu ‘w dół, na dół’, z którym w pokrewieństwie pozostaje również przymiotnik *niski*. Przy takich korzeniach nie dziwią więc przenośne znaczenia *ponika* znane w dawnych wiekach, jak ‘skryta ścieżka, podkop, chodnik podziemny’ oraz ‘sidla na zwierzynę i ptaki’.

KATARZYNA WYRWAS

Opowiem o mieście, które jego wielbiciele przekształcili w restaurowany kicz, stwierdzam to z bólem, bo sam się do tego przyczynilem.

Tandetne pamiętki, podła kuchnia, wszystko nastawione na zysk, to zdanie innych krajan z sąsiednich regionów.

A jednak bywałem tam częściej niż w jakimkolwiek innym mieście, by popatrzeć na wodę, pooddychać i popstrykać...

Teraz nawet fotografia zeszła na „selfie”, już pierwszym krokiem towarzyszy tłum sprzedawców statywów do smartfonów, nieco dalej widzimy je już w akcji – przyjezdny Matolek z zamiejscową Kretynką z uśmiechem gapią się w na kiju umieszczone urządzenie.

Będzie pamiętka – dwie Mordki w kadrze i Wenecji nieco w tle.

Nadciągają tu z wszystkich stron, przez Stację S. Lucia, od Fusina i od Treporti – vaporettem, od Aeroporto Marco Polo, wałą nawet takimi kolosami jak Costa Concordia przez Canale di S. Marco, strach pomyśleć inny *capitano* – „cretino” położył tu statek jak u brzegu wyspy Giglio.

Czy oni tu wszyscy muszą przyjeżdżać, tak wielu ma znużone oblicza...

Pamiętam swoje pierwsze wejście w 1974, wprost z deszczowej krainy zaalpejskiej, był październikowy oszałamiająco słoneczny dzień, woda w Canale Grande nie falowała, ale pulsowała chlupiąc o brzegi... siedliśmy onie-

Anegdoty

HENRYK BZDOK

miali na schodach, wpatrzeni i wsłuchani, wdychaliśmy zapach pobliskiego morza...

Przedtem był tu już Jerzy Handermander z wycieczką, odpowiedział na Giudecc'e ragazę, z która Franek ścichapek poliglota utrzymywał kontakt listowny.

Sandałek, który podobno zgubiła przywoził Jurek Frankowi a ten przyjąwszy go długo wpatrywał się w kunstzowny wyrób włoskiego kaletnika, lecz z tej znajomości nic nie wyniknęło.

Widziano tu także Kikę Jasińską malującą u stóp Palazzo Ducale.

Był także Roman Maciuszkiewicz, obejrzał wszystko dokładnie i na bazie tychże spostrzeżeń stworzył katastroficzny tekst o zalanej wielometrowym potopem Serenissimy...

Byłem przerażony mogącą się ziszczyć jego wizją, obiecałem sobie przy następnej bytności na południu koniecznie raz jeszcze stanąć na Ponte di Rialto.

Tych wizyt było jeszcze wiele.

W 1976 Namówiłem Zofię i Jurka Sajdaków na rajd do Italii, mieliśmy wtedy obaj samochody, różne a w identycznym kolorze – Yellow Bahama, mój był maluchem a Jurek jechał Syreną – dzieckiem motoryzacji prawdziwie Polskiej.

Z przyczyn banalnie oczywistych sunęliśmy bocznymi drogami, wszak tak najlepiej poznać można kraj zwiedzany.

Nie bez wzruszenia dostrzegaliśmy jak pracujący przy drodze odkładali narzędzia i z ręką na czole przypatrywali się nam turystom z dalekiego kraju.

To jednak nie mój maluch był przedmiotem ich zainteresowania, lecz lux-torpeda Sajdaków.

Na parkingu we Florencji, padło niespodziewane pytanie przechodnia: Hai fatto tu?

No, no – zaprzeczył Jurek – fabrika polaka...

Zwiedzwszy Galerię Uffizi, Giardini di Boboli i centrum wyruszyliśmy w drogę powrotną, chciałem jeszcze przyjacielom przybliżyć Wenecję i nie wiem już z czyjej winy wyładowaliśmy tam gdzie się zwyczajowo nie dociera, na Piazzale Roma.

A potem poszliśmy w miasto, prosto, zaulkami oznaczonymi „per Rialto”.

Jurek niósł czarny futerał, prawie skrzypcowy, z tym, że mniej obły.

Kroczyliśmy jakby na próbę orkiestry.

To Zenith snajper – wtajemniczył mnie Jurek, posiadacz niejednego ciekawego urzędzenia z dziedziny fotografii. – Chciałbym cię pomóc przy sprzedaży...

O Boże, ja jeszcze nigdy niczego nie sprzedałem za granicą, nie znałem słowa „sprzedać”, brakowało mi także owej odrobiny tupetu, jaką wykazują sprzedawcy...

Wywijałem się, a Jurek nalegał – ja Ci pomogę.

Pytaliśmy w wielu miejscach, a ja bez owego słowa mówiłem tylko, że mam i że proponuję.

Szczęściem udało się, nie było za to wiele, ale kupujący zaprosił nas na kawę do pobliskiego baru, rozmowa toczyła się gładko, bo bez wyrazów mi obcych.



ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numera

■ LIPIEC zapisał się, jako upalny i suchy miesiąc. Temperatura przewyższała miejscami 35 stopni Celsjusza (było tak w pierwszy weekend). Niestety, sprzyjało to też nawałnicom i burzom, szczególnie w pszczyńskim, mikolowskim, rybnickim i raciborskim, jak też na Śląsku Cieszyńskim i powiecie bielskim na głąbie wicher powywracał drzewa, pozrywał linie energetyczne (aż 180 tysięcy gospodarstw domowych było pozbawionych prądu) i telefoniczne, pozrywał trakcje kolejowe. 42-letni mieszkaniec Suszcy, który został przygnieciony przez spadający konar drzewa w swoim samochodzie, to pierwsza ofiara śmiertelna tegorocznych nawałnic. Burzowy był nie tylko początek, ale i koniec lipca.

■ POCZĄTEK lipca to czas podsumowań wyników matur. Centralna Komisja Egzaminacyjna ogłosiła je 30 czerwca. W śląskim najgorzej wypadła matematyka – egzamin z niej oblało aż 17,5 proc. licealistów. Najłatwiejsza była matura z języka polskiego, dobrze poszły maturzystom również języki obce, w tym angielski. Ślasy maturzyści mają wyższy poziom zdawalności (75,66 proc.) niż średnia zdawalność w całym kraju (74 proc.). Ale chyba stać ich na więcej...

■ POMYŚLNIE zakończyła się operacja podnoszenia systemu lin na Stadionie Śląskim, na których zawisnie dach. Ryby-piły okazały się solidniejsze od feralnych krokodyli.

■ ZMIENIA się Wesołe Miasteczko w Chorzowie – bramy tego przybytku otwarto również w poniedziałki, wprowadzono darmowe wejście na godzinę przed zamknięciem. Uruchomiono imprezy tematyczne, bilety rodzinne i darmowy parking. Przybywa atrakcji. Uruchomiono Jungle Boat, ponownie ma zacząć działać rollercoaster Himalai. A na rabatach pojawiło się dwanaście konstrukcji kwiatowych w kształcie tirów i trzy tysiące tui.

■ LOTNISKO w Pyrzowicach goni krakowski port lotniczy w Balicach. W czerwcu odprawiono tu 396 tysięcy 143 pasażerów, w Balicach 406 tysięcy osób. Od początku roku z Pyrzowic skorzystało już 1 mln 269 tys. 534 osoby, natomiast z Balic ponad 1,9 mln. Najpopularniejszym kierunkiem w ruchu regularnym pozostaje Londyn. Pasażerowie korzystający z lotów czarterowych wybierali najczęściej Grecję.

■ DINOZAURY sięgają zamieszanie w Siemianowicach Śląskich. Prezydent wymarzył sobie park z tymi gigantycznymi gadami nad stawem Rzęsa. Mieszkańcy chętniej widzieliby taką atrakcję na zaniedbanym Pszczelniku. Nie chcą ich w najpiękniejszym zakątku Siemianowic. Czyżby psuły widok? Staw Rzęsa, zrewitalizowany z pomocą unijnych środków służy rekreacji mieszkańców. Uznano go też za najlepszą przestrzeń publiczną w województwie. Więc gdzie podzięją się siemianowickie dinozaury? Zobaczymy. Jest inwestor, który zafunduje dziewięć gadów, miasto musi tylko znaleźć teren i wyłożyć 32 tys. zł.

■ POPARZONA barszczem Sosnowskiego 67-letnia mieszkanka Jeleniej Góry zmarła w Centrum Leczenia Oparzeń w Siemianowicach Śląskich. Ta niebezpieczna roślina jest

groźna i w naszym regionie. Na barszcz natknąć się można najczęściej na Śląsku Cieszyńskim, Żywiecczyźnie, w Zagłębiu i okolicach Częstochowy.

■ PRZED wyborami politycy zwykle często zaglądną na Śląsk. Początkiem lipca miała miejsce konwencja zjednoczonej pracy z Katowicach, gdzie pojawił się m.in. Jarosław Kaczyński, Jarosław Gowin, prof. Piotr Gliński, dawny „premier techniczny” PiS-u i obecna kandydatka na to stanowisko Beata Szydło. W salach katowickiego Międzynarodowego Centrum Kongresowego dyskutowano o gospodarce, finansach, polityce zagranicznej, transporcie i nowych technologiach.

■ ROSOMAKI pojedą na Słowację. Efektem podpisania listu intencyjnego między premierami Polski i Słowacji będzie bliższa współpraca branży zbrojeniowej obu krajów. Dlatego też 30 Kołowych Transporterów Rosomak produkowanych w Rosomak SA w Siemianowicach w ciągu trzech lat trafi do Słowacji, gdzie zostaną wyposażone w słowacką wieżę bezzałogową Terra 30. Końcowy produkt będzie się nazywał Scipio i eksportowany będzie na inne rynki.

■ STOWARZYSZENIE Niezależni. BB z Bielska-Białej znów się burzą, że pomija się tzw. Podbeskidzie w inwestycjach centralnych. Dostało się minister infrastruktury i rozwoju Marii Wasiak, która goszcząc na Śląsku, zapowiedziała przeznaczenie kwoty 9 mld zł na remonty infrastruktury kolejowej w naszym województwie, które kończyć mają się na granicy Czechowic-Dziedzic. Jak słusznie uważają rozgniewani bielszczanie, znów pomija się ziemię bielską, Żywiecczyznę i Śląsk Cieszyński.

■ SZYBOWCEM nad Antarktydą zamierza polecieć Sebastian Kawa, wybitny szybownik z Bielska-Białej, wielokrotny mistrz Europy i świata w szybownictwie. Bielski szybownik z powodzeniem latał już nad Himalajami w Azji, czy Andami w Ameryce Południowej. Wyprawa nad Antarktydą ma odbyć się zimą, naszą zimą, bo wtedy tam panuje... lato.

■ SENSACJĄ w Pszczynie stała się dziura w ziemi, którą na rynku wykopal archeolodzy. Znalezione w niej ślady po drewnianych zabudowaniach, które tworzyły niezachowaną zachodnią pierzeję rynku spaloną w XVI wieku. Dziura po wykopaliskach zostanie zasypana.

■ PROCES ruszył trzy lata po katastrofie, ale jest tajny, bo „obecność kamer spowoduje zamknięcie się w sobie oskarżonego”. Nie poznamy więc szczegółów katastrofy kolejowej pod Szczekocinami. Wiemy tyle, co przed trzema laty: 3 marca 2012 r. w czółowym zderzeniu dwóch pociągów zginęło 16 osób, a 57 zostało rannych. W czesochowskim Sądzie Okręgowym rozpoczął się 7 lipca proces w tej sprawie, ale sąd całkowicie wyłączył jego jawność.

■ MARSZ Autonomii Śląska przeszedł 11 lipca ulicami Katowic. Zgromadził więcej osób niż przed rokiem, ok. 7 tysięcy. Żółto-niebieski pochod tradycyjnie zakończył się piknikiem i przemowami na placu Sejmu Śląskiego koło pomnika Wojciecha Korfanteo.

■ TRZYDZIEŚCI osób odpowie za pamiętne burdy przed Jastrzębską Spółką Węglową. Zająścia miały miejsce w lutym podczas strajku. Uczestnicy zamieszek staną przed sądem m.in. za napaść na policjantów i rzucanie niebezpiecznymi przedmiotami. Większość z nich to pracownicy kopalni, ale nie ma wśród nich funkcyjnych związkowców. Jastrzębski strajk trwał 17 dni, od stycznia. Górnicy nie zgadzali się na plan oszczędnościowy i żądali odwołania prezesa Jarosława Zagórowskiego, do czego zresztą doszło.

■ RADNI powiatu będzińskiego podjęli uchwałę dotyczącą przekazania 400 tys. złotych dla będzińskiego Teatru Dzieci Zagłębia. A z przekazanymi wcześniej 350 tys. zł daje to kwotę 750 tys. zł – sumę, którą do tej pory te-

atr otrzymywał. Niestety, starostwo nie zdecydowało się na podpisanie aneksu do umowy z 1999 roku, co było przyczyną niedawnego głośnego sporu. Dyrektor TDZ Gabriel Gietzky wyraził obawę, że w przyszłym roku kryzysowa sytuacja może się powtórzyć, dlatego po sezonie urlopowym zamierza ponownie rozmowy z będzińskim starostwem.

■ HUCZNE otwarcie nowego stadionu w Tychach miało miejsce 17 lipca. Na inaugurację odbył się mecz GKS Tychy z FC Koeln. Czołowa drużyna Bundesligi wygrała 1:0. Imponujący, 15-tysięczny obiekt rozpoczęcia nowego rozdziału w historii tyskiej piłki nożnej.

■ TRZY największe uczelnie w woj. śląskim, Uniwersytet Ekonomiczny, Uniwersytet Śląski i Politechnika Śląska, podały pierwsze wyniki tegorocznej rekrutacji. Nie ma już co liczyć na wolne miejsca m.in. na architekturze, psychologii, filologii angielskiej czy realizacji obrazu filmowego, telewizyjnego i fotografa. Ten ostatni kierunek cieszył się zresztą największym zainteresowaniem – na jedno miejsce przypadało ponad 13 chętnych.

■ ŚWIĘTOWANIE 25-lecia istnienia w Polsce odrodzonej samorządności w Rybniku przybrało grillową formułę. Mianowicie – w starstarcy zebrali grupę 25 mieszkańców i złożyli do końca lipca w Urzędzie Miasta odpowiednie wnioski. A urzędnicy zafundują kiełbaski, może nawet karkówkę na grilla, chlebek, a okolicznościowego grilla zaszczytnie przybędzie Piotr Kuczera. Pomysł nawiązujący do innej rybnickiej akcji, „Poznaj swojego sąsiada”, ma na celu integrację mieszkańców, otworzenie ich na wspólne działania, budowanie relacji do sąsiadzkich.

■ DOPALACZE zabijają w strasznym tempie. A dopalacz „Mocarz” szczególnie. W ciągu zaledwie kilku dni w woj. śląskim zatrały się 154 osoby, kilka przypadków zakończyło się śmiercią. Łącznie od początku roku odnotowano aż 902 przypadki zatrucia dopalaczami, dla porównania w całym 2014 roku było ich 602. Wstrząsające jest to, że sprawa dotyczy głównie młodych ludzi, którzy bezzmyślnie zażywają te syntetyczne trucizny. Dlaczego ciągle są tak łatwo dostępne?

■ LOS obywatelskiego projektu ustawy o uznaniu Ślązaków za mniejszość etniczną rozstrzygnie się w parlamencie przyszłej kadencji. Posłowie pracujący w ostatnich tygodniach pełną parą i tak by nie zdążyli przed jesiennymi wyborami. Na szczęście projekt jako ustawa obywatelska a nie poselska nie przypadnie z końcem kadencji tego parlamentu.

■ KONCEM lipca bez zbędnej fety oddano do użytku niemal 10-kilometrowy odcinek drogi ekspresowej S69 z Buczkowic do Żywca, a jesienią zeszłego roku 6-kilometrowy fragment z Bielska-Białej do Buczkowic. Teraz całą trasę z Bielska-Białej pokonać można w kilkanaście minut, a nie jak dawniej w kilkadziesiąt. Cała, przeszło 15-kilometrowa trasa miała być już gotowa w 2012 roku. Kosztowała prawie 800 mln zł.

■ BUDOWANE powszechnie orliki, boiska powstałe za unijne pieniądze przy szkołach, jak też place zabaw mogą być niebezpieczne dla zdrowia. Nieprzyjemny zapach, jaki pojawia się podczas upałów sygnalizuje, że firmy je wykonujące wysypywały na sztuczną trawę tańsze granulaty. Używały najczęściej specyfików powstałych w wyniku recyklingu zużytych opon. Tymczasem utwardzacz gumy to silnie toksyczny i rakotwórczy składnik opon, oparty na kadmie, który powoduje zatrucia. Ich objawami jest kaszel, uczucie pieczenia w klatce piersiowej, bóle i zawroty głowy, bóle gardła, osłabienie, dreszcze, poty, nudności, wymioty czy też biegunka. Gminy nie są zainteresowane badaniami, które wykryłyby place zabaw i orliki przy budowie których zastosowano niebezpieczne granulaty.

Rozwód po japońsku

JAROSŁAW STARZYK

Siedziałem w ogródku osiedlowej kawiarenki i – udając pogrążonego w lekturze miesięcznika *Śląsk* – bezwstydnie podsłuchiwałem rozmowę zajmujących sąsiedni stolik pań. Nie było to trudne, gdyż mówiły dość głośno, a i dykcję miały nieskazitelną. Były młode, najwyżej 35 lat plus VAT. Pierwsza odziana była w niebieską męską koszulę i dżinsy, druga miała prostą sukienkę w paski na ramiączkach.

– ... i to jest coraz bardziej powszechne zjawisko. Rozwodzą się „stare dobre małżeństwa” po kilkudziesięciu latach wspólnego życia... – mówiła Niebieska Koszula.

– Moja mama się nie rozwiedzie – przerwała jej Sukienka w Paski. – A powinna. Myślę, że to wina zbyt niskiego wieku emerytalnego. Mama miała ułożony dzień, uporządkowany dom, dopracowany harmonogram zajęć i życia towarzyskiego... To wszystko się zawaliło, kiedy tata przeszedł na emeryturę. Od rana siedzi w domu i do wszystkiego się miesza, wszystko wie lepiej, no i śmieci. Kanapa, telewizor i okruchy... I kółka po szklankach na blacie stolika...

– Coś nie za bardzo lubisz ojca.

– Ale skąd. Ja go uwielbiam, ale myślę, że gdyby żyli oddzielnie, to by się nie męczyli. Tata to bardzo fajny kumpel i taki staromodny dżentelmen. Płaszcz mi podaje...

– W ogóle nie chciałam rozmawiać o twojej rodzinie – Niebieska Koszula postanowiła zapanować nad rozmową. – Chodziło mi o Japończyków. Tam ludzie seryjnie rozwodzą się po siedemdziesiątce. I dlatego tamtejsi naukowcy razem z biznesem wymyślili robota, który zastępuje samotnemu staruszkowi żonę...

– Świnie – weszła jej w słowo Sukienka w Paski.

– Żle myślisz. Ten robot zapewnia takiemu seniorowi wikt i opierunek, dba o dom, a nawet da się go tak zaprogramować, żeby rozmawiał. I to mnie zastanowiło; jak można skonstruować maszynę, która będzie z sensem odpowiadać na jakieś odzywki, których nie zna, których się nie da przewidzieć...

– To akurat wydaje mi się nietrudne. Jak tak obserwuję moich staruszków, to oni ciągle rozmawiają o tym samym i powtarzają to samo. Znam ich kwestie na pamięć.

– Nie mówmy o twojej rodzinie. O tych Japończykach usłyszałam w radiu. Te ich roboty będą jeszcze lepsze, kiedy do końca uda się zbudować sztuczną inteligencję. Przerażające...

– A co w tym strasznego? Znam paru facetów, którym by ją można wszczepić, bo swojej naturalnej nie mają.

– Nie rozumiesz. Te roboty będą miały świadomość, będą się uczyć, będą się naprawiać, będą się same udoskonalać...

– Kupię sobie takiego, co będzie mył za mnie lodówkę – Sukienka w Paski nie przejęła się specjalnie.

– Zrozum, one nas wyleją z roboty, bo będą od nas lepsze pod każdym względem. Już znikają pewne zawody. A kiedy te myślące maszyny zrozumieją, że my już właściwie nie jesteśmy do niczego potrzebni, to nas się pozbędą definitywnie.

– Masakra! Kiedy zrozumieją?

– Mówili, że to może być kwestia kilku dziesięcioleci.

– E, to może już będziemy na emeryturze.

– Emerytów pozbędą się w pierwszej kolejności.

– Masakra!

Panie zamilkły. A ja przypomniałem sobie, że Japończycy już raz chcieli się pozbyć swoich emerytów, o czym czytałem w latach siedemdziesiątych w *Forum*. Mieli taki pomysł, że kupią Majorę (albo jakąś inną rajską wyspę), tam pobudują osiedla, do których wywiozą swoich starców. Nie udało się, bo przeciw takim gettom zaprotestowali moralisci, którzy się czasem przydadzą. Może i tym razem... Zastanowiło mnie, że Niebieska Koszula nie wspomniała nic o rozwódkach-seniorkach. Nie dostaną robotów?

Redakcja miesięcznika „Śląsk” z okazji 20. roku istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Fot. W. Kompeńska

Lech Kołodziejczyk

Prof. w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Od roku 2004 Kierownik Katedry Malarstwa. Autor kilku obszernych cykli malarskich, z których najważniejsze to „Kosmogonie”, „Księga Słońca”, „Głowy”, „Rytmy pamięci”. Zorganizował ponad 80 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą, brał udział w ponad 70 wystawach zbiorowych. Autor dwóch publikacji naukowych „Wielość przestrzeni” oraz „Rytmy pamięci”. Obecnie pracuje nad zbiorem esejów pt. „Od wzniosłości do ironii”. Gra na gitarze.



Lech Kołodziejczyk, „ZACHÓD SŁOŃCA” z cyklu „KSIĘGA SŁOŃCA”, olej, płótno, 150x200, 2002

IX

FESTIWAL TWÓRCZOŚCI RELIGIJNEJ 2015

Fide et Amore

7, 14, 21, 28 sierpnia
4, 10-13, 18, 25 września
2, 9 października

www.fideetamore.zory.pl

spotkania ze sztuką

Patronat Honorowy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Ks. abp Wiktor Skworec – Metropolita Górnośląski, Profesor Krzysztof Penderecki - kompozytor
Ks. bp Marian Niemiec - Biskup Diecezji Katowickiej Kościoła Ewangelicko Augsburskiego w RP, Wojciech Saługa – Marszałek Województwa Śląskiego
Ks. prof. Jerzy Szymik – Teolog, poeta, profesor Uniwersytetu Śląskiego, Ks. prof. Robert Tyrała – Prezydent Międzynarodowej Federacji Pueri Cantores
Pan Matthias Balzer – Prezydent Niemieckiej Federacji Pueri Cantores, Pan Mateusz Prendota – Prezydent Polskiej Federacji Pueri Cantores
Ks. prof. Grzegorz Poźniak – Prezes Stowarzyszenia Polskich Muzyków Kościelnych
Ojciec dr Nikodem Kilnar – Prezes Stowarzyszenia Kapela Jasnogórska, Krajowy Duszpasterz Muzyków Kościelnych
Pani Jadwiga Górecka – Żona śp. prof. Henryka Mikołaja Góreckiego, Ks. Prof. Antoni Bartoszek – Dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach
Prof. Tomasz Miczka – Rektor Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach
Waldemar Socha – Prezydent Miasta Żory, Piotr Koszyła – Przewodniczący Rady Miasta Żory
dr Maria Kopsztejn – Prezes Radlińskiego Towarzystwa Kulturalnego, Jolanta Zajdel – Prezes Polskiego Towarzystwa Przyjaciół św. Hildegardy

